

Prof. Bogdan Góralczyk
Chiny w czasach zarazy

Wiesław Kot
Pożegnanie z „Kusym”

Kazimierz Zarzycki
Byłem sekretarzem Edwarda Gierka

Rytel
– rozstanie po wicherze

**PAMIĘCI
JOLII BRZEŃSKIEJ**

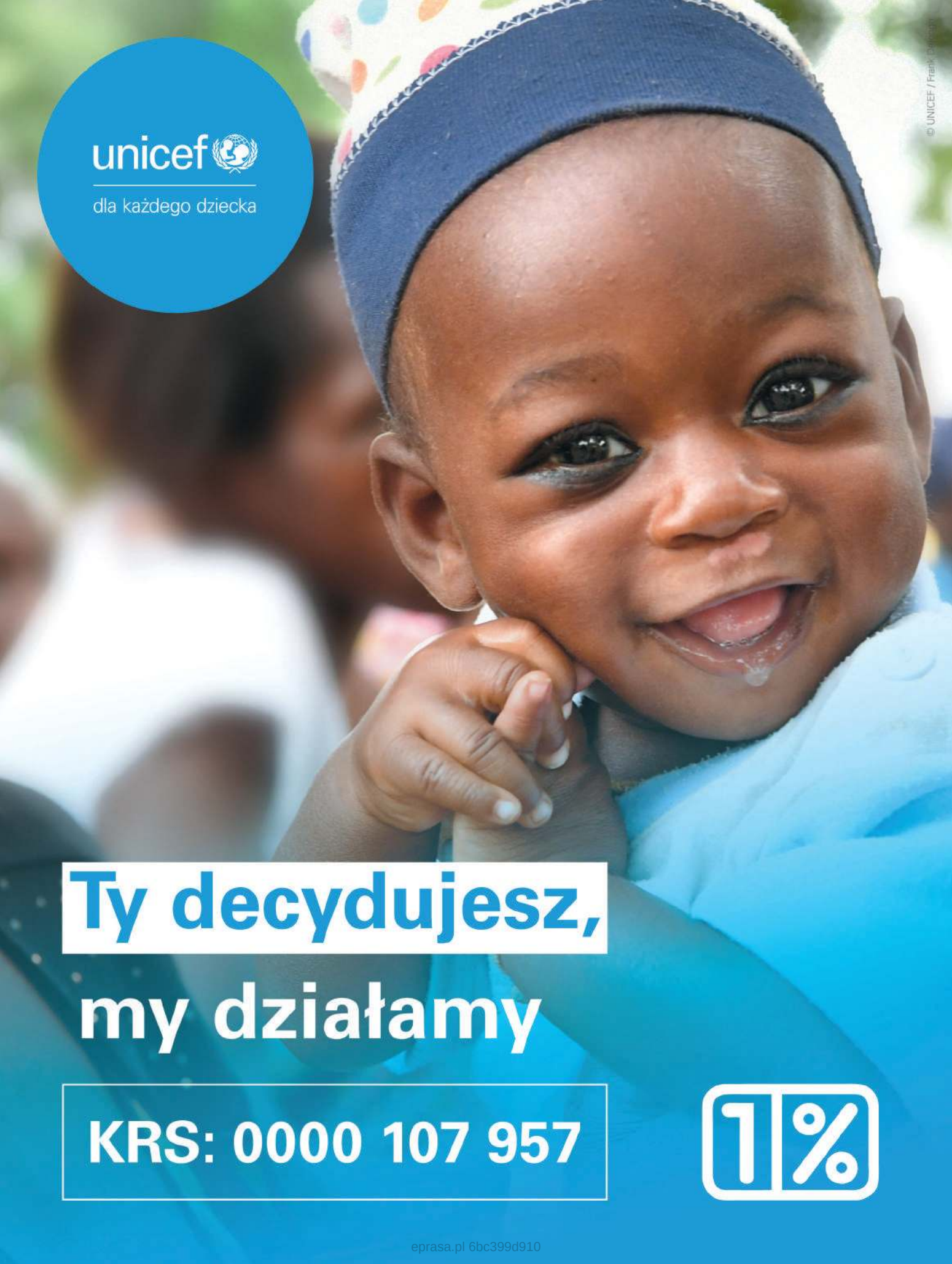


**WSZYSTKICH
NAS
NIE SPALKIE**

**KOŃCZMY
Z REPRYWATYZACJĄ**

**NIKOMU NIC
JUŻ SIĘ NIE NALEŻY!
TAKŻE KOŚCIOŁOWI
I GMINOM ŻYDOWSKIM**

**PREZYDENCIE
DUDO, GDZIE
USTAWA?**



unicef



dla każdego dziecka

**Ty decydujesz,
my działamy**

KRS: 0000 107 957



CYTATY

PROF. STANISŁAW OBIREK, były jezuita

Byłem wykorzystywany seksualnie przez księży. Najpierw w szkole podstawowej, mogłem mieć 10-11 lat. Potem jako nastolatek, w liceum. „Duży Format”

STANISŁAW TYM, komentator, satyryk

Pisowskie elity leją się za nasze pieniądze i o nasze pieniądze. „Polityka”

GRZEGORZ SROCYŃSKI, publicysta

Ludzie nie chcą, by Duda był podnóżkiem Kaczyńskiego, żeby był zbyt sklejonny z PiS. „Polska The Times”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Kryminalna reprivatyzacja

30 lat reprivatyzacji w Polsce to kryminalne story w odcinkach. Jest tam wszystko, co najgorsze. Bezprawie. Tchórzostwo polityków, których stać było tylko na puste obietnice. Bezgraniczna pazerność korzystających z tego bezhołowia. Głupota mediów, które uległy bredniom o „świętym prawie własności”.

Lista czarnych bohaterów reprivatyzacji po polsku jest długa i ciągle niezamknięta. Niestety, jeszcze dłuższa jest lista ofiar tej dzikiej reprivatyzacji. Lokatorów, którzy nie przeżyli „czyszczenia kamienic”. Dramaty ofiar ustosunkowanych cwaniaków oburzają zwykłych ludzi, ale po politykach spływa to jak woda po kaczce.

Czy można było tym nieszczęściom zapobiec? Tak. Wystarczyło sięgnąć do przykładu z 1918 r. Marszałek Piłsudski nie oddał majątków skonfiskowanych przez carat po powstaniu styczniowym. Bo kto miałby za to zapłacić? Państwo z pieniędzy swoich obywateli? Jedną krzywdę zastąpić drugą? Ale po 1989 r. nie było polityków tego formatu. A trzeba było wówczas powiedzieć, że żadnej reprivatyzacji nie będzie. Bo po prostu nie da się jej uczciwie i sprawiedliwie przeprowadzić. Żadnej reprivatyzacji, dla nikogo. Także dla Kościoła katolickiego i gmin żydowskich.

O takie działanie apelował do lewicę znany socjolog prof. Jacek Raciborski. Jako redakcja, która pisze o tym od 20 lat, w pełni ten apel popieramy.

PROGRAM „PAMIĘĆ”

Nasi Czytelnicy martwią się, że często w zapomnieniu odchodzą ludzie wybitni. Twórcy i świadkowie historii. Politycy, naukowcy, społecznicy, literaci, artyści.

CZYTELNICY APELUJĄ: PÓKI CZAS NAGRYWAJcie ROZMOWY Z NIMI.

Filmujcie i zapisujcie. Rejestrujcie je ku pamięci.

Zrobimy to! Filmy i nagrania będą dostępne na naszej stronie internetowej www.tygodnikprzeglad.pl, kanale YouTube, który uruchamiamy, i na Facebooku.

ALE SAMI NIE DAMY RADY. POTRZEBUJEMY WASZEJ POMOCY.

Musimy kupić sprzęt do filmowania i nagrywania.

W tej sprawie możemy liczyć tylko na Czytelników. Apelujemy o wsparcie i wpłaty na nasze konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7, z dopiskiem „Pamięć”.



BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Kończmy z reprivatyzacją**
Czas na porządną ustawę
- 17 Boss uciekł z Warmii**
130 szwaczek bez pracy
- 20 Najważniejsze, że się odważyliśmy**
Rytel chce utworzyć własną gminę
- 24 Ziemia – wielka cyfrowa fabryka**
– rozmowa z Janem J. Zygmontowskim
- 46 Jan Woleński – filozof aktywny**
Nagroda Stowarzyszenia Kuźnica

ZAGRANICA

- 14 Chiny w czasach zarazy**
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem
- 32 Jaskółki hamburskiej wiosny**
Korespondencja z Niemiec
- 35 Korrida z faszystowskim hymnem**
Skutki katalońskiego separatyzmu
- 38 Smutny koniec premiera**
François Fillon przed sądem
- 40 Niefirmowi**
Europejczycy nie chcą zakładać własnych firm

PUBLICYSTYKA

- 29 Jakub Dymek**
Na kłopoty komunści

HISTORIA

- 42 Byłem sekretarzem Edwarda Gierka**
Wspomnienia Kazimierza Zarzyckiego

KULTURA

- 48 Miejscowy**
Pożegnanie Pawła Królikowskiego
- 50 Nie boję się żadnego tematu**
– rozmowa z Weroniką Murek
- 52 Kulturalia**
- 54 Nowy papież i stare grzechy**
Watykan według Sorrentina
- 66 Michał Węgrzyn. Festung Demens**

MEDIA

- 56 Fotoreporter roku 2019**

OBSERWACJE

- 58 Tajemnica Krzywego Lasu**
Polskie sosny w „New York Timesie”

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kryminalna reprivatyzacja
- 19 Jan Widacki**
Korozyja państwa PiS
- 23 Roman Kurkiewicz**
Wirus jest dobry na wszystko
- 47 Tomasz Jastrun**
Parada kreatur
- 55 Wojciech Kuczek**
Tamte śniegi

24
KRAJ

ZIEMIA – WIELKA
CYFROWA FABRYKA
– rozmowa z Janem J.
Zygmontowskim



40
ZAGRANICA

NIEFIRMOWI

Europejczycy nie chcą zakładać własnych firm



56
MEDIA

FOTOREPORTER ROKU 2019

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



Juliusz Machulski

Żałuję, że nie da się współpracować z TVP, która fałszuje rzeczywistość

Biuro Odbudowy Stolicy – największe biuro urbanistyczne świata

Książa uwiedzeni przez Kaspirowskiego



Państwowy kult „wyklętych”

Twórcy i wyznawcy mitu „wyklętych” z tragedii robią farsę. Kto sam bierze broń do ręki, nie jest żołnierzem. Jest samozwańcem, przebrańcem, terrorystą. Las i karabin nie są rozwiązaniem żadnego problemu; powiększają problemy, zamiast je zmniejszyć. Ale żeby to zrozumieć, trzeba logicznego spojrzenia. Tego niektórym zabrakło. Zauważmy, że aby przeżyć, „leśni” musieli kraść, czyli nie byli tacy wspaniali, za jakich się uważali. Upaństwowienie mitu „wyklętych” jest żalosne, nie służy społeczeństwu, a wszystkim należy się prawda. Czy na pewno wszystkie przestępstwa „leśnych” zostały spisane?

Zbigniew Litwiniec, Radzyń Podlaski

Przede wszystkim to nie byli żadni żołnierze. Żołnierz to członek sił zbrojnych podmiotu państwowego. Żadna z tych organizacji nie była takimi siłami, oprócz Armii Krajowej do momentu rozwiązania. Wszystkich później, w zależności od punktu widzenia, można nazywać różnie. Bojownikami, partyzantami, bandytami, ale nigdy żołnierzami. Większość tych, o których mowa, to zwyczajni bandyci

Wojciech Janowski

70-lecie SZTANDARU MŁODYCH

Jubileuszowe Kolegium Redakcyjne

1 maja tego roku minie 70 lat od wydania pierwszego numeru „Sztandaru Młodych”.

Z tej okazji planujemy spotkanie osób, które w „Sztandarze Młodych” i „Sztandarze” spędziły kawałek życia.

Spotykamy się 18 kwietnia 2020 r. w Warszawie.



W programie:

- * od godz. 11.00 – jubileuszowa sesja na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW, ul. Bednarska 2/4,
- * od godz. 14.00 – spotkanie towarzyskie, Dom Technika NOT, ul. Czackiego 3/5.

Dziennikarzy, pracowników i współpracowników „SM” zainteresowanych udziałem prosimy, by najpóźniej do 31 marca br.:

- * zgłosili swoją obecność mejlem na adres: danutazett@interia.pl z informacją, kiedy pracowali w „SM”,
- * wpłacili wpisowe w wysokości 50 zł (mile widziane są większe donacje) nr konta: 21 1240 1040 1111 0010 9717 8177 z dopiskiem „Sztandar Młodych”,
- * przysłali na adres „Przeglądu” foto@tygodnikprzeglad.pl zdjęcia związane z pracą w „SM” lub zdjęcia „sztandarowych” pamiątek.

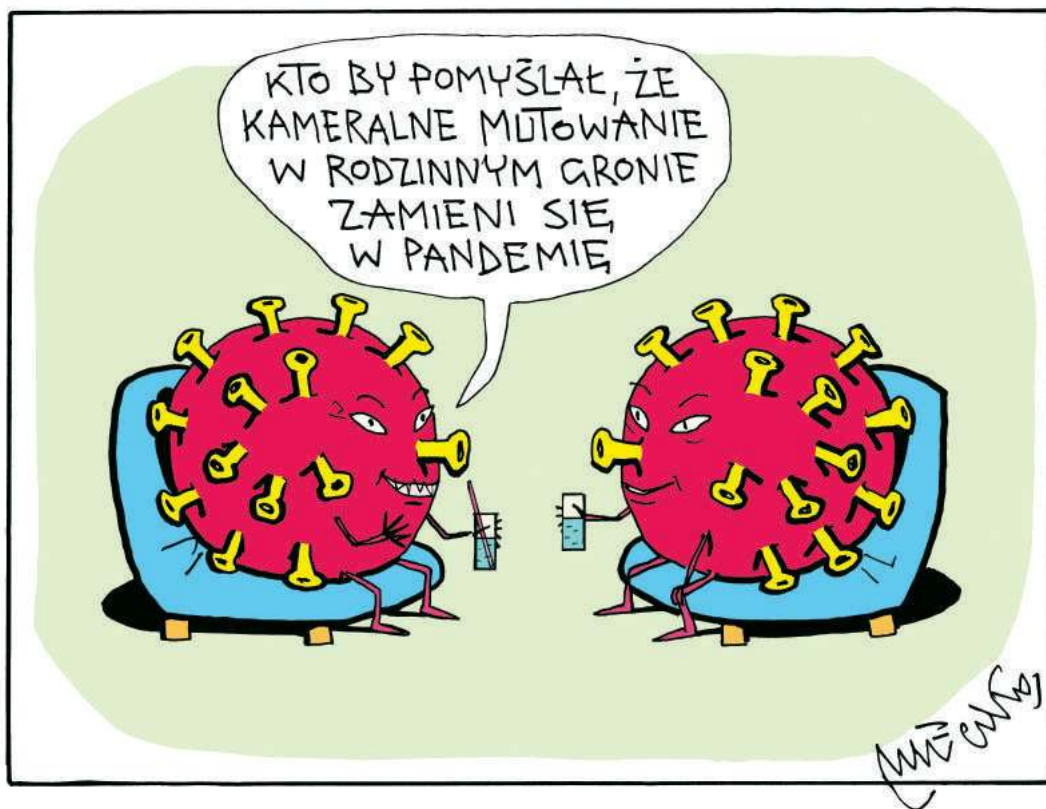
Do zobaczenia!

Kontakt : Zbigniew Pawłowski, +48 609 22 42 00

ZDJĘCIA TYGODNIA

W polityce najważniejsze są czyste ręce. Aktualny marszałek Senatu Tomasz Grodzki oraz jego poprzednik Stanisław Karczewski pokazują, jak prawidłowo je umyć.





PYTANIE TYGODNIA | Jak Polska jest przygotowana na zagrożenia epidemiologiczne?

PROF. ANDRZEJ GŁADYSZ,
specjalista chorób zakaźnych, internista

Jako społeczeństwo nie jesteśmy przygotowani na żadną epidemię, dlatego że nadal nie wykształciła się u nas wysoka kultura higieniczno-sanitarna, obowiązująca na co dzień. Przywiązujemy dużą wagę do formalnych standardów, a zaniedbujemy np. wychowanie dzieci i młodzieży w przekonaniu o ważnej roli higieny w utrzymaniu zdrowia. W obliczu epidemii zwołuje się narady w ministerstwie i w Sejmie, tymczasem znacznie ważniejsze jest, by w placówkach medycznych, urzędach, szkołach oraz innych instytucjach publicznych i prywatnych (teatry, supermarkety) na stałe zainstalowano dozowniki środków do dezynfekcji rąk. Społeczeństwo powinno być nieustająco informowane, jak minimalizować ryzyko zakażenia. Kolejnym problemem jest to, że na poziomie szpitali nie zostały wypracowane sposoby zgłaszania się osób, które podejrzewają, że są zakażone np. koronawirusem. Nie powinny one trafiać do ogólnodostępnej izby przyjęć, tylko mieć możliwość skorzystania ze specjalnie przygotowanego stanowiska. Podsumowując, od strony praktycznej nie jesteśmy przygotowani na zagrożenia epidemiologiczne,

ale jeśli spojrzeć od strony formalno-piarkowej, to podobno wszystko gra.

ELŻBIETA ZAKRZEWSKA,
burmistrz Kowar, była dyrektor SP ZOZ w Mysłkowicach

W regionie jeleniogórskim jesteśmy dobrze przygotowani. W większości instytucji publicznych są dostępne pojemniki ze środkiem do dezynfekcji rąk oraz instrukcje, jak postępować w przypadku zagrożenia, a w sytuacji zagrożenia koronawirusem stosowne informacje pojawiły się także na wszystkich lokalnych portalach czy stronach facebookowych. Dobrze przygotowane są placówki podstawowej opieki zdrowotnej, które informują mieszkańców m.in. za pośrednictwem wywieszek. Nadal jest jednak wiele pytań, na które brak odpowiedzi, i to w skali całego kraju. nierozwiązany jest choćby problem transportu osób, które czują się zagrożone i chciałyby skorzystać z opinii lekarza, a nie mają własnego samochodu. Nie powinny korzystać z komunikacji zbiorowej, a pogotowie odmawia przyjazdu, argumentując, że zajmuje się ratowaniem życia i zdrowia, a nie rozpoznawaniem chorób. Problemem jest także nierzetelność części mediów, które nakręcają niepotrzebną panikę. Konieczne są wystąpienia

publiczne przedstawicieli odpowiednich instytucji, uspokajające obywateli.

DR ZBIGNIEW HAŁAT,
epidemiolog, były wiceminister zdrowia

Polska jest dopiero przygotowywana na zagrożenia, a zanim będziemy gotowi, jeszcze trochę wody w Wiśle i Odrze upłynie. W reakcji na zagrożenie koronawirusem pośpiesznie tworzone są procedury, dzielone zadania, poszukiwane kadry – trwa skomplikowany proces, realizowany niczym we wrześniu 1939 r. Ostatnie przebudzenie nastąpiło dekadę temu i było związane z epidemią świńskiej grypy, ale wyciągnięte z niego nauki zostały szybko zapomniane i teraz trzeba ratować sytuację niemal zupełnie od zera.

BOGUMIŁ WOŹNIAKOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Tak samo jak w czasie epidemii ASF i ptasiej grypy, czyli nieprzygotowana. W związku z kampanią wyborczą władza cynicznie nagłaśnia epidemię koronawirusa na świecie, by pokazać, jak przygotowuje się do jej zwalczania, choć więcej osób choruje i umiera na zwykłą grypę. Rządowe obietnice rozsypią się jak domek z kart, gdy koronawirus dotrze do Polski.

Not. Michał Sobczyk

Kończmy z reprywatyzacją

Nikomu już nic się nie należy! Ani Kościołowi, ani gminom żydowskim.
Czas najwyższy przyjąć porządną ustawę reprywatyzacyjną

Robert Walenciak

To się nie udało. Reprywatyzacja po polsku okazała się gigantyczną porażką. Nie była żadnym gestem sprawiedliwości dziejowej, zresztą trudno sobie wyobrazić, jak 75 lat po wojnie taka sprawiedliwość miałyby wyglądać. Za to skrzywdziła tysiące ludzi, których wyrzucano z mieszkań i poniżano, ich dzieciom zabierano szkoły, boiska. Wyzwoliła przy tym najgorsze instynkty – zamiast dawnych właścicieli zobaczyliśmy w ich rolach rozmaitych cwaniaków, a zdarzało się, że i ludzi z półświatka. Jolanta Brzeska, działaczka ruchu lokatorskiego, została zamordowana i do dziś państwo nie może znaleźć sprawców.

Bo reprywatyzacja, mimo że nie uchwalono w Sejmie stosownej ustawy, miała miejsce i wciąż trwa. Droga sądową „odzyskiwane” są kolejne nieruchomości. Pałace, kamienice, place, parki... Mechanizmy, które pozwalały zwracać byłym właścicielom – czy raczej ich spadkobiercom – nieruchomości, nie zostały zdemontowane. Prawo i Sprawiedliwość, mimo że krzyczy o „złodziejskiej reprywatyzacji”, w tym wszystkim uczestniczy. Rządzi już pięć lat i podtrzymuje patologiczny proceder.

Mówił o tym niedawno w PRZEGŁĄDZIE (nr 3/2020) prof. Jacek Raciborski: „Wiele razy w naszych wcześniejszych rozmowach wracaliśmy do kwestii reprywatyzacji, mówiąc, że nie można tych parków, kamienic, fabryk, pałaców oddawać. Do tej pory nic nie zostało prawnie przesądzone i petzająca, często złodziejska reprywatyzacja trwa. Urządza się jedynie co chwila jakąś pokazówkę, a to komisja Jakiego, a to jakieś aresztowania, co do których nie mamy pewności, czy nie

kryją się za nimi motywy polityczne. Ustawy zamykającej reprywatyzację nie ma. A załatwienie tego aż się prosi!”.

Może więc czas zakończyć tę szkodliwą dla państwa i społeczeństwa grę?

Jak to się zaczęło?

Gdy nastała III RP, nastał też czas restauracji starego porządku, powrotu do międzywojnia. Na początku symbolicznie, np. poprzez dotożenie orzełkowi korony, a potem już zupełnie realnie. Na tej fali bardzo szybko wypłynęła sprawa zwrotu majątków, jak to określano, zagrabionych przez

cej ideologii, a lejtymotywnym działań przekonanie, że obowiązkiem państwa jest owo naprawienie krzywd byłym właścicielom, czy raczej ich potomkom. Każdy, kto temu się sprzeciwił, natychmiast był piętnowany jako komunista, zwolennik PRL i grabieży.

Nic dziwnego, że już w Sejmie kontraktowym przygotowano dwie ustawy reprywatyzacyjne, autorstwa posłów i senatorów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Zakładały one zwrot w naturze, a gdyby to było niemożliwe – w formie rekompensat.

Te projekty ustaw poległy w sejmowych procedurach, podobnie jak kolejne. W sumie złożono w Sejmie

Petzająca, często złodziejska reprywatyzacja trwa.

komunistów i konieczności – to też hasło wytrych – naprawy wyrządzonych krzywd.

„Oddać zagrabione!”, wołały gazety. Sekundowały temu rzesze polityków obozu wywodzącego się z Solidarności. Prawo własności, swoście pojmowane, stało się jednym z głównych filarów obowiązują-

22 projekty ustaw reprywatyzacyjnych. Tylko jedna przeszła cały ciąg legislacyjny i dopiero zawetował ją prezydent Aleksander Kwaśniewski. To była trudna politycznie decyzja, prezydent był pod olbrzymią presją rządzącej wówczas koalicji AWS-UW i liberalnych mediów. Warto więc przypomnieć, że prosił go o weto klub SLD, a także dwóch niezwykle ważnych w tamtym czasie polityków – Jacek Kuron i Karol Modzelewski.

Z tych wszystkich projektów w życie weszła tylko tzw. mała ustawa reprywatyzacyjna, dotycząca stolicy, regulująca najbardziej patologiczne elementy reprywatyzacji warszawskiej.

Dlaczego były aż 22 projekty reprywatyzacji? Bo zgłaszały je różne partie. Choć w gruncie rzeczy te projekty różniły się między sobą szczegółami. Po pierwsze, skalą zwrotu. Tym, ile i w jaki sposób państwo zamierza byłym właścicielom oddawać. Czy w naturze, czy w bonach reprywatyzacyjnych, jaką

STOSUNEK DO REPRYWATYZACJI

Data	Zwolennicy	Przeciwnicy	Trudno powiedzieć
III 1991	65	28	7
XI 1992	53	41	6
V 1995	45	38	17
V 1997	41	38	21
XII 1997	52	28	20
IV 1999	44	37	19
IX 1999	40	40	20
I 2000	47	39	14
II 2001	38	48	14
V 2004	42	41	17
V 2008	34	44	22
V 2017	50	29	21
VIII 2019	37	38	25

Źródło: CBOS 17/2019, wrzesień 2019 r.



Protest przeciw reprivatyzacji, 26 kwietnia 2019 r.

część utraconego majątku itd. Po drugie – różne były grupy, którym własność miała być zwracana bądź rekompensowana.

To dosyć istotne. Bo o ile szerokie rzesze solidarnościowych publicystów i polityków bezwzględnie optowały za reprivatyzacją, nie martwiąc się, że ewentualne odszkodowania zniszczą budżet państwa, i to na lata, o tyle ich zapał gwałtownie malał, kiedy padało pytanie, komu konkretnie trzeba oddawać.

Kościotłowi – jak najbardziej! Ziemianom, kamienicznikom – o tak! Ale tylko z „polskim nazwiskiem”. Bo już nie Żydom, nie Ukraińcom itd. Tworzono sztuczne bariery – że własność może być oddana, ale tylko tym, którzy w roku 1945 mieli obywatelstwo polskie – albo teraz mają obywatelstwo polskie.

Tak oto przy okazji zmagania o reprivatyzację wprowadzano elementy szmalcownictwa i ustaw norymberskich.

Co się stało z sądami?

Cofnijmy się na chwilę do roku 2001, do zawetowania przez Aleksandra Kwaśniewskiego ustawy reprivatyzacyjnej. Jednym z argumentów prezydenta były gigantycz-

ne koszty, które po przyjęciu ustawy musiałby ponieść budżet. 20 lat temu wyliczano je przynajmniej na 44 mld zł, choć eksperci mówili, że to suma bardzo zaniżona.

Prezydent, broniąc się przed naciskiem postsolidarnościowej prawicy wołającej o naprawianie dawnych krzywd, odparł, że poszkodowani mogą dochodzić swoich praw przed sądami. W tamtym czasie była to neutralna wypowiedź – sądy odrzucały roszczenia, kierując

PiS, mimo że krzyczy o „złodziejskiej reprivatyzacji”, rządzi już pięć lat i podtrzymuje ten patologiczny proceder.

się w orzecznictwie interesem państwa. Ale z roku na rok zaczęło to się zmieniać. Ogólna atmosfera i nacisk większości mediów powodowały, że orzeczenia korzystne dla byłych właścicieli (a raczej osób, które po nich dziedziczyły bądź odkupiły roszczenia) stawały się coraz częstsze.

Przykładem niech będzie Warszawa, miasto specyficzne, gdyż tu stan prawny regulował tzw. dekret Bieruta, nacjonalizujący działki budowlane. Dekret, dodajmy, był słusznym posunięciem, gdyż bez niego odbudowa miasta byłaby niemożliwa, ale to już inna sprawa.

W każdym razie, wykorzystując luki w prawie, dawni właściciele kamienic zaczęli je odzyskiwać. Do dziś miasto dokonało ponad 4 tys. zwrotów. Od stycznia 2003 r. ratusz zwrócił 2424 nieruchomości. Najwięcej w roku 2008 – 291, najmniej w roku 2004 – 32. Zwracał więc Lech Kaczyński, zwracała Hanna Gronkiewicz-Waltz. Sprawy prowadziło Biuro Gospodarki Nieruchomościami, obsadzone przez ludzi z epoki Kaczyńskiego.

Lawina zwrotów, mimo że związana ze specyficzną sytuacją, z dekretem Bieruta, zmieniła perspektywę. Jeszcze na początku XXI w. zwolennicy reprivatyzacji wierzyli, że powinna ją uregulować ustawa. „Chcemy jako ostatni kraj w Unii Europejskiej sfinalizować wreszcie ten dość gorszący, bo bardzo długo trwający proces, przywracający przede wszystkim elementarne poczucie sprawiedliwości i własności”, deklarował premier Donald Tusk w 2008 r. Ale już w tym czasie mieliśmy skokowy wzrost zwrotów mienia przez sądy, które zaczęły przyjmować

► punkt widzenia tych, którzy roszczenia wysuwali.

Tak w maju 2017 r. na łamach PRZEGLĄDU (nr 22/2017) komentował stan rzeczy Jarosław Dobrzański: „To nie żaden brak legislacyjnego uregulowania kwestii reprivatyzacji – jak nadal wmawia się społeczeństwu – spowodował zaistnienie tego skandalu III RP, jakim jest skok na własność. Wystarczyłyby odpowiednie uchwały i wskazówki Sądu Najwyższego, wyroki Trybunału Konstytucyjnego i Naczelnego Sądu Administracyjnego oraz spójne z nimi orzecznictwo sądów powszechnych, odrzucające wszelkie

roszczenia reprivatyzacyjne jako przedawnione. Nie ma bowiem – poza ideologicznie czy psychologicznie motywowanym hejtem PRL – żadnego uzasadnienia do kwestionowania decyzji sprzed ponad pół wieku. Nie ma też takiego państwa, w którym obecni właściciele byłiby w stanie wywieść swoje prawa własnościowe od stworzenia świata, i z tej przyczyny, poczynając od prawa rzymskiego, w każdym cywilizowanym państwie funkcjonuje instytucja zasiedzenia własności oraz przedawnienia roszczeń. Inaczej nikt nie mógłby

być pewny swojego majątku. Oba mechanizmy zabezpieczają stabilność obrotu prawnego i dają ochronę tych praw własności, które są wykonywalne. (...) Taki jest główny, fundamentalny i niepodważalny argument przeciw reprivatyzacji. Przywoływanie rzekomych moralnych praw dawnych właścicieli i traktowanie PRL jako czarnej dziury w polskich dziejach, w której stan prawny sprzed 1939 r. został czasowo zamrożony, jest tylko przenoszeniem na obszar prawa kielepskiej polityki historycznej i nie ma

wyrzucać z sal sądowych oszustów z dętymi pozwami. Nie potrafił znaleźć racji wyższych kasujących rzekome moralne prawa »okradzionych« przez »komunę«. Nie potrafił bronić własności publicznej, chronić interesu budżetowego samorządów i państwa ani strzec praw i bezpieczeństwa obywateli przed bezwzględными złodziejami. Setki tysięcy (lekkko licząc) zwykłych ludzi, których wyzuto z praw własnościowych i wyrzucono na bruk lub – w najlepszym przypadku – do lokali o niższym standardzie albo

W sumie złożono w Sejmie 22 projekty ustaw reprivatyzacyjnych.

W życie weszła tylko tzw. mała ustawa reprivatyzacyjna, dotycząca stolicy.

nic wspólnego ani z prawem, ani ze sprawiedliwością. Niestety, sądownictwo polskie uległo presji tej kielepskiej polityki i propagandy”.

Dlaczego uległo? Dobrzański stawia tezę, że „za taki stan rzeczy w dużym stopniu odpowiadają niska kultura prawna, słabe wykształcenie i niedostateczne doświadczenie życiowe odmłodzonego środowiska sędziowskiego. (...) Ten sam nieporadny sędzia domaga się dziś dla siebie prawa do »rozproszzonej kontroli konstytucyjnej« władzy ustawodawczej, chociaż przez lata nie potrafił

w gorszej lokalizacji, to jeden wielki zbiorowy akt oskarżenia przeciw polskiemu sądownictwu, które ma ogromny dług do spłacenia za swoją niefrasobliwość, przyzwolenie na reprivatyzacyjny przekręt, a nawet współudział w nim”.

Twarde słowa, ale czy można wszystko zwać na sądy?

Sępy nad Polską

Sędziowie byli jednymi z wielu, którzy ulegli tamtej atmosferze – że pora „przywrócić elementarne po-

Jak było w II RP?

Zadziwiające, że wszyscy ci, którzy domagali się i po dziś dzień domagają reprivatyzacji i powrotu do stanu majątkowego z czasów II RP, pomijają ten prosty fakt, jak sprawę reprivatyzacji rozwiązała II RP.

Po roku 1918 na porządku dziennym stała podobna sprawa – majątków skonfiskowanych przez carat powstańcom styczniowym. Tym, którzy walczyli o niepodległość, zaborca zabrał źródła utrzymania. Jak im wynagrodzić tę niesprawiedliwość? Zrobiono to tak, że jeśli ktoś walczył w powstaniu, dostawał awans na stopień podporucznika w stanie spoczynku, należną z tego tytułu emeryturę, malowniczy mundur weterana, granatowy z amarantowymi wyłogami, Krzyż Niepodległości z Mieczami, prawo leczenia za darmo, ewentualnie mieszkanie w przytułku dla weteranów, a po śmierci pochówek w specjalnej, honorowej kwaterze cmentarza. Ale utracone majątku II RP nie zwracała.

Niektórzy potomkowie dawnych powstańców skierowali sprawy do sądów. I cóż? W PRZEGLĄDZIE (nr 24/2017) przytaczaliśmy opis jednej z takich spraw.

„Prezes Prokuratury Generalnej Stanisław Bukowiecki, broniąc w 1930 r. interesów skarbu państwa przed Sądem Najwyższym w tzw. sprawie Uszyckiej, tłumaczył: »Kapitałną obiekcją prawną występującą przeciwko uznaniu zwrotu

majątków skonfiskowanych jest przedawnienie. (...) Gdyby instytutu tego nie było, gdyby można było w każdym czasie wszystko rewindykować, to nikt nie byłby pewny swojej własności«. Odwołał się także do kwestii niezwiązanych bezpośrednio z prawem: »Obecnie nie żyje już ani jedna ofiara rosyjskich konfiskat powstańców, przynajmniej ani jedno powodztwo o zwrot skonfiskowanego majątku nie zostało wytoczone przez osobę bezpośrednio dotkniętą ani także przez jej małżonka. Nader nieliczne są procesy wytoczone przez dzieci osób konfiskatą dotkniętych. (...) Godzi się zapytać, czy istnieje jakiegokolwiek moralne, niezależne od względów formalno-prawnych, uzasadnienie dla roszczeń powodów, niebędących dziećmi, a już co najwyżej wnukami w prostej linii ofiar konfiskat? Czy jest rzeczą słuszną, aby ludzie ci, tak już dalecy od osoby powstańcy skrzywdzonego i od jego majątku, którzy z pewnością nie myśleli nigdy o majątku tego odzyskaniu, obecnie wykorzystywali fakt powstania Państwa Polskiego, dlatego aby od skarbu jego wyprocować własność rzeczonych majątków?« (cytaty przytoczone za Bartłojem Starcem z artykułu »Problem rewindykacji w II Rzeczypospolitej dóbr objętych konfiskatą po powstaniu styczniowym przez rządy carskie«, »Zeszyty Prawnicze« 2009, nr 9/2)».

Jolanta Brzeska — ofiara dzikiej reprivatyzacji

1 marca 2011 r. w Lesie Kabackim spłonęła żywcem Jolanta Brzeska. Początkowo założono, że popełniła samobójstwo, jednak ekspertyza biegłych tę hipotezę wykluczyła. Dopiero później przyjęto wersję zabójstwa na tle konfliktu w sprawie reprivatyzacji kamienicy przy ulicy Nabelaka 9, którą po wojnie odbudowywał ojciec Brzeskiej i w której dostał przydział na mieszkanie kwaterunkowe. Jolanta Brzeska przegrała walkę z nabywcą roszczeń do kamienicy – Markiem Mossakowskim, który wślawił się m.in. nabyciem od 85-letniej kobiety za 50 zł prawa do kamienicy przy ulicy Hożej, a następnie domaganiem się w sądzie od władz miasta 5 mln zł odszkodowania za bezumowne korzystanie z jego nieruchomości. Brzeska otrzymała nakaz eksmisji za niepłacenie czynszu, a w lutym 2011 r. komornik zajął jej emeryturę (dopóki mieszkanie miało status lokalu komunalnego, rodzina Brzeskich nie zalegała z opłatami za mieszkanie). W 2014 r. 80-metrowe mieszkanie Brzeskiej wystawiono na sprzedaż za 960 tys. zł. Trzy lata później próbowano sprzedać je ponownie – za 150 tys. zł mniej. Do dziś nie wyjaśniono okoliczności zbrodni ani nie wykryto sprawców.

Jolanta Brzeska i członkowie Komitetu Obrony Lokatorów na sesji Rady m.st. Warszawy, 18 marca 2010 r.



czucie sprawiedliwości i własności”. Można dziś się z nich natrzęsać, bo niektóre orzeczenia, typu ustanowienie kuratora dla nieruchomości w imieniu właściciela, który urodził się 120 lat wcześniej, brzmią niedorzecznie. Sęk w tym, że inne środowiska nie są lepsze.

Przy tej masowej reprivatyzacji, według ocen prokuratury, prawie 200 nieruchomości zostało wyłudzonych bez jakichkolwiek podstaw prawnych. W prokuraturze jest ich lista. To spis kamienic wartych miliony. Dziennikarz „Faktu” tak to opisywał: „Kamienica przy ulicy Hożej 25A. Jeden z najbardziej znanych handlarzy nieruchomości kupuje prawa do budynku od 85-letniej starszki za... 50 zł. Od miasta żąda 5 mln zł. Inny przykład? Akt notarialny podpisany w mieszkaniu, które nie istniało, przez notariusza, który nie istniał. Mimo to kamienica przy Narbutta 60 została sprywatyzowana. Mało? Gimnazjum na Twardej oddane bez zbadania dokumentów, bez ustalenia właścicieli nieruchomości

czy przesłuchania spadkobierców. To tylko początek długiej listy”.

Urzednicy, którzy w reprivatyzacji maczali palce, którzy wydawali decyzje, dziś mają zarzuty karne i odpowiadają przed Temidą. Niektórzy zdążyli opowiedzieć, jak z ich perspektywy wyglądała reprivatyzacja. To była orgia grabieży. Wspecjalizowane kancelarie wyszukiwały byłych właścicieli lub ich spadkobierców,

Wykorzystując luki w prawie, dawni właściciele kamienic zaczęli je odzyskiwać. Do dziś w Warszawie dokonano ponad 4 tys. zwrotów.

odkupywały roszczenia, czasami za grosze, i przeprowadzały sprawę przez sąd i urzędy.

Były wicedyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami w Warszawie, Jakub R., w grypsie prze-mycnym z aresztu opisuje, jak podchodzili do niego koledzy jeszcze z czasów młodości, Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, ważne postaci PiS, i proponowali, żeby podrzucać im adresy nieruchomości, które można sprywatyzować.

Pisaliśmy o tym w roku 2018 (PRZEGLĄD nr 11/2018). „Okolo 2011 r. doszło do kolejnego spotkania Wąsika z Jakubem R. Wąsik, wówczas szef klubu radnych PiS w Warszawie, miał mu złożyć w imieniu kierownictwa PiS propozycję wyszukiwania roszczeń dla kancelarii, która potem odzyskiwała by nieruchomości, a pieniądze zasilałyby konta PiS. »Ponieważ ja byłem

odpowiedzialny za wydawanie decyzji z dekretu warszawskiego, jak się wyraził, byłem u źródła i nie można było sobie wyobrazić lepszych okoliczności», pisze R.

Z listu byłego wicedyrektora wynika, że miało to być »działalność systemowa, a nie pojedynczy strzał«. I że związana z PiS kancelaria miała by się stać dominującą na rynku.

Innymi słowy, jeśli wierzyć Jakubowi R., PiS nie tylko nie zamierzało w tamtym czasie hamować dzikiej

► reprivatyzacji w Warszawie, ale nawet chciało w tym procederze uczestniczyć i na nim zarabiać.

Czy tak było? Jakąś poszlaką niech będzie fakt, że w tamtym czasie ani Maciej Wąsik, ani radni PiS specjalnie się nie przejmowali reprivatyzacją warszawską ani losami lokatorów. Poza dwiema interpelacjami nie występowali w tej sprawie podczas posiedzeń Rady Warszawy. A oficjalną wykładnią PiS było, że »zabrane przez komunistów nieruchomości powinny zostać zwrócone«.

Mieliśmy więc okres reprivatyzacyjnego rozdrapywania Polski. Wyścig – kto wyrwie więcej. Opowieści o „pokrzywdzonych właścicielach” były przykrywką, rodzajem szantażu moralnego.

Towarzystwo Ziemiańskie pięknie pisało w deklaracji, że celem jest powrót starych rodów do swoich siedzib. Jak to wyglądało w rzeczywistości, pokazują losy pałacu w Jadwisinie pod Warszawą, który wraz z parkiem został zwrócony dawnym właścicielom – rodzinie Radziwiłłom. Rodzina siedem dni po otrzymaniu wszystkich dokumentów pałac sprzedała.

Chodziło zatem nie o „powrót do dawnej siedziby”, tylko o szmal. O wyrwanie od biednego państwa pieniędzy.

Pałac w Jadwisinie pod Warszawą został zwrócony Radziwiłłom. Siedem dni po otrzymaniu dokumentów rodzina pałac sprzedała.

Odzyskiwanie kamienic stało się najbardziej zyskową działalnością w Polsce. Gdy Miasto Jest Nasze opublikowało mapę roszczeń reprivatyzacyjnych w Warszawie, można było chwycić się za głowę. Bo z zaznaczonych nieruchomości trudno było dojrzeć ciągi ulic. Na liście umieszczono ponad 1,5 tys. nieruchomości. „Sprawdź, czy twój dom, park, szkoła lub przedszkole twoich dzieci nie są zagrożone”, apelowało MJN.

A zagrożone stało się prawie wszystko. Niektóre listy „zagrożonych” adresów liczyły 2,5 tys. pozycji. Okazja czyni złodzieja. Gdy nadarzyła się okazja na przejmowanie kamienic, natychmiast pojawili się ich amatorzy. W Warszawie rozkwitło kilka kancelarii, które tym się zajmowały, a ich właściciele stali się w kilka lat milionerami.



Pałac w Jadwisinie zwrócony Radziwiłłom.

Oni się bogacili, a tysiące lokatorów wyrzucano z mieszkań. Trudno oszacować, ilu lokatorów opuściło swoje mieszkania w zreprivatyzowanych kamienicach z własnej chęci, a ilu do tego zmuszono. Podawane liczby są zatem różne – od 10 tys. do 55 tys. osób. To są ofiary

i jaki to był przekręt. Drudzy uważają, że otrzeźwienie przyszło wcześniej, gdy Hanna Gronkiewicz-Waltz została zmuszona do przeniesienia renomowanego gimnazjum z Twardej na Mokotów, bo działkę przejął nowy właściciel. I wtedy rodzice setek dzieci na własnej skórze odczuli, na czym polega reprivatyzacja.

Do tej pory tego nie odczuwali. Miasto wypłacało odszkodowania, więc obywatele to nie bolało, oni tych pieniędzy nie widzieli. Albo oddawało kamienice – były czynszowe, mieszkali tam ludzie z reguły niezamożni, z mniejszą siłą przebicia.

Reprivatyzacja miała przecież – i ma – swój aspekt klasowy. Kto na niej zyskuje? Ci najbogatsi, uprzywilejowani. Kto traci? Najbiedniejsi, którzy z zreprivatyzowanych mieszkań są wyrzucani. No i my wszyscy, którzy zrzucamy się na odszkodowania itd. Innymi słowy, Tuskowe „elementarne poczucie sprawiedliwości” polega na tym, że zabiera się biednym i daje garstce najbogatszych.

Tę atmosferę wyczuło PiS z Patrykiem Jakim. Z tego w roku 2017 narodził się jego projekt ustawy reprivatyzacyjnej. Ogłoszono go z wielkim hukiem jako ten, który wychodzi naprzeciw postulatam ruchów lokatorskich i ruchów miej-

reprivatyzacji, z Jolantą Brzeską na czele. Nie chciała opuścić mieszkania w „odzyskanej” kamienicy, więc jej zwłoki – spalone – znaleziono w Lesie Kabackim. A co najbardziej upokarzające, śmierć Brzeskiej została zignorowana! Prokuratura przyjęła wersję, że to samobójstwo. I mimo że śledztwo wznowiono, do dziś nie wiemy, kto zabił.

Czas refleksji

Kiedy nastąpił zwrot? Kiedy media i opinia publiczna zaczęły wołać, że reprivatyzacja nie jest wcale „przwracaniem elementarnego poczucia sprawiedliwości i własności”?

Odpowiedzi są różne. Jedni twierdzą, że czarę goryczy przełała sprawa działki Chmielna 70. Gdy ludzie usłyszeli, ile zgarną jej nowi właściciele

skich, bo był z nimi konsultowany. Wołano, że to dowód, jak bardzo PiS jest prospołeczne. Projekt Jakiego zakazywał zwrotu nieruchomości w naturze, zakładał natomiast wypłatę odszkodowań w gotówce (do 20% wartości nieruchomości) lub w obligacjach skarbowych. Przewidywał też zakaz ustanawiania kuratorów i zwrotów nieruchomości na osoby zmarłe. Przyznawał prawo do odzyskania nieruchomości wyłącznie małżonkom i spadkobiercom w pierwszej linii, czyli np. dzieciom i wnukom. No i wprowadzał miły prawicy punkt, że o zwrot mogliby się ubiegać wyłącznie obywatele Polski. Ten zapis uniemożliwiał odzyskanie nieruchomości choćby Żydom, którzy przeżyli Holokaust, a po wojnie znaleźli się poza Polską.

Patryk Jaki zapowiadał, że ustawa szybko zostanie uchwalona, że ma dla niej w PiS zielone światło. Na gadaniu się skończyło. Ustawa nie wyszła z rządu, zatrzymała się tam na etapie „opiniowania”. Dla osób zaangażowanych w te sprawy nie było to zaskoczeniem. „Myślę, że wszyscy mają interes w tych nieruchomościach i dlatego nie dojdzie do uchwalenia tej ustawy”, mówi Janusz Baranek, jeden z działaczy ruchu lokatorskiego. I trudno nie przyznać mu racji.

Będzie projekt ustawy?

Za PiS zmieniło się więc tyle, że reprivatyzacji już się nie chwali, a ona i tak postępuje. Ale żeby zadowoleni byli lokatorzy, PiS powołało do życia Komisję Weryfikacyjną, która miała analizować decyzje reprivatyzacyjne i w przypadku stwierdzenia nieprawidłowości je unieważniać. Innymi słowy – partia Kaczyńskiego podeszła do problemu politycznie. Obrała rolę dobrego szeryfa, który wyłapuje tych złych. Z hukiem, z fajerkami. Ale procedur nie zatrzymała. Mogło to się podobać na początku, dziś budzi tylko śmiech.

Najwyższa więc pora z tą patologią skończyć. I przyjąć porządną ustawę reprivatyzacyjną. Nie taką, jakie przygotowywały poprzednie ekipy, wywodzące się z Solidarności, których główną troską było zadośćuczynić „pokrzywdzonym”. Czas na ustawę, która powie „nie”: następuje koniec reprivatyzacji

i nikomu już nic nie będzie zwracane. O potrzebie tej ustawy mówił prof. Jacek Raciborski: „Szczególnie lewica powinna powiedzieć, że kończymy z reprivatyzacją – nic nikomu już się nie należy i to jest sprawiedliwe. Również Kościołowi katolickiemu, Żydom i ich gminom. Do tego potrzebna jest ustawa zamykająca wszelkie majątkowe rozliczenia odszkodowawcze z tytułu wojny, powojennych nacjonalizacji itp. I to na poziomie zero bądź prawie zero. Lewica, wnosząc taką ustawę,

To wstyd dla państwa, że nie broniło najstarszych”.

Jakie więc są założenia przygotowywanej ustawy? „Chcemy zakończyć oddawanie. Żadnych zwrotów w naturze – podkreśla Magdalena Biejat. – Dyskutujemy w tej chwili o wysokości odszkodowania. Ale jeżeli ono będzie, to będzie miało wartość symboliczną”.

„To nie jest sprawiedliwe, że ludzie są wyrzucani z mieszkań i lądują na bruku – dodaje. – Proszę spojrzeć na zdjęcia powojennej Warszawy.

Przy masowej reprivatyzacji prawie 200 nieruchomości zostało wyłudzonych bez jakichkolwiek podstaw prawnych.

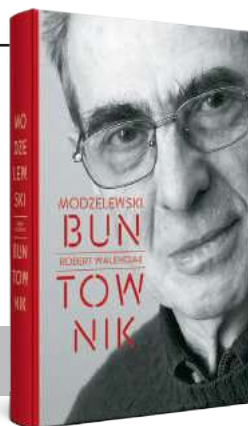
pokazałaby społeczeństwu, że jest zwrócona w przyszłość i w stronę zwykłych ludzi. Na wnukach czy prawnukach ludzi żyjących 70-80 lat temu nie mogą ciążyć zobowiązania za zniszczenia wojenne, za koszty powojennej rewolucji”.

Taką ustawę obiecywała w kampanii parlamentarnej lewica, mówił o tym Adrian Zandberg. Stosowny projekt miała przygotować posłanka Magdalena Biejat. Czy przygotowuje? „Trwają prace nad projektem ustawy, jestem po pierwszych rozmowach z przedstawicielami strony społecznej – deklaruje. – Czas skończyć z reprivatyzacją. To, co się działo w Warszawie, ale także w innych miastach, w Łodzi, w Krakowie, w Poznaniu, to skandal.

Była totalnie zrujnowana. Większość kamienic to była kupa gruzów. Nie ma żadnego powodu, żeby teraz te odbudowane przez państwo budynki były oddawane, wyłączane z własności publicznej. Wojna nie jest sprawiedliwa – ktoś stracił kamienicę, ktoś inny budynki gospodarcze, jeszcze ktoś inny najbliższych. Dlaczego tylko część narodu ma mieć prawo do restytucji, i to kosztem nas wszystkich?”.

W końcu marca projekt ustawy ma zostać przekazany do publicznej wiadomości, do publicznej dyskusji. W maju ma trafić do Sejmu. Tak żeby wreszcie wybrzmiało: że koniec reprivatyzacji, koniec oddawania. Że czas naprawić tę ponurą pomyłkę III RP.

Robert Walenciak



Tygodnik „Przegląd”
zaprasza na spotkanie
z Robertem Walenciakiem
i Małgorzatą Goetz
poświęcone książce

MODZELEWSKI: BUNTOWNIK

5 marca 2020 r.
(czwartek)
godz. 17:30

Klub Księgarza w Warszawie,
Rynek Starego Miasta 22/24

WSTĘP WOLNY

Książkę można kupić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Chiny w czasach zarazy

Zaufanie do władzy zostało pod wieloma względami zachwiane.
I władza doskonale o tym wie

Rozmawia Robert Walenciak

Panie profesorze, co ten koronawirus zrobił z Chinami? Wielkie mocarstwo w tarapatach?

– Gdybyśmy rozmawiali trzy miesiące temu, rozważalibyśmy, jakie skutki przyniesie wojna handlowa pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Chinami.

Zawieszona.

– 15 stycznia tego roku prezydent Trump z głównym chińskim negocjatorem Liu He podpisali w Białym Domu tylko zawieszenie broni. Nie traćmy z pola widzenia faktu, że większość cel została utrzymana i że to tylko rozejm na czas kampanii prezydenckiej w USA. Potem spór może wrócić, i to nawet na większą skalę.

Czy wojna handlowa z Chinami to autorski pomysł Trumpa, czy ma ona głębsze zakorzenienie w myśleniu amerykańskich elit?

– Ma głębsze zakorzenienie. Gdyby się przyjrzeć spolaryzowanej scenie wewnętrznej w USA, to jednolite stanowisko obu głównych partii dotyczy jedynie kwestii podejścia do Chin. Po prostu Chiny pokazały Stanom Zjednoczonym, że są dla nich wyzwaniem nie tylko handlowym i gospodarczym, ale także technologicznym. Na dodatek w wysokich technologiach. A jeśli wyprzedziłyby Stany w wysokich technologiach, to za tym idą kosmonautyka, zbrojenia, a w końcu pozycja w świecie. Tak naprawdę o to toczy się gra. Stąd mamy znaną w Polsce sprawę Huawei, stąd mamy 5G, bo Chińczycy są tu do przodu, stąd jest konkurencja w rozwoju sztucznej inteligencji itd.

I epidemia została rozniesiona

Wojna handlowa to jedna plaga, która spadła na Chiny, a teraz ten koronawirus.

– Zanim do niego dojdziemy, trzeba jeszcze wymienić parę czynników.



PROF. BOGDAN GÓRALCZYK

– politolog, sinolog

Od czerwca ub.r. mamy również niezakończone demonstracje w Hongkongu. Trzeba przyznać, że władze w Pekinie wykazały się dalekowzrocznością, cierpliwością i, wbrew oczekiwaniu wielu na Zachodzie, wojska na ulice nie wyprowadziły. Ale sprawa nie jest rozwiązana. Wydarzenia w Hongkongu wprowadziły trzeci element, którego w Europie się nie dostrzega, ale on jest w chińskim myśleniu. Otóż na początku stycznia tego roku miały miejsce wybory na Tajwanie.

Zakończyły się niespodzianką.

– W wyniku demonstracji w Hongkongu na wyspie diametralnie zmieniły się nastroje społeczne. Przed demonstracjami sondaże na Tajwanie mówiły, że wygra Kuomintang, czyli Partia Narodowa, która była gotowa pójść na porozumienie i rozmowy pokojowe z Pekinem. Ale nie wygrała, utrzymała się administracja pani Tsai Ing-wen, która jest prze-

ciwna takim rozmowom i walczy o tożsamość tajwańską, jakkolwiek to brzmi. I na to dopiero nałożył się wirus.

A my nawet nie wiemy, skąd się wziął.

– Nawet eksperci WHO tego nie wiedzą. Nie wiemy też, jak się przenosi, poza jednym – przenosi się poza Chiny. Mamy ogniska choroby w Korei Południowej, we Włoszech i w innych miejscach. Czyli grozi nam pandemia. Natomiast dla Chin wnioski są następujące. Po pierwsze, wiemy już na pewno, że wirus ujawnił się pod koniec grudnia w mieście Wuhan. Doktor Li Wenliang zaalarmował, że pojawiła się zaraza, że jest problem. I zgodnie z naturą państwa autorytarnego został przywołany do porządku, musiał podpisywać lojalki. Ale gdy 33-letni dr Li zmarł na posterunku w szpitalu, stał się bohaterem chińskiego internetu i chińskiej świadomości.

Po drugie – wiemy również na pewno, przynajmniej ja wiem, że na początku stycznia przewodniczący Xi Jinping też już wiedział, że jest wirus. Ale z jakichś sobie tylko znanych powodów nie ujawnił tego. I pozwolił, by ruszyła największa na świecie wędrownka ludów – chiński Nowy Rok, który przypadał na 25 stycznia. I kiedy ludzie już wyjechali, z samego Wuhanu, miasta 11-milionowego, wyjechała jedna czwarta czy jedna trzecia mieszkańców, epidemia została rozniesiona.

Pojechali do swoich rodzin. W Chinach Nowy Rok jest jak u nas Wigilia.

– Dopiero w tym momencie władze zawiadomiły Światową Organizację Zdrowia i przyznały, że jest

BOGDAN GÓRALCZYK – profesor i dyrektor Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Były ambasador w Tajlandii, na Filipinach i w Birmie oraz długoletni dyplomata na Węgrzech. Autor wielu książek i artykułów poświęconych Chinom, Europie Środkowej oraz Unii Europejskiej.

problem. Czyli spóźniły się, popełniły ten sam błąd, co w przypadku koronawirusa SARS. Z tym że SARS pochłonął 770 ofiar, a w chwili, kiedy rozmawiamy, bo dane codziennie się zmieniają, jest 2,7 tys. ofiar COVID-19 w samych Chinach.

Wtedy władza uznała, że sytuacja rzeczywiście jest poważna.

– Mówiłem publicznie o tym, że papierkiem lakmusowym będzie fakt, czy Chiny odwołają sesję doroczną parlamentu, która miała się rozpocząć 5 marca. Jej *clou* jest orędzie premiera, raport o stanie państwa.

Na początku stycznia przewodniczący Xi Jinping już wiedział, że jest wirus. Ale z siebie tylko znanych powodów nie ujawnił tego.

Ten raport, jeżeli w Chinach nie dzieje się nic nadzwyczajnego, jest głównym wydarzeniem politycznym roku. Bez względu na to, czy przyjedzie Trump, czy któryś z przywódców europejskich.

Tak się traci mandat niebios

To taki ważny sygnał, gdy odwołuje się sesję?

– Europejczyk tego nie zrozumie. Chiny to inna mentalność. To myślenie znakami, symbolami oraz ceremoniałami. Ceremoniał, zwany *li*, to jedna z cnót konfucjańskich. Na nim wszystko się opiera. Jeżeli doroczny ceremoniał się podważy, władza traci twarz.

Dlatego, że odwołata?

– To tak, jakbyśmy odwołali pielgrzymkę do Częstochowy 15 sierpnia, tylko jeszcze mocniej. Ceremoniał corocznej sesji parlamentu jest zakodowany w umyśle społeczeństwa. A jeśli jej nie ma, jest pewne, że coś nadzwyczajnego się dzieje. Teraz dla władz ważniejsze niż skutki ekonomiczne epidemii jest więc odbudowanie zaufania społecznego. Bo jeśli traci się zaufanie społeczne na masową skalę, to traci się mandat niebios.

A kto go wtedy zyska? Na kogo przejdzie mandat niebios?

– Nie widzę jeszcze, by mógł przejść na innych, bo poważnej alternatywy nie ma. W 1949 r. był Kuomintang i gotowi do zajęcia jego miejsca komuniści. Wcześniej, gdy upadało cesarstwo, były soldacki, prywatne armie. Natomiast te-

raz alternatywy dla władz w Pekinie nie ma. Nie jest nią ani Tajwan, ani Hongkong. Nie rozmawiamy więc o mandacie niebios, ale o tym, co może zrobić rządząca elita.

Wiemy, że odwołata doroczną sesję parlamentu.

– Dla mnie były dwa sygnały, że to jest przygotowywane. Po pierwsze, w niektórych prowincjach nie wybrano delegatów. To był znak. Po drugie, wprowadzono dwutygodniową kwarantannę dla każdej osoby wjeżdżającej do Pekinu. Już wiadomo było, że sesji nie będzie. A w przeddzień

oficjalnego komunikatu o jej odwołaniu odbyła się, i to oglądałem w chińskiej telewizji, telekonferencja przewodniczącego Xi Jinpinga i najwyższego kierownictwa, członków Stałego Komitetu Biura Politycznego, tych siedmiu wspólnych, z wszystkimi najważniejszymi osobami w państwie. Łącznie 170 tys. urzędników i aparaczków siedziało w swoich miejscach urzędowania, wszyscy w maseczkach, i wysłuchiwało mądrych słów przewodniczącego.

A co mówił przewodniczący?

– Że sytuacja jest bardzo poważna, że jest kryzys i że jeśli chodzi o jego zwalczanie, jesteśmy w punkcie krytycznym – czyli albo-albo. To było

Miasta są zamknięte, i to nie tylko 11-milionowy Wuhan, ale cała prowincja Hubei – 60 mln ludzi.

przygotowanie komunikatu o odwołaniu sesji, bo w punkcie krytycznym nie robi się ceremoniałów, nie organizuje się obchodów. Musimy przeprowadzić nową wojnę ludową – mówił przewodniczący, sięgając do terminologii wojennej. Zresztą słownictwo wojskowe używane jest teraz często w mediach i propagandzie. Czyli jest i wirus, i są inne czynniki, np. gospodarcze.

Wielki przeciwnik chce nas zniszczyć

Jaki jest wpływ epidemii na gospodarkę?

– Chiny w ubiegłym roku odnotowały najniższy od 29 lat wzrost

gospodarczy – 6,2%. Chcielibyśmy taki mieć! Ale to było najniższe roczne tempo rozwoju od czasu placu Tiananmen, od roku 1989. Teraz, w sytuacji gdy zostało zerwane trzy czwarte wszystkich połączeń międzynarodowych z Chinami, to oczywiście przynosi wymierne straty. Wiadomo, że miasta są zamknięte, i to nie tylko 11-milionowy Wuhan, ale cała prowincja Hubei, 60 mln ludzi. 30 miast zostało objętych kwarantanną. Hongkong już zamknął wszystkie 14 przejść granicznych z ChRL. W tym sensie mamy sytuację niebywałą. Wirus jest doświadczeniem codziennym już wszystkich obywateli Chin.

Wstrzymano produkcję.

– Ze względu na Nowy Rok.

Potem przedłużono to wstrzymanie, teraz się ją uruchamia. Praktycznie całe szkolnictwo wyższe i średnie zostało objęte szkoleniem internetowym. Dzieci i nauczyciele siedzą w domach. Takiej sytuacji obywatel ChRL nigdy nie doświadczał. Ale władza przedstawia to tak: mamy do czynienia z wielkim przeciwnikiem, który chce nas zniszczyć.

I że to robota wrogów?

– Na razie nie zauważam szerzenia teorii spiskowych. Ekspert chiński raczej starają się zwalczać te, które się pojawiły na Zachodzie. Na przykład, że sprowokowały to służby specjalne, że wirus wydostał się z tajnego laboratorium, a nie z targu

czy od nietoperza. Ale oczywiście nie można wykluczyć, że władza zastosuje swoją kontrpropagandę. Na razie jednak zadań jest tyle, że nie wiadomo w co ręce włożyć.

Budują szpitale.

– Nadal mamy dowody na skuteczność tamtego systemu. Nie wyobrażam sobie, a wiele krajów i cywilizacji znam, żeby gdzie indziej zamknąć na miesiąc 60-milionową prowincję, całkowicie ją wyizolować. W chwili gdy rozmawiamy, Wuhan od ponad miesiąca jest opustoszały, nie ma ruchu, nie ma samochodów na ulicach, gdzieś widać pojedynczych przechodniów. Nie wyobrażam sobie też czegoś innego – w ciągu 10 czy 14 dni wybudować

▶ wano dwa szpitale, a 19 nowych jest właśnie budowanych i za chwilę je skończą. Czyli jest to nadal skuteczny system, który w ciągu czterech dekad z poziomu Czadu doszedł do pozycji numer 2 na świecie. Ale są i inne sygnały.

Jakie?

– Poprzednie ekipy były technokratyczne, rządili inżynierowie, którzy nie zajmowali się ideologią. Rządzili, planując każdy krok, i równocześnie mieli *strategię low profile, taoguang yanghui*, by po cichu, bez ostentacji, budować potęgę kraju. Xi Jinping wyszedł z zupełnie inną strategią, ogłaszając chińskie marzenie, i skumulował władzę w jednym ręku. W tej chwili, owszem, ma pełnię władzy, ale i pełnię odpowiedzialności. W takiej sytuacji myślenie jest proste – jeśli cesarz się nie sprawdził, to może stracił błogosławieństwo niebios? Czyli gramy o najwyższą możliwą stawkę.

O pozycję w systemie władzy?

– Najważniejsza jest odpowiedź na pytanie, ile epidemia jeszcze potrwa. Ekspertci mówią, że może nawet do maja. A to długo. Bo na razie są skutki ekonomiczne epidemii, wizerunkowe, psychologiczne, natomiast jeszcze nie ma politycznych! Ale mogą być, bo każdy następny dzień to wymierna strata. I pytania: jaki będzie spadek wzrostu PKB? Kiedy ruszy produkcja? Kiedy zostaną wznowione połączenia lotnicze i komunikacja wewnętrzna między miastami? Dopóki nie nastąpi wyraźne zahamowanie wirusa, możemy tylko spekulować, co jeszcze się stanie.

Głowy leciały i lecą

Władza ma jakiś plan, by wtedy wyjść z polityczną ofensywą?

– Władze wyasygnowały jako dodatkowe wsparcie 14,5 mld dol. Ekspertci chińscy proponują też zwiększenie deficytu budżetowego z 2,2% do 3,2-3,5%. Czyli zastosowanie tego samego narzędzia, które Chiny uruchomiły, gdy wybuchł kryzys 2008 r. One wtedy rzuciły pakiet 600 mld dol., żeby rozruszać gospodarkę. Mają rezerwy, mogą to zrobić. Ale jeżeli epidemia będzie trwała dłużej? To nie wiem. Tam jest też problem dużego długu publicznego, który, licząc naszymi kryteriami, sięga nawet 240% PKB. U nas jest 55%, przynajmniej oficjalnie.



Wartownik na placu Tiananmen w Pekinie, styczeń 2020 r.

Wyobraźmy sobie, że kończy się epidemia. Władza ogłosi zwycięstwo?

– Jeśli to nastąpi szybko, ogłosi, że w tej wojnie ludowej odnieśliśmy zwycięstwo. Teraz wpompujemy 300 czy 500 mld dol. i rozruszamy gospodarkę. I dalej będzie dobre kierownictwo.

Ludzie to kupią? Władza odzyska nadszarpnięte zaufanie?

– Zobaczymy, w jaki sposób to się zakończy. Wtedy będziemy mogli rozmawiać o konkretnych wnioskach. Mogą one być nawet daleko sięgające, z punktu widzenia systemu sprawowania władzy w Chinach.

Xi Jinping skumulował władzę w jednym ręku. Ma pełnię władzy, ale i pełnię odpowiedzialności.

A czy pan uważa, że ten system może zostać zachwiany?

– On już trochę się zachwiał, ponieważ Chiny kreowały wizerunek państwa technokratycznego, w którym wszystko jest zaplanowane, sprawdzone. Otóż okazało się, że najwyższe kierownictwo coś zaniedbało. To już pewne! Mleko się rozlało. Już nie da się cediwać odpowiedzialności tylko na lokalnych aparatczyków. Tu mogą polecieć i ważniejsze głowy. Tyle że w Chinach za obecnej admini-

stracji te głowy leciały i lecą. Była bezprecedensowa kampania antykorupcyjna, za pomocą której Xi Jinping usunął przeciwników. Po cząwszy od Bo Xilaia, który dzisiaj byłby w kierownictwie numerem 3, a nawet 2. Usunął też szefa bezpieczeństwa Zhou Yongkanga.

To niebezpieczna operacja.

– Chiny to *guanxi*. Najważniejsze są nieformalne więzi. Jeśli więc wyrzuca się szefa bezpieczeństwa, trzeba wyrzucić jej szereg prawie do spodu, bo każdy ma jakieś relacje. Ilu jest ludzi, którzy źle życzą Xi Jinpingowi? Z tego prostego powodu – że stracili intratne posady, majątek, zostali

wsadzeni do więzienia. Są też kwestie gospodarcze. Pięć lat temu był krach na giełdzie, Chińczycy stracili bilion dolarów, czyli tysiąc miliardów. W ciągu dziewięciu miesięcy.

Zaufanie zostało zachwiane

Jak więc jest ze społeczeństwem? Co ludzie będą pamiętać z epidemii? Doktora Li z Wuhanu? Jeżeli media są pod kontrolą, to one będą jedne sprawy przemilczać, a drugie powtarzać.

– Władza robi wszystko, żeby nie zostało zbudowane społeczeństwo obywatelskie, z własną świadomością. Bo wtedy byłoby już zupełnie inne rozdanie. Taka jest natura systemu autorytarnego. Niezależne media, niezależne społeczeństwo obywatelskie – tego w Chinach nie ma.

Dobrym narzędziem, by czegoś się dowiedzieć, jest internet.

– W Chinach cenzurowany. Z tym że miliony Chińczyków wyjeżdżają za granicę. Mają krewnych, dzieci na najlepszych uczelniach, mają inne źródła informacji niż tylko oficjalne. Poza tym na własne oczy widziałem, jak młodzi Chińczycy dobrze sobie radzą z omijaniem blokad – firewalla. W tym sensie pełnej cenzury już nie ma. Chyba że zbudują idealnego Wielkiego Brata poprzez chmurę, *big data*, który będzie nadzorował wszystkich z góry. To możliwe – tak jak system zbierania punktów i inwigilacji, który jest budowany.

Nasuwa się pytanie, czy społeczeństwo chce więcej wolności, czy nie.

– Zapytał pan jak klasyczny człowiek z Zachodu. Społeczeństwo chińskie jest wychowane w takim duchu, że jest hierarchia i szacunek dla władzy. I nie podważa się jej ani nie kwestionuje. Ale jeżeli władza raz, drugi, trzeci pokaże, że jest niekompetentna, wtedy może upaść.

Konfucjusz mówił, że jest wtedy prawo do buntu.

– Wtedy jest już prawo do buntu. Na dziś czegoś podobnego nie dostrzegam. Ale zaufanie do władzy zostało pod wieloma względami zachwiane. I władza doskonale o tym wie.

Czyli będą jakieś zmiany?

– Muszą być. Będą one uzależnione od tego, jak długo potrwa epidemia.

A gdzie zaczniesz się szemranie?

– W elitach. W partii musi coś się zdarzyć. Wytworzą się koterie. Różne wizje rozwoju państwa i społeczeństwa. To nie będzie ruch oddolny, to będą ruchy wewnątrz elit. Jakie – tego nie jesteśmy w stanie na tym etapie określić. Na razie ciągle rządzi strach. On rządził wcześniej, bo w Chinach panują rządy twardej ręki, ale na to nałożył się inny strach – że będą ofiarą potężnego wirusa.

Robert Walenciak

Boss uciekł z Warmii

Po upadku sprywatyzowanych
za czasów PO zakładów odzieżowych
130 szwaczek jest bez pracy

Marek Książek

Upadły sprzedane siedem lat temu niemieckiemu przedsiębiorcy zakłady odzieżowe Warmia w Kętrzynie. 130 doświadczonych szwaczek straciło pracę. Prywatyzację kętrzyńskiej firmy próbował powstrzymać prof. Tadeusz Iwiński, poseł SLD. Jako jedyny parlamentarzysta zareagował pod koniec 2012 r. na błagania załogi firmy, która miała przejść w ręce Waleriana Pichnowskiego – niemieckiego biznesmena o polskich korzeniach. Lewicowy poseł złożył w Sejmie interpelację do premiera Donalda Tuska „w sprawie procesów prywatyzacji noszących znamiona patologii”. Przykładem miała być sprzedaż dwóch zakładów Warmii: w Kętrzynie i Mrągowie. Poseł powoływał się przy tym na krytyczne informacje o inwestorze, któremu zarzucano doprowadzenie do upadku podobnych zakładów w Polsce. „Jak można sprzedać firmę za niecałe 7 mln zł, jeśli tyle warte są same grunty, na których stoją zakłady?”, pytał z mównicy. Wtedy Warmia zatrudniała w sumie ok. 700 osób.

Światowe marki w Kętrzynie

Polemizował z nim wiceminister skarbu państwa w rządzie PO Tomasz Lenkiewicz, który wprowadzał Pichnowskiego do Warmii. 7 stycznia 2013 r. Lenkiewicz przekonywał obecnych w Kętrzynie dziennikarzy, że biznesmen nie ma zaległości wobec polskiego fiskusa, a z jego oświadczenia wynika, że nie ma także długów wobec innych państw. Zapewniał poza tym, że ani ABW, ani CBA nic na niego nie znalazły. Sam Pichnowski nieco zirytyowany tłumaczył, że to jego następca doprowadził do bankructwa szczecińskiej Dalii, a firma w Rawiczu nie upadła, tylko (?) została zlikwidowana. Generalnie rysował przed załogą świetlaną przy-



Walerian Pichnowski
nie ma sobie nic
do zarzucenia.

szość i cieszył się, że Warmia będzie szyła odzież dla takich światowych marek jak Hugo Boss, Eduard Dresler czy Bugatti – o czym pisaliśmy w artykule „Warmia pod choinkę” (PRZEGLĄD nr 3/2013).

Pierwsze, co zrobił, to okroił zatrudnienie w administracji, dzieląc firmę na dwie spółki: Warmię Uno w Kętrzynie i Warmię Due w Mrągowie. Ich kapitał zakładowy wynosił po 5 tys. zł, więc w razie upadłości tyle właściciel mógł stracić. Jednak zyskałby znacznie więcej, bo w razie upadku spółek załoga poszłaby na bruk, ale majątek by pozostał. Tak jak marka Warmii, szyjącej np. kurtki dla polskiej reprezentacji na zimowe igrzyska olimpijskie, w tym dla Adama Małysza.

Początek upadku

Czarny scenariusz zaczął się sprawdzać już w połowie 2016 r., gdy właściciel próbował sprzedać grunty pod mrągowskim zakładem. Oferował działkę o powierzchni 30 tys. m kw., idealną „pod budowę mieszkań, produkcję spożywczą, hotelarstwo, ga-



W 2013 r. Warmia zatrudniała w sumie mniej więcej 700 osób.

Donalda Tuska, Mikołaja Budzanowskiego, to absolwent gdańskiej AWF. Co ciekawe, premier Tusk zdymisjonował go kilka miesięcy po sprzedaży Warmii. Ale nie za tę transakcję, lecz w wyniku operacji „Pokusa”. ABW podsłuchiwała zaprzyjaźnionych z Lenkiewiczem biznesmenów, którzy w kontaktach z nim „mogli dopuścić się korupcji i płatnej protekcji” w czasie prywatyzacji firmy w Kobyłce pod Warszawą. Gdy materiały z podsłuchów trafiły do prokuratury, wiceminister podał się do dymisji. W rezultacie Lenkiewicz nie został objęty aktem oskarżenia, ale lekko przybrudzony nie mógł już zajmować stanowisk w administracji rządowej. W końcu trafił do samorządu we Władysławowie, gdzie jest prezesem spółki zajmującej się gospodarką komunalną. Pytany, jak ocenia likwidację firmy, którą prywatyzował, odpowiada, że mamy rok 2020, więc od czasu sprzedaży Warmii wiele mogło się wydarzyć.

► stronomię, duży obiekt usługowo-handlowy” – jego anons cytowaliśmy w tekście „Warmia znów na sprzedaż” (PRZEGLĄD nr 29/2016). Ustaliliśmy również, że istniejące tam związki zawodowe zostały dosyć szybko spacyfikowane; szefowa OPZZ w Kętrzynie dostała posadę prokurenta spółki, a jej odpowiedniczka w Mrągowie też zaprzestała działalności. Pytany wtedy przez nas Pichnowski odpowiadał, że to sprawa biznesowa, ale załoga nie straci pracy. Potem okazało się, że część gruntu została sprzedana, a latem tego roku spółka Due upadła. Na likwidację wiodącej spółki w Kętrzynie nie trzeba było długo czekać. Z końcem zeszłego roku 140 osób dostało wypowiedzenie.

– Czuję się oszukana! – wyznaje jedna ze szwaczek. Druga skarży się: – Pracowałam w Warmii 25 lat, a pracodawca nie wypłacił mi jeszcze 6 tys. zł i tyle samo winny jest mężowi.

– On zalega z wynagrodzeniem po ok. 10 tys. zł na pracownika – potwierdza Grzegorz Prokop, dyrektor

Według szefa Powiatowego Urzędu Pracy w Kętrzynie właściciel Warmii zalega z wynagrodzeniem po około 10 tys. zł na pracownika.



Powiatowego Urzędu Pracy w Kętrzynie, gdzie zarejestrowała się ponad setka osób zwolnionych ze spółki Uno. – Muszą teraz iść do sądu, żeby dostać pieniądze z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Ale część znalazła już pracę w innych, podobnych firmach.

Szwaczki to skarb

Tomasz Lenkiewicz, który prywatyzację Warmii prowadził w imieniu ministra skarbu państwa w rządzie

Walerian Pichnowski twierdzi, że nie zalega nikomu z wypłatą. – Wszyscy pracownicy dostali odprawy, a część zakłada spółkę pracowniczą, która nadal będzie szyła odzież pod marką Warmia – zapewnia, grożąc jednocześnie sądem tym, którzy zarzucają mu, że nie rozliczył się z załogą. Na pytanie, dlaczego firma upadła, odpowiada: – Ponieważ musieliśmy podnieść cenę i Boss wycofał się ze współpracy. Ale wróci do Kętrzyna – dodaje z optymizmem 80-letni biznesmen.

– Wątpię, czy tak się stanie – zastanawia się jeden z przedsiębiorców tej branży. – Maszyny można kupić, ale cały sekret to znakomite szwaczki. Jak przestaną pracować w tym fachu, trudno będzie im wrócić do szycia.

– Od początku było wiadomo, że to się źle skończy – stwierdza prof. Iwiński i sugeruje, że sprawą powinna się zająć prokuratura. Interpelacji złożyć nie może, bo nie jest już posłem; olsztyńska lewica nie wystawiła go w wyborach.

Marek Książek

Z Galicji



Jan Widacki

Dotąd PiS wszystko uchodziło bezkarnie. Afera goniła aferę, skandal wybuchał za skandalem, wpadka następowała za wpadką. Na słupki poparcia wciąż nie miało to wpływu, czemu nie mogli się nadziwić socjologowie i politolodzy. Ale przecież jest granica. Jak to śpiewały dzieci: „Balon rośnie, że aż strach, przebrał miarę, no i... trach!”.

Spółeczeństwo nie reagowało na łamanie konstytucji przez prezydenta i rząd. Nawet na to, że w sprawach konstytucji prezydent jest ewidentnym krzywoprzysięcą. Wszak nie dość, że ślubował: „Uroczyscie przysięgam, że dochowam wierności postanowieniom konstytucji”, to jeszcze dobrowolnie dodał: „Tak mi dopomóż Bóg”. Nie reagowało też, gdy prokuratura, łamiąc postanowienia Kodeksu postępowania karnego, odmówiła wszczęcia śledztwa w sprawie wieżowców spółki Srebrna. Pozostawało spokojne, gdy PiS niszczyło Trybunał Konstytucyjny, wzmacniało władzę prokuratora generalnego,

we wszechmoc PiS i jego prezesa słabnie. A jeszcze palec posłanki Lichockiej, pokazany w Sejmie tym, którzy chcieli przekazania 2 mld na onkologię zamiast na TVP. Do tego inflacja, coraz bardziej odczuwalna, coraz bardziej zżerająca 500+.

Wszystko to musi niepokoić kierownictwo PiS z prezesem na czele, odbierać mu pewność, a być może wiarę w zwycięstwo Dudy w majowych wyborach. To uruchamia walki frakcyjne wewnątrz obozu władzy. Jak ktoś słusznie zauważył, buldogi już nie walczą pod dywanem, dawno przeniosły się na dywan. Mamy tu do czynienia ze sprzężeniem zwrotnym. Walki frakcyjne wewnątrz PiS osłabiają wiarygodność tej partii w elektoracie, a słabnąca wiarygodność ożywia walki wewnątrz partii. Wyraźne słabnięcie prezesa dodatkowo te walki stymuluje. Ziobro kontra Morawiecki, Kamiński kontra Ziobro. Banaś kontra cała reszta... I gdzieś tam na marginesie Gowin, który oficjalnie jest coraz bardziej za, ale wyraźnie coraz mniej się cieszy.

Korozja państwa PiS

upolityczniało Krajową Radę Sądownictwa, obrażało sędziów, ograniczając niezależność sądów i niezawisłość sędziowską. Przetykało porażki polityki zagranicznej, niewiele z nich rozumiejąc. Cieszyło się z antyinteligentnych wypowiedzi prezydenta, ministrów i posłów PiS, przewyższających w chamstwie i głupocie nawet antyinteligentne wypowiedzi Gomułki. Znosiło cierpliwie obrzydliwą propagandę sączącą się z ekranów telewizorów, produkowaną przez TVP i TVP Info. Zapewne co najmniej częściowo jej wierzyło. Trochę może denerwowały ludzi niebotyczne zarobki blondynek w Narodowym Banku Polskim, wyczyny niejakiego Misiewicza, trochę śmieszyły urojenia Macierewicza. Wszystko to jednak pozostawało bez wpływu na poparcie dla PiS i jego prezydenta.

Pozostawało, ale do czasu. Społeczeństwo zawsze premiuje władzę, która imponuje skutecznością, zdecydowaniem, jednością. A jak jeszcze taka władza, jednolita, zdecydowana i skuteczna, potrafi zagrać na patriotycznej nucie, wmówić chamowi, że w przeciwieństwie do elit jest autentyczny, polski, że przechowuje odwieczne wartości (jakby chamstwo i głupota, ksenofobia i antysemityzm były wartościami), że brak znajomości języków obcych jest cnotą i to raczej obcy powinni uczyć się polskiego... A do tego jak władza sygnie gotówkę, da 500+...

Ale afery z Banasiem pokazały, że ta władza nie jest jednolita, żre się między sobą, przestaje być skuteczna. Prokuratura i CBA wkraczają do Banasia, jego rodziny i do Najwyższej Izby Kontroli; w odwecie NIK wkracza do Ministerstwa Sprawiedliwości, prokuratury i do służb specjalnych, a PiS ze swoim „genialnym strategiem” Kaczyńskim jest bezradne. Na to nakłada się porażka na forum europejskim w sprawie „reformy” sądownictwa. Wiara

Jakby tego było mało, niefortunna gryząca szefowa kampanii prezydenckiej Dudy nie przysparza mu sympatii, raczej staje się dla niego źródłem kłopotów. I sam prezydent, podlizujący się ludowi w gminach i powiatach, z tym swoim zestawem min heroicznych, które chyba już nieco się opatrzyły i z groźnych stały komiczne, dokonujący coraz zabawniejszych podziałów społeczeństwa (ostatnio, jeśli się nie mylę, na „profesorów i Polaków”), nie jest już tym Andrzejem Dudą, na którego cześć jakaś polonijna śpiewaczka amatorka piszczała: „Andrzej Duda nam się udał”. Młode pokolenie, które na niego głosowało przed pięcioma laty, uwiedzione jego młodością i młodzięczością, dziś raczej produkuje ośmieszające go memy.

A jeśli jeszcze przed wyborami z jakiegoś pisowskiego lamusa wylezie, schowany tam ostatnio, Macierewicz ze swoimi smoleńskimi urojeniami, spisany w formie raportu kierowanej przez niego komisji, będzie to świadczyło, że prezes albo już naprawdę nie panuje nad tym, co w PiS się dzieje, albo przestał wyczuwać nastroje społeczne. Macierewicz jest w stanie podnieść tylko mały rdzeń żelaznego elektoratu PiS, wierzący w smoleński zamach. Odstraszy zaś wszystkich pozostałych. Tymczasem Duda, jeśli chce wygrać wybory, musi zdobyć ponad 50% głosów. Macierewicz ma szansę mu to uniemożliwić. Do roboty, Panie Antoni! Wszystkie trojły, rozpylony hel, sztuczna mgła, dobijanie tych, którzy przeżyli zamach, raz jeszcze na stół, w konfrontacji z pękającymi parówkami, zginiętymi puszkami po piwie i ekspertem, co „wykończył caracale”! Prosimy o bis!

PiS koroduje, samo traci wiarę w zwycięstwo, dzieli się na frakcje walczące o wpływy i władzę. Wymarzona sytuacja dla opozycji. Tylko czy potrafi ją wykorzystać?

Helena Leman

Z Romanną Czułowską, od kwietnia zeszłego roku nową sołtys, objeżdżamy Rytel. Po drodze z Rytle-Nadleśnictwa do centrum wsi jak okiem sięgnąć pustka po zwałonym przez wicheru lesie. Jadąc na Zarzecze, gdzie mieszka pani sołtys, zatrzymujemy się na skwerku przy ulicy Dworcowej, na którym kilka miesięcy temu wspólnymi siłami mieszkańców i darczyńców postawiono kapliczkę-pomnik.

– W powiecie chojnickim, do którego należymy, w wyniku wicheru zginęło pięć osób, w tym dwie harcerki z obozu w Suszku, a w naszym sołectwie nikt – podkreśla sołtys Czułowska. – Wielu starszych mieszkańców uważa, że uchroniła nas Matka Boża, nasza parafia jest pod jej wezwaniem. Przekrzywiony przez wicher dach kaplicy opiera się na martwym pniu buku, symbolizującym nasze zniszczone lasy. Na tym skwerze rosły potężne lipy, wszystkie runęły, przetrwała tylko ta jodła – wskazuje. – Posadowiony obok kamień ze słowami twórcy kaplicy i poety Jana Sabinia mówi wszystko: „Natura jest naszym domem – na dobre i na złe. Kto ją zrozumie, ten jej wybaczy”.

Odstąpienie pomnika planowano na 11 sierpnia 2019 r., dokładnie dwa lata po wicherze. Jednak odłożono je do 28 września. Władze gminy Czersk, do której należy Rytel, nie zdążyły wydać odpowiednich dokumentów, choć pismo w tej sprawie sołtys złożyła 29 maja 2019 r.

Mający ok. 2 tys. mieszkańców Rytel jak na wieś jest rozległy. Dwie stacje kolejowe, 56 ulic, 120 zarejestrowanych podmiotów gospodarczych, a od grudnia jeszcze Biedronka. Wieś przecinają droga krajowa nr 22, rzeka Brda i płynący równolegle do jej nurtu Wielki Kanał Brdy o długości 31 km. Głównym elementem jego systemu jest wybudowana w 1849 r. jedyna w Polsce zaporą schodkowa ze zbiornikiem wodnym. Historyczne przekazy wiążą powstanie kanału z zapotrzebowaniem pruskiego wojska na siano dla koni.

– W Zaporze (Mylof) – opowiada pani sołtys – mieści się Zakład Hodowli Pstrąga z dużymi tradycjami, zatrudniający ok. 100 osób. Jednak

Najważniejsze, że się odważyliśmy

Mieszkańcy Rytle czekają na odpowiedź z MSWiA w sprawie złożonego rok temu wniosku o odłączenie się od Czerska i utworzenie własnej gminy



doroczne Święto Pstrąga nam zabrano i przeniesiono do Wojtala. Kolejnym dużym zakładem pracy jest tartak w Rytle-Nadleśnictwie. Pierwsze dwa tartaki istniały tu już w drugiej połowie XIX w. Wywóz drewna umożliwiała powstała w 1873 r. linia kolejowa łącząca Rytel z Tczewem i Chojnicami.

Rozstanie po wicherze

Rytel od lat czuł się przez gminę w Czersku traktowany po macoszemu. „Ciekawi mnie – pytał internauta – dlaczego już dawno przestało się optać cokolwiek robić w Rytle. Dlaczego najlepiej z Dni Rytle

wolontariuszy, zebrano tony materiałów budowlanych i sprzętu, którymi obdzielano też sąsiednie gminy dotknięte kataklizmem, a na konto rytleckiego Stowarzyszenia Naszym Dzieciom z dopiskiem „Zawierucha” wpłynęło prawie 900 tys. zł, które przeznaczono na odbudowę zniszczonych domów i pomoc w oczyszczeniu lasów.

Poszkodowani mieszkańcy wątpliwości nie mieli, na zebraniu sołectkim po nawalnicy przywitali burmistrz Czerska gwiazdami i buczeniem. – Pomoc ludzka była większa niż pomoc państwa – podkreślał rolnik z Młynek. – Pani burmistrz w terenie bywa rzadko, ma słabe rozeznanie, jak my tu po tej wicherze żyjemy – skarżyli się ludzie, gdy w grudniu 2017 r. zbierałam materiały do tekstu „Zima pod folią” (PRZEGLĄD nr 51/2017).

W stanowisku opublikowanym w grudniu 2017 r. burmistrz Jolanta Fierek żaliła się: „Opinie o pracy urzędników wzbudzały wrogość do mnie i do moich współpracowników. Na lokalnym portalu sołtys

Po raz pierwszy Rytel został gminą w 1880 r. Wieś siedzibą gminy była też w latach 1934-1954 i 1973-1976.

zrezygnować? Po co nam boisko typu orlik? Po co nam Święto Pstrąga? Czy zniknęło to święto? Nie, ale ktoś lobbował za inną lokalizacją. Gdzie lokale, dyskoteki, które kiedyś istniały? Ludzie Ignęli do Rytle, a przyszedł pomysł, aby Rytel zaorać. Może czas na przebudzenie?”.

Po wicherze, gdy dowodzenie akcją pomocową przejął społeczny komitet z sołtysem Łukaszem Ossowskim na czele, Rytel się przebudził. Na całą Polskę stał się symbolem solidarności. Do wsi zjechały setki

Rytle napisał, że urzędnicy po kilku-nastu dniach dopiero »ruszyli« tyłki za biurka. To było oczywiście kłamstwo”. Dodawała, że inne gminy były równie dotknięte przez żywioł jak Rytel, sygnały rytleckiego społecznego komitetu „wzmagają u poszkodowanych poczucie traumy”, a „pomoc była miarkowana zgodnie z wytycznymi MSWiA”.

4 grudnia 2017 r. Łukasz Ossowski oficjalnie poinformował burmistrz Fierek o planach odłączenia sołectwa Rytel. Ta nazwała pomysł

nieracjonalnym ekonomicznie. Pisała: „Czy wolno pytać mieszkańców o wolę odłączenia, nie przedstawiając żadnej perspektywy?! Nie mówiąc, jak poradzą sobie z oświatą, pomocą społeczną, gospodarką komunalną, inwestycjami!”. Niepokornemu sołectwu odebrano zaplanowane na rok 2018 środki na inwestycje, m.in. na rozbudowę szkoły.

Mimo to pod inicjatywą do 12 lutego 2018 r. zebrano 1328 podpisów, co stanowiło ponad 60% mieszkańców sołectwa z czynnym prawem wyborczym. 16 marca 2018 r. odbyło się pierwsze spotkanie w sprawie odłączenia, dwa miesiące później ukonstytuował się Komitet

Wojna podjazdowa

– Zaraz po złożeniu wniosku zadzwoniłem do burmistrza i poinformowałem go o tym – podkreśla Łukasz Ossowski. – Ku mojemu zdumieniu potem przeczytałem jego wypowiedź, że o złożeniu wniosku dowiedział się z mediów.

22 lutego 2019 r. w rozmowie z „Gazetą Pomorską” Przemysław Biesek-Talewski stwierdził, że odrębne gminy to niepotrzebne mnożenie wydatków, a Komitet ds. Przywrócenia Gminy Ryteł nie przeprowadzał konsultacji, tylko zbierał podpisy pod swoim utworzeniem. „Dla mnie na dzisiaj zdania mieszkańców nikt

W wyniku ataków personalnych, prowadzonych również w internecie przez jednego z radnych, wcześniej członka komitetu, 7 marca 2019 r. Łukasz Ossowski zrezygnował z funkcji sołtysa, razem z nim odeszła rada sołectwa. Gdy dziś pytam go o przyczyny tej decyzji, ucina: – Nie spodziewałem się, że w niektórych ludziach jest tyle podłości.

W liście do mieszkańców sołectwa wyjaśniał: „Być może jestem z innej gliny i nie pasuję do hejterskiej rzeczywistości, w której do aktywnych osób strzela się zza węgła. Nie chcę udowadniać każdego dnia, że w swoich publicznych działaniach jestem uczciwym człowiekiem, że nie kieruję się prywatą ani niskimi intencjami, co przypisują mi niektórzy nowi radni gminy Czersk. Nie interesuję mnie stanowiska czy – jak sugeruje jeden z radnych – posłowanie do Parlamentu Europejskiego”.

25 marca do wyboru nowego sołtysa nie doszło. 16 kwietnia Ossowski zaproponował kandydaturę byłej policjantki Romanny Czułowskiej i zebranie wiejskie ją zaakceptowało.

Na 26 maja w sołectwie Ryteł wyznaczono konsultacje w sprawie odłączenia się od Czerska. Ostatecznie się nie odbyły, gdyż wojewoda pomorski uchylił uchwałę rady miasta w tej sprawie, ale przy okazji miała miejsce kolejna odsłona wojny podjazdowej. – W związku z konsultacjami wydrukowano z publicznych środków dwa rodzaje ulotek – opowiada Ossowski – z argumentami za odłączeniem i przeciw, bo tak uzgodniliśmy. Tylko że te przeciw odłączeniu były ładniejsze, na lepszym papierze. Gdy pytaliśmy, dlaczego tak się stało, wyjaśniono, że zaszła pomyłka w drukarni.

Dlaczego nie pozwolić małym

Gmina w Rytle to nic nowego. Mieszkańcy odwołują się do historii. – Po raz pierwszy Ryteł został gminą w roku 1880 – mówi pani sołtys. Wieś siedzibą gminy była też w latach 1934-1954 i 1973-1976. Przyszła gmina objęłaby tylko sołectwo Ryteł, 20 miejscowości; jej powierzchnia wynosiłaby 87,54 km kw.

Z opracowania GUS „Powierzchnia i ludność w przekroju terytorialnym w 2016 roku” wynika, że gmin wiejskich poniżej 2,5 tys. mieszkańców było w Polsce 39, a w przedziale od



Do majowego sprzątania Rytle zainicjowanego przez sołtys Romanę Czułowską stanęli nawet jej najwięksi oponenti.

ds. Przywrócenia Gminy Ryteł. Komitet analizował możliwości funkcjonowania nowej gminy. Zebrane dane, świadczące o tym, że gmina Ryteł może istnieć, przedstawiono mieszkańcom na spotkaniu 24 września. Po wyborach samorządowych nowym burmistrzem gminy Czersk został Przemysław Biesek-Talewski. 21 stycznia 2019 r. na zebraniu wiejskim podano do wiadomości, że wniosek w sprawie podziału gminy Czersk jest gotowy i ponownie wybrano Łukasza Ossowskiego na sołtysa Rytle.

13 lutego 2019 r. Komitet ds. Przywrócenia Gminy Ryteł złożył wniosek do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, powiadamiając jednocześnie prezydenta RP, wojewodę pomorskiego i burmistrza Czerska. Wniosek wysłano z sołectwa, a nie za pośrednictwem gminy Czersk.

nie zna. Liczymy, że sołtys i przewodniczący komitetu przedstawia informacje na najbliższej sesji. Na razie wiemy o wszystkim z mediów”, wyjaśniał.

Cztery dni później członkowie komitetu zostali zaproszeni na sesję Rady Miejskiej w Czersku. Reprezentował ich Łukasz Ossowski. Na nagraniach dostępnych na stronie gminy można usłyszeć, jak tłumaczy, że ponieważ sesja zaczęła się o godz. 13, większość członków komitetu jest w pracy. Zapewniał też, że komitet odpowie na wszystkie pytania rady na piśmie. Burmistrz zaś potwierdził, że Ossowski informował go o wniosku w grudniu i w styczniu na spotkaniu sołtysów, a także telefonicznie po jego złożeniu, jednak nie udostępnił mu jego treści. Potem nagranie urywa się, nie rejestrując najbardziej burzliwej części obrad.

► 2,5 tys. do 4999 mieszkańców aż 533. Do najmniejszych gmin wiejskich od lat należą np. podlaskie Dubicze Cerkiewne z 1,5 tys. mieszkańców.

– Ryteł nie byłby wcale najmniejszą gminą wiejską w województwie pomorskim – przekonują zwolennicy samodzielności. – Nieopodal nas jest gmina Konarzyny z ok. 11-milionowym budżetem, powierzchnią 104 km kw. i 2,3 tys. mieszkańców. Ryteł liczyłby ok. 3 tys. mieszkańców i budżet szacunkowo miałby wyższy o ok. 2 mln zł. Gmina Osieczna ma ok. 123 km kw. i 2,9 tys. mieszkańców.

– Wybory wygrywa się w miastach – zwraca uwagę Łukasz Ossowski. – Prób reaktywacji gminy Ryteł było kilka i kończyły się klęską, gdyż wnioszek o jej powołanie musiała przegłosować rada gminy miejsko-wiejskiej, jaką jest Czersk. W 2011 r. ustawę zmieniono, głosowanie rady musi się odbyć, lecz nie jest wiążące. Wszystko zależy od decyzji ministra spraw wewnętrznych i administracji. Trzeba czekać, najważniejsze, że się odważyliśmy.

Ministerstwo analizuje, gmina: inny wniosek

Latem 2019 r. Łukasz Ossowski zadzwonił do dyrektora departamentu administracji w MSWiA, który wyjaśnił mu, że brak pisemnej odpowiedzi oznacza, że wniosek nie został odrzucony, lecz rozpoczęcie procedowania może nastąpić dopiero po wyborach parlamentarnych. Dziś Biuro Prasowe MSWiA na moje pytanie, czy wszczęto już procedurę, odpowiada: „Informujemy, że sprawa jest analizowana i w najbliższych tygodniach będzie konsultowana z inicjatorami tej propozycji”.

Niepokornemu sołectwu odebrano zaplanowane na rok 2018 środki na inwestycje, w tym na rozbudowę szkoły.

– Obowiązkiem każdej jednostki samorządu terytorialnego jest stanie na straży jej integralności – mówi Grzegorz Zabrocki, sekretarz gminy Czersk. – Podtrzymujemy stanowisko, że mieszkańcy podpisywali się nie pod wnioskiem o odłączenie sołectwa Ryteł od gminy Czersk, lecz pod utworzeniem Komitetu ds. Przywrócenia Gminy Ryteł, a to nie

jest równoznaczne. Według nas żadna formalna procedura w sprawie podziału gminy Czersk nie została uruchomiona.

Tajemnicą poliszynela jest, że przeciwni oderwaniu się Rytle są także rytełscy radni. Podział gminy, jak wyjaśniał radca prawny na sesji 26 lutego, oznacza bowiem wygaśnięcie mandatów. Grzegorz Zabrocki w tej sprawie wypowiadać się nie chciał. Dodał tylko, że wierzy w mądrość administracji szczebla centralnego.



Koszulki z napisem „Sołtys” były wyrazem poparcia dla Romanny Czułowskiej.

Ocalić potencjał

Romanna Czułowska, która do komitetu nie należy, powtarza, że reprezentuje wszystkich mieszkańców Rytle, również tych, którzy odłączeniu są przeciwni. Uważa, że każdy podział da się zasypać, a energii i potencjału, jakie są w Rytle, zmarnować nie wolno. Mimo to lekko nie ma. Gdy w maju

w dostawach prądu, decyzjach o podatku od nieruchomości, które sołtys dostarcza osobiście, a także o budowie wodociągu i kanalizacji do Zapory, na co gmina Czersk pozyskała prawie 2 mln zł środków zewnętrznych, nie bez pomocy rady sołectkiej.

„Pani sołtys działa pełną parą, nawet w niedzielę”, chwali ją na stronie mieszkanka. 12 lutego, gdy rozmawiamy, Romanna Czułowska za chwilę ma spotkanie z seniorami, w grudniu we współpracy z parafią, Stowarzyszeniem Naszym Dzieciom, nadleśnictwem i tartakiem zorganizowała po raz pierwszy w Rytle jarmark bożonarodzeniowy. Około tysiąca osób przyszło, aby wspólnie wypić grzańca, kupić wyroby lokalnej kuchni, obejrzeć występy artystyczne, rozświetlenie choinki i wielkiego napisu Ryteł. We wsi zbierane są też środki na rehabilitację dziewięcioletniego Alana, który uległ poparzeniu. Na pierwszą licytację przedmioty podarowała goszcząca w kwietniu w Rytle para prezydencka, akcję koordynują sołtysi byli i obecni. Dzwonią też do Rytle starzy i nowi wolontariusze. W czerwcu menedżerowie z Warszawy pomagali odmalować kąpielisko. Łukasz Ossowski właśnie pomaga w organizacji zimowiska dla niepełnosprawnych dzieci, zrobił uprawnienia strażackie, działa w radzie społecznej przy RPO.

– Trzeba robić swoje, stawiać sobie nowe cele, ale też umieć czasem się odsunąć. I nie dać się wciągnąć w politykę. Zdenerwował mnie reportaż „Supervizjera”. Jeszcze chwila i ktoś dorobi teorię, że zorganizowałem spotkanie premier z gangsterami. A ci ludzie stali po pas w wodzie i wyciągali drzewa z kanału Brdy, wtedy tylko to się liczyło – żyma się Ossowski.

Po drodze z Zarzecza do centrum Rytle zaglądam jeszcze na cmentarz ewangelicki uporządkowany wspólnymi siłami z inicjatywy byłego sołtysa. W miejsce 80 drzew, które runęły podczas wichury, nasadzone nowe. Na ulicy Chojnickiej wita mnie w progu nowego domu Irena Schmidt. Mówi, że gdyby nie Łukasz Ossowski, pewnie wciąż mieszkałaby z rodziną pod folią albo w kontenerze jak w grudniu 2017 r., gdy rozmawialiśmy. – Oskarżono go, więc odszedł, ale zawsze powtarza: „Mój telefon się nie zmienił” – dodaje.

Helena Leman

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Wirus jest dobry na wszystko

Niechże już przyjdzie ten koronawirus i tu śmiertelnie pozamiata, żniwo niech zbierze, niech nie zostawi wątpliwości, że gorszy jest nie tylko od grypy (co niestety prawdą nie jest), ale w ogóle od wszystkiego, co nas dopada ostatecznie, a czym zając się władza nie chce, nie umie, nie lubi.

Z wirusami żyjemy od lat za pan brat i pani siostra. Niektórzy oczywiście nie żyją, bo umarli. Bo niekiedy taki wirus dołoży swoje do pieca (ale nie do tego pieca, gdzie na zdrowaśki się wkładało onegdaj), do innych chorób i starości na przykład – i koniec, przychodzi krysa na Matyska, jako i na nas przyjdzie. Ale taka grypa, przed którą nie lubimy się zabezpieczać (co będzie potomek husarii i wyklętych bał się kaszelku i kichania) i szczepić, choćby zabijała realnie, co rok i rok w rok, już nam się przejadła, znudziła, już się zadowoliła. Ani tuman, ani przestrasza, chociaż zabija. Coś nowego musi być. Wirus w koronie, nowy, z daleka, nieznany, obcy, nagły i niespodziewany.

No i jest! Prawie jest... Kiedy piszę te zawirusowane jadłem słowa, podobno jedna łodzianka została namierzona i położona. Ale w Chinach i Azji tysiące, we Włoszech szkoły zamykają, ludziska w domach siedzą i nie wychodzą. I co tam fakty, że mniej groźny niż grypa i te ostatnie, co się przez świat przebiegły, że 80% zawirusowanych przechodzi to tak lekko, że z trudem zauważa, że cokolwiek im się przydarzyło, że innych daje się wyleczyć. Że umierają niemal sami staruszkowie, którzy cierpią na inne przypadłości i choroby. Najważniejsze, że same legendy o pojawieniu się, zbliżaniu, nadchodzeniu (pan wirus już się zbliża, już puka do mych drzwi) wszystkim pozwalają się wykazać.

Władza powie, że kontroluje wszystko, choć nie panuje nad niczym. Zapewni o procedurach, które nie istnieją. Rozdzieli zadania, choć nie ma komu.

Były marszałek Senatu, lekarz Karczewski, pokaże, jak prawidłowo myje się ręce, bo profesor medycyny, a obecny marszałek Senatu, pokazał źle. No i najważniejsze: kiedy nadchodzi nowy wirus (a będą przybywać, oj będą, ostatnio na rozmarzającej Antarktydzie wykryto kilkadziesiąt nieznanych ludzkości od tysięcy lat wirusów), nie trzeba się zajmować rzeczywistymi, prawdziwymi chorobami, które zabijają najczęściej i najwięcej mają ofiar na koncie. Onkologia? Trzeba zapomnieć. Propaganda publicznych mediów za zabrane pieniądze na onkologię opowie, jak dobrze walczy

się wirusa, nie boi się, kiedy idzie i kiedy leży, kiedy leci i kiedy jedzie, kiedy mówi i kiedy milczy. Cały czas się nie boi. I wzywa dumnych Polaków, żeby dali odpór wirusowi, modlitwą i ofiarnością, staropolską – nie wiem, jaki to musiałby być wirus, żeby się nie ugiął po takim *dictum*. Andrzej „antywirus” Duda obieca nam wszystko, jak to ma w zwyczaju, w zwyczaju nie ma tylko bycia prezydentem. Pochwali zaraz Mateusza premiera, a premier w masce pojedzie do szpitala, gdzie są zwykli, nudni chorzy na swoje przestarzałe, śmiertelne choróbka. I zapewni nas, że panuje nad wszystkim,

Andrzej „antywirus” Duda obieca nam wszystko, jak to ma w zwyczaju, w zwyczaju nie ma tylko bycia prezydentem.

rząd, ten rząd, z koronawirusem, z którym nie walczy. Ginący na drogach, na pasach – dajcie spokój, ten koronawirus to dopiero zabójca skośnooki. Statystyki samobójstw dzieci i młodzieży? Jedne z najwyższych w Europie – nie ma co się mazgać, inwestować w psychiatrię dziecięcą czy choć utrzymać ją na powierzchni. Koronawirus to dopiero zagadnienie! Generalnie nadejście takiego mitycznego mordercy pozwala zawiesić wszelkie formy działania na tych frontach, gdzie naprawdę kosztuje ostre żniwa urzęda. Raki, choroby serca, śmierć od zanieczyszczonego powietrza, choroby społeczne i cywilizacyjne jak alkoholizm i inne uzależnienia – cicho sza, teraz mamy wirusa. Wojskowy Instytut Higieny i Epidemiologii właśnie stracił swoich szefów, genialnie wpasowały się ich dymisje w czas nadejścia nowego wirusa.

Nie mogę się doczekać, kiedy do walki z koronawirusem stanie prezydent-kandydat na prezydenta. Jak przemówi, jak się zatręsie, jak potoczy groźnym spojrzeniem i da mu w swoim wiecowym stylu do wiwatu. „Andrzej Duda nie boi

a zapanuje jeszcze lepiej, jak nikt nigdzie na świecie nie zapanował. I że Polska przegoniła Chiny, bo jest lepsza. I ma byłego marszałka, co wie, jak myć ręce, żeby je umyć, chociaż zapomniiał wpisać do papierów, że jako marszałek tak mył ręce, że zarobił w swoich szpitalach dodatkowe kilkaset tysięcy złotych ponad pensję senatora. Cały rząd myje ręce. Żeby je umyć. Tak to się skończy. Chorzy – pomarzyć o tym, żeby mieć koronawirusa, bo inaczej marnie z wami.

Ziemia – wielka cyfrowa fabryka

Oferuje się nam produkt dokładnie taki, jaki chcieliśmy – tylko z logo jednej z pięciu największych korporacji

Rozmawia Roman Kurkiewicz

W jakim kapitalizmie żyjemy?

– Nasz kapitalizm radykalnie różni się od tego, z którym mieliśmy do czynienia w czasach wielkich fabryk i kapitalistów w cylindrach. Dzisiaj świat wygląda inaczej i to jest zmiana dogłębna, jakościowa. Przyjęło się go nazywać kapitalizmem kognitywnym, ponieważ największą maszyną, która wytwarza dzisiaj wartość, jest ludzki umysł. Całe społeczeństwo jest wyedukowane, rośnie liczba studiujących, ludzie specjalizują się w swoich branżach. Większość osób w najbogatszych, najbardziej rozwiniętych technologicznie państwach – w Europie, USA, Japonii – pracuje „umysłowo”. Powstały platformy cyfrowe,

connect the world Marka Zuckerberga. Mówili językiem korzyści i myślimy się na to nabrali. Nie zrozumieliśmy, że za fasadą tych platform ukryto mechanizm, który z jednej strony jest czystym nadzorem, pilnuje każdego naszego kroku, pobiera ciągle dane o tym, co lubimy i dlaczego to lubimy, co kliknęliśmy, cały czas algorytmami modyfikuje to, co widzimy, tak żeby manipulować naszymi zachowaniami, a z drugiej zasysa ogromną ilość danych i na ich podstawie projektuje, buduje i sprzedaje nam nowe produkty, algorytmy, urządzenia. W końcu od nas samych wie, co będziemy najbardziej lubili w kolejnym iPhone, i dlatego może produkować coraz lepsze modele. Dzięki dostępowi do tej wiedzy o nas wycina potencjalną, tradycyjną konkurencję.

Apple jest jedną z pięciu najdroższych firm na świecie, a do państwa w podatkach wracają grosze.

nastąpiła automatyzacja fabryk, w których pojedynczy inżynierowie doglądają maszyn. Dzisiejsi najpotężniejsi gracze, tacy jak Facebook czy Google, są niemal wirtualni i nie muszą w ogóle być w Polsce, czy gdziekolwiek, żeby działać, zarabiać, a także śledzić każdy nasz krok w internecie.

Jesteśmy wszyscy robotami w wielkiej, globalnej, cyfrowej fabryce i pracujemy w niej ochotniczo, nie zarabiamy na tym, nie znamy właścicieli...

– Tak i bardzo trudno nam sobie zdać z tego sprawę właśnie dlatego, że ta fałszywa umowa społeczna, którą nam zaproponowano, jest taka: „Wy macie internet za darmo...”. **Zaproponowano nam?**

– Dano. Podpisaliśmy ochotczo regulaminy, które nam podsunęto, licząc, że ci informatycy, technokraci mówią prawdę, kiedy twierdzą, że chcą połączyć świat. To słynne

I zarabia krocie. Kiedyś Frederick Winslow Taylor, twórca taylorizmu, zarządzania technokratycznego, mówił: „Mierzcie każdy ich krok, kąty nachylenia łopaty”, a Henry Ford: „Produkujemy auta w dowolnym kolorze, pod warunkiem że będzie to czarny, ale każdego będzie na nie stać”. Dokładnie to samo wydarzyło się dzisiaj. Każdy nasz krok jest kontrolowany przez cyfrowe aparaty, z tego powstaje wiedza o tym, czego oczekujemy. I wtedy oferuje się nam produkt dokładnie taki, jakiego chcieliśmy – i możemy być pewni,

Jan J. Zygmuntowski – doktorant ekonomii, absolwent Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, prezes zarządu think tanku InStrat. Naukowo zainteresowany problematyką rozwojową, systemami gospodarczymi, ekonomią innowacji oraz polityką publiczną.



JAN J. ZYGMUNTOWSKI

– ekonomista, prezes Fundacji InStrat

że będzie miał logo jednej z pięciu największych korporacji.

Ale wpadliśmy też w pułapkę „otwartego dostępu”. Nie zdajemy sobie sprawy, że to kolejny mechanizm, który pracuje na rzecz gigantów.

– Oczywiście powinniśmy wspierać kierunek otwartego dostępu, ale musimy być bardzo świadomi, jakie sieci zastawili na nas tym samym kognitywni kapitaliści. Jeśli otwarte zasoby przepływają przez ich sieci, to oni i tak na tym zarabiają, a my nie mamy alternatywy. Na uniwersytetach głoszą konieczność komercjalizacji nauki.

Jesteśmy świadkami prywatyzacji wiedzy kumulowanej przez tysiące lat. Pod pozorem policzenia, parametryzacji osiągnięć naukowców wprowadza się mechanizmy komercyjnych wymagań. Wszystko musi bezpośrednio i natychmiast przekładać się na możliwe zyski biznesu czy gospodarki.

– Nie zrozumieliśmy tylko, że proces prywatyzacji uniwersytetów będzie postępował i nie każdy uniwersytet będzie obfitował w patenty i start-upy jak Dolina Krzemowa. Przewiduje się dla uniwersytetu rolę podwykonawcy. Tam powstaje wiedza, za publiczne pieniądze. I wtedy jej wybrane elementy się komercjalizuje. Z kolei ci, którzy produkują na uniwersytecie wiedzę krytyczną, chociażby marksiści, humaniści, ci, którzy badają historię, kulturę, język,

Najpierw ograbią nas, tak jak pierwsi kapitaliści, którzy grodzili pola. Pole było wspólne, ale nagle stawiali płot i żołnierzy i mówili, że pole jest ich, a my możemy na nie wejść, tylko musimy zapłacić. Jednym z ważnych wniosków Mariany Mazzucato jest to, że musimy trzymać dane w domenie publicznej.

Co jest towarem w kapitalizmie kognitywnym?

– Informacja, zapisana za pomocą ciągów liczb zbudowanych z jedynek

Banki takie jak Goldman Sachs, JP Morgan czy ogromne fundusze są najpotężniejsze, bo to przez nie przepływa większość obrotów.

wydają się raczej nieprzydatni. Ich praca jest atakowana, spychana na margines. Z tego też powodu w Polsce reforma idzie w kierunku międzynarodowej konkurencyjności. Problem w tym, że badania nad polską kulturą niewiele na świecie interesują.

Żyjemy złudzenie, zdemaskowane choćby przez Marianę Mazzucato w „Przedsiębiorczym państwie”, że ten nowoczesny kapitalizm startupowy, cyfrowy, kognitywny jest taki innowacyjny. Ona zaś udowadnia, że właściwie wszystkie te innowacyjne rzeczy, które nam się sprzedaje, zostały wymyślone, opracowane, wytworzone za publiczne pieniądze uniwersytetów albo wojska. Najdoskonalszym przykładem jest iPhone.

– Sektor publiczny nie zatroszczył się o pilnowanie tych rzeczy. Często powstawały firmy uniwersyteckie, które miały patenty, ale swobodnie je odsprzedawały jakimś przedsiębiorstwom, a do uniwersytetu wracało niewiele. Warto zwrócić uwagę, że prywatna, oddolna inicjatywa ludzi jest w jakimś stopniu potrzebna, bo oni rzeczywiście wzięli technologie wojskowe i poskładali w produkt konsumencki. Problemem okazuje się właściwy balans. Apple to jedna z pięciu najdroższych firm na świecie, a do państwa w podatkach wracają grosze.

Szczególnie powinniśmy się martwić o sztuczną inteligencję, którą zbudują dla medycyny, edukacji, przewidywań konsumenckich czy zarządzania siecią energetyczną.

i zer. Całą ludzką wiedzę, złożone produkty informacyjne – książki, filmy, patenty – mamy skondensowaną, zapisaną w tych ciągach liczb. I one, przetwarzane, przesyłane, rozsyłane przez cały przemysł ICT (technologie informacyjno-komunikacyjne), są najważniejszym i najcenniejszym towarem. A tak „zapakowana” wiedza może być niezwykle tanio przetwarzana.

Ten obrót informacją jest kluczowy. Czy ona jest prawdziwa, czy nie, to już nieistotne. Właściwie w przypadku mediów nawet lepiej, że jest fałszywa, bo wtedy mniej kosztuje, a szybciej i szerzej się rozprzestrzenia.

– To jeden z głębszych wątków w mojej pracy, która ukaże się drukiem w marcu. Podobnie w kapitalizmie na początku najważniejsze było

teraz najważniejszy jest szybki obrót kapitałem, co pokazują np. komputery służące do HFT, *High Frequency Trading* – handlu wysokich częstotliwości. To technika inwestowania polegająca na zawieraniu wielu transakcji giełdowych w jak najkrótszym czasie. Znaczenie może mieć każda milisekunda. W 2009 r. HFT stanowił 65% wolumenu na amerykańskich rynkach kapitałowych. Obracamy już nie samym kapitałem, tylko informacją, bo musimy wiedzieć, jaka jest wycena danej spółki, jak ona zmienia się w czasie. W coraz większym stopniu te maszyny (komputery) zaczęły obracać czystą informacją. Kapitał finansowy rozumiał, że jest kapitałem informacyjnym.

I tak powstało coś, co nazywamy cyklem kapitalizmu kognitywnego, takim cyklem akumulacji – z danych powstają aplikacje zbierające nowe dane, cyklicznie te ogromne silosy danych robią się większe. Prędkość tego przepływu, punkty w sieci, przez które muszą przepływać dane, wskazują, kto jest najsilniejszy we współczesnym kapitalizmie. To trochę tak, jakby w XIX w. całość szyn kolejowych, wagonów, lokomotyw, stacji, kolejarzy, kopalni węgla, hut stali należała do jednego albo dwóch właścicieli. A tak obecnie wygląda struktura posiadania kapitalizmu kognitywnego. Dlatego banki takie jak Goldman Sachs, JP Morgan czy ogromne fundusze inwestycyjne są najpotężniejsze, bo to przez nie przepływa większość obrotów. Jeszcze potężniejsze są Facebook, Google, Amazon, ponieważ przez nie

Jeszcze potężniejsze są Facebook, Google, Amazon, ponieważ przez nie przepływa większość informacji.

oczywiście posiadanie środków produkcji: ziemi, maszyn itd. Szybko się okazało, że prawdziwą akumulację tego kapitału uzyskuje się nie z jego posiadania, ale z obracania nim, to znaczy tworzenia różnych skomplikowanych produktów finansowych i przewidywania, czy cena danych aktywów wzrośnie, czy spadnie.

To zjawisko było źródłem kryzysu w roku 2008.

– Tak, zamiana produkcji materialnej na dominację produktów czysto finansowych zwiększyła skalę spekulacji przed 2008 r. Okazało się, że

przepływa większość informacji. To jest kapitalizm, który jest kognitywny, a zarazem skrajnie finansowy.

Czy jeśli pojęcie wyzysku najlepiej opisuje kapitalizm XIX w., to dzisiaj głównym skutkiem negatywnym jest skrajna nierówność?

– Myślę, że nie ma jednego słowa, ale na pewno hasłami, które otwierają odpowiednie szuflady w głowie, są nierówność i prekarność. Prekarność, bo obecnie każdy z nas jest bezustannie poddawany parametryzacji, testom; system sprawdza, czy jesteś dobry, system cię podlicza, ▶

► pracodawca wycenia. Testy zaczynają się już w szkole, później oczywiście na uczelniach, w pracy. Nawet w pracy umysłowej. Jeszcze w latach 70. inżynierom wydawało się, że mogą siedzieć przy desce kreślarskiej, spokojnie opracowywać swoje plany

Każdy z nas jest bezustannie poddawany parametryzacji, testom; system cię ocenia.

i nie przydarzy się im nic złego. Ale dziś musisz w ciągu miesiąca oddać X produktów intelektualnych, a jeśli tego nie zrobisz, nie jesteś produktywny. Excel nie wybacza i nie zapomina. Tą parametryzacją, cyfrowym tayloryzmem, jesteśmy objęci wszyscy i to też stwarza warunki pracy pozbawionej bezpieczeństwa, przewidywalności, stabilności, praw pracowniczych, utożsamienia, które nazywamy prekaryzacją. Każdy z nas może w dowolnym momencie lekko się poślizgnąć – nie ma żadnego zabezpieczenia, spadasz na samo dno. Klasa średnia została w pewnym sensie rozerwana. Jej drobna część dołączyła do klasy wyższej i dziś walczy z nią o to, kto ma kontrolę nad światem. Przykładem jest Donald Trump, jego środowisko. W USA mieszka prawie połowa światowych milionerów, ich globalną liczbę szacuje się na ok. 30-40 mln ludzi. To oni aspirują do grupy najbogatszych – udaje się nielicznym. To samo w Polsce, alternatywna elita prawicowa, która bije się z dominującą elitą liberalną. Ta drobna część klasy średniej została więc wywindowana, ale 90% zjechało na samo dno.

Jaki będzie tytuł twojej książki?

– Roboczo: „Fabryka sieci. O ekonomii intelektu powszechnego”. Próbuje zbudować taką interdyscyplinarną syntezę. Cały zarys i nazwa pochodzi od fragmentu „Kapitału”, w którym Marks mówi wprost, że wraz z potężnym rozwojem techniki i maszyn nadejdzie moment, w którym wszystko wokół nas będzie poruszane siłą intelektu powszechnego, takiej kolektywnej wiedzy ludzkości. Nie mógł wtedy wiedzieć o komputerach, oprogramowaniu, ale rozumiał, że w jakiś sposób automaty poruszane ludzką wiedzą będą napędzać cały świat.

To coś, czym właśnie się zajmuję, próbując zrozumieć, w jaki sposób

możemy tę powszechną inteligencję odzyskać dla nas. Dowodem, że druga strona też rozumie, czym jest ekonomia intelektu powszechnego, jest to, jak powstawał Google. Sergey Brin i Larry Page, tworząc go w 1998 r., wprost pisali o tym, że ich

wyszukiwarka wykorzystuje pracę użytkowników internetu, którzy wklejając linki do innych stron, tak jakby komunikowali: „Oceniam tę stronę jako wartościową”. Wystarczy spojrzeć, kto linkuje do kogo, i można tę darmową, przyjacielską pracę internetową wykorzystać do stworzenia ogromnej wyszukiwarki, a później oczywiście zamienić ją w maszynkę do robienia pieniędzy. Dzięki ekonomii intelektu powszechnego próbuję zrozumieć, jak moglibyśmy od samego początku budować Google’a z naszego intelektu, ale dla

Wystarczy spojrzeć, kto linkuje do kogo, i można tę darmową pracę wykorzystać do stworzenia ogromnej wyszukiwarki, a później zamienić ją w maszynkę do robienia pieniędzy.

nas wszystkich. Korzystam trochę z krytycznej teorii komunikacji, która mówi o tym, jak kapitalizm zmienia nasze formy komunikacji, ale i z ekonomii feministycznej, która mówi, jak wartościowe, choć nieopłacane, są opieka, edukacja i wychowanie.

Badania Oxfamu pokazały, że jakość tej opieki kobiecej, domowej jest wyższa niż wartość sektora IT.

– Tak, ale to właśnie pokazuje, jak sektor IT czeka, aż dziecko podrośnie, zostanie wychowane, wykształcone, przejdzie przez uniwersytet, nauczy

się programowania, a wtedy sadza je przy komputerze i powoli wykręca z niego pieniądze. Łączę te wszystkie elementy, wracam do zapomnianej polskiej szkoły rozwoju, czyli do Michała Kaleckiego, Oskara Langego, Róży Luksemburg, postaci, które wyobrażały sobie świat niekapitalistyczny. Oczywiście 70 lat temu Oskar Lange musiał przegrać debatę, proponując planowanie gospodarki przy użyciu maszyn obliczeniowych, ponieważ komputery raczkowały. Planowanie, wyśmiane jako model funkcjonowania gospodarki, jest dzisiaj codziennością każdej wielkiej korporacji. To podstawa nowoczesnego zarządzania. Udowadnia to choćby Amazon, zachęcając dostawców do rezygnacji z rynkowych zakupów na rzecz wspólnego planowania dostaw i produkcji.

Jak wygląda dzisiaj fundamentalny spór z kapitalizmem o własność?

– Zaczęłam niedawno inaczej patrzeć na ludzi, którzy trzymają smartfony. Nie jak na uzależnionych,

bo niekoniecznie jesteśmy uzależnieni, np. po prostu rozmawiamy ze znajomymi. Ale w tle zawsze jest praca. Kiedy jadę metrem i wszyscy ludzie patrzą w smartfony, to sobie myślę, że oni już są w pracy. Jeszcze tego nie wiedzą, ale już pracują, mimo że siedzą w tym metrze. Ta perspektywa tworzy zupełnie nowy spór.

Jeśli chodzi o domenę wspólną, to wspólnice są moją propozycją otwarcia prywatnych silosów, czyli tych korporacyjnych zbiorów danych, przeniesienia danych i wykorzystania

EKONOMIA PRZYSZŁOŚCI

Rozmowa wokół wątków „polityki radykalnych technologii” w cyklu „Ekonomie przyszłości” zorganizowanym przez Biennale Warszawa, kurator Przemysław Wielgosz z „Le Monde Diplomatique Polska”. „Ekonomie przyszłości” to intermedialny projekt, którego celem jest poszerzenie pola debaty ekonomicznej w Polsce, włączenie do niej ignorowanych lub marginalizowa-

nych dotąd wątków, tak by otworzyła się na wyzwania przyszłości. Więcej: biennalewarszawa.pl/ekonomie-przyszlosci



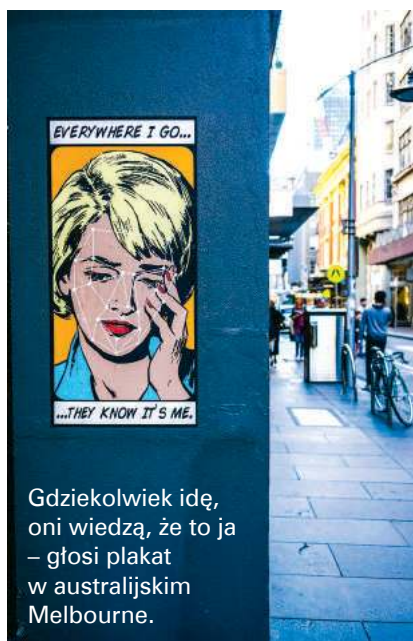
ich dla naszego zysku, a nie do akumulowania zysków przez wielkie platformy cyfrowe. Dane o nas mają ogromną wartość i nie powinny służyć tylko do wyświetlania reklam czy nawet manipulowania naszymi wyborami politycznymi przez Cambridge Analytica. Mogą służyć do tego, żeby pokazywać, jakie możemy mieć schorzenia, żeby móc wcześniej reagować. Mogą pokazywać dzieciom, jak powinny się uczyć. Wszystkie badania wskazują, że najsukuteczniejsza jest edukacja jeden na jeden – nauczyciel, który przychodzi do dziecka, pyta, z czym ma ono problem, i ten problem rozwiązuje. Oczywiście nie możemy mieć jednego nauczyciela na jedno dziecko, więc musimy posłużyć się technologią, żeby ta powszechna edukacja mogła dziecko wspomagać. Dodajmy do tego to, jak zaprojektujemy świat wokół siebie, żeby nie zniszczyć planety i zużywać mniej surowców. To wszystko są kwestie, które możemy rozwiązać, jeśli tylko te dane zaczniemy zbierać, agregować w publicznej domenie. To nie znaczy, że mają być otwarte. Bo znowu przyjdą giganci i je sobie skopiują. One mają być strzeżone, wedle pewnego etosu, w publicznych instytucjach. To są nasze wspólne dane i powinniśmy udostępniać je tylko tym, którzy chcą rozwiązywać nasze wspólne problemy o charakterze cywilizacyjnym. Wtedy ochronimy prywatność. I to napędzi postęp technologiczny, innowacje.

To postulat polityczny.

– Taka jest specyfika ekonomii politycznej, że przez analizę ekonomii dochodzi się do wniosków politycznych. Widzimy, jak ten system działa. Szczególnie ekonomia markowska mówi wprost, że nie ma żadnej statyki, system jest dynamiczny. Akumulacja kapitału, podstawa analizy Marksa, jest dynamiczna, czyli obserwujemy proces stałego powiększania. Jest więc proces. Próbuje się zrozumieć, czym może się skończyć i czy mamy na niego wpływ.

Ciągle jeszcze mamy?

– Na szczęście tak. Chociażby w medycynie, która będzie następnym ogromnym polem walki. Firmy takie jak Facebook wkraczają w kolejne obszary, gdzie można zebrać dane o tym, jak myślisz i rozmawiasz. Ale jest jeszcze jeden krok



Gdziekolwiek idę,
oni wiedzą, że to ja
– głosi plakat
w australijskim
Melbourne.

bardziej w głąb ciebie, czyli bezpośrednio w to, jak funkcjonuje twoje ciało, w każdej sekundzie. W wielu krajach po II wojnie światowej zbudowali systemy powszechnej opieki zdrowotnej i tam – w Polsce obecnie w NFZ – znajdują się ogromne ilości danych, na które czekają korporacje. Ten system jest powoli rozbierany przez prywatne firmy, ale musimy go bronić. Bo to po prostu rozbicie publicznego banku. Myślę, że propozycja wspólnic danych, które z jednej strony przejmą informacje od NFZ, żeby je zabezpieczyć przed atakiem na służbę zdrowia, a z drugiej zacząć brać te

Następnym polem walki będzie medycyna. Firmy takie jak Facebook wkraczają w kolejne obszary, gdzie można jeszcze zebrać dane o tym, jak myślisz i rozmawiasz.

dane także od prywatnych usługodawców, zabezpieczy je przed atakiem kapitalizmu kognitywnego. Pewną analogią obrazującą działanie wspólnic mogłaby być specyfika działania Biblioteki Narodowej, która dysponuje wszystkim, co historycznie powstało, zostało zapisane, wydrukowane, ale nadal zbiera każdą kolejną publikację, a np. prywatni wydawcy mają obowiązek wysyłania jej każdej ukazującej się pozycji. I takie niesprywatyzowanie informacji o naszym zdrowiu i organizmie mogłoby się udać.

Byt instytucji, które ochraniają nasze zdrowie, zapewniają opiekę społeczną i bronią praw pracowników, jest dzisiaj zagrożony.

– Bardzo groźne jest to, że kapitaliści nie cofają się przed żadnym sojuszem, żeby osiągnąć swoje cele. Mimo głoszonej otwartości bardzo chętnie wchodzi w przymierza z prawicą, z konserwatystami, ponieważ wiedzą, że dzięki temu przymusem zapewnią sobie reprodukcję społeczną, czyli po ludzku – rodzenie i wychowanie konsumentów. Dziś trwa wojna z kobietami pod postacią próby całkowitego zakazu aborcji. W Rosji czy w Polsce, u nas ze strony Ordo Iuris, pojawiają się pomysły dekryminalizacji przemocy domowej, utrudniania rozwodów. W USA po pierwszych protestach pracowników firma Google złamała opór i kulturowo przyjazne relacje z Trumpem, z rządami Turcji i Chin. Pomagała np. w trenowaniu autonomicznych dronów bojowych. Sojusz technologicznych monopolistów z zamordystycznymi państwami też trwa.

To, co robisz, nie jest tylko krytycznym namysłem nad kapitalizmem. Próbujeś wypracować nowy sposób myślenia i rozwiązania, który można by zastosować w zamian.

– Szukając lokalnych odpowiedzi, możemy się pokusić o rozwiązania spółdzielcze. W spółdzielniach jednym z dużych problemów zawsze było to, jak szybko komunikować się między stronami, w jaki sposób podejmować ciągle kolektywne

decyzje. Okazuje się, że technologie informacyjne służą temu całkiem dobrze. Mogą być spółdzielnie małych sklepikarzy, takie jak niemieckie Fairmondo. Współwłaścicielami mogą być lokalne społeczności, np. samorząd, gdyby była to spółdzielnia dotycząca transportu w mieście i łącząca różnego rodzaju modele komunikacji, ale również pozwalająca na włączanie własnego auta do sieci. W ten sposób spółdzielnie stają się wieloagentowymi strukturami, które u podstawy mają demokratyczną własność.

► Jesteśmy w niedoczasie. Jak mógłby wyglądać minimalny pakiet postulatów, które można wyrazić nie w języku analizy kulturowej całego kapitalizmu kognitywnego, cyfrowego, tylko w języku przekładalnym na postulaty polityczne?

– Nawet Bruksela zrozumiała już, że nie jesteśmy ani Ameryką, ani Chinami, czyli ani systemem państwowego, wielkiego nadzoru, ani systemem rozproszonych, ogromnych korporacji splecionych z wojskiem. Żaden nie jest rozwiązaniem. Mamy mało czasu, nawet alternatywne spółdzielnie, które się budują, są niewielkie, ich skala nie wystarczy, żeby odbić tę rzeczywistość z rąk kapitalistów. Możemy to zrobić jedynie daleko idącymi regulacjami, tu od razu się pojawia pytanie o warstwę polityczną. Musimy powiedzieć, że dane są wspólne i nie można ich dowolnie przetwarzać. Nie RODO, które mówi, że mam prawo je przenosić i zmieniać, ale stwierdzenie, że są ograniczenia ich wykorzystania ekonomicznego. Mogą je rejestrować spółdzielnie, a firmy mogą pytać i prosić o dostęp. Być może

będziemy musieli wypracować jakiś konsensus w rodzaju nowego regulatora rynku cyfrowego nadzorującego to wykorzystanie, może podatki od użytkownika i jego danych, albo zakaz zamykania dostępu do produktów tworzonych z danych. Ale to tu jest pole bitwy.

Na ostatnim szczycie G20 w Japonii także trwały rozmowy o danych, w ramach tzw. ścieżki Osaki. Rozmawiano o międzynarodowym porozumieniu, w myśl którego dane mają swobodnie przepływać, każdy może je sobie kopiować i wykorzystywać, jak się tylko spodoba. Ta propozycja dawała pełną prywatną własność nad danymi, pełen prywatny przepływ danych. Co bardzo ciekawe, to nie kraje unijne, czyli Niemcy, UK i Francja, wstały od stołu i powiedziały, że absolutnie tego nie chcą, ale kraje globalnego Południa. Indie, Indonezja, RPA. Indie są największą populacją na Facebooku. W New Delhi trwają prace nad regulacjami, w myśl których agencje rządowe będą miały prawo zapytać dowolną prywatną firmę o dane i je uzyskać.

Masz poczucie, że widmo nowego ładu cyfrowego krąży nad Europą, nad światem?

– Krąży nad Europą i obawiam się, że europejscy biurokraci jeszcze nie są po naszej stronie. Oni bardzo chcą technologicznej suwerenności Europy poprzez zbudowanie europejskich czempionów, takiego „naszego Google’a”. Czyli chcemy odzyskać część naszych przywilejów, zysków świata cyfrowego, ale nie po to, aby upodmiotowić obywateli albo zaoferować im cyfrowe państwo dobrobytu, lecz po to, żeby mieć naszą własną wersję amerykańskiego korporacyjnego świata. Potem oczywiście to zaproponować, czyli sprzedać, Turcji, Libii, Tunezji i zaoferować tym krajom stabilizację po okresie wojen domowych, a przy okazji zrealizować kolonialny sen Francuzów. Dlatego tym bardziej musimy o tym rozmawiać i organizować się politycznie wokół postulatów i progresywnych grup. Skoro udało nam się powstrzymać TTIP, Transatlantyckie Partnerstwo w dziedzinie Handlu i Inwestycji, nie powinniśmy tracić nadziei.

Roman Kurkiewicz



CODZIENNIE. OD 20 LAT.

PRAWDZIWY OBRAZ ŚWIATA
KSZTAŁTUJE SIĘ Z WIELU WĄTKÓW.
ANALIZUJEMY RÓŻNE PUNKTY
WIDZENIA, ABY DOKŁADNIE OPISAĆ
ZMIENIAJĄCĄ SIĘ RZECZYWISTOŚĆ.
TAK POWSTAJE OBIEKTYWNA
INFORMACJA.

DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAMII!

20/20

interia

Jakub Dymek

Na kłopoty komuniści

U progu kampanii prezydenckiej PiS ożywia język antykomunizmu. Sztabowcom z Nowogrodzkiej kończą się już pomysły

Lutowa konwencja Andrzeja Dudy, na której oficjalnie ogłoszono start kampanii urzędującego prezydenta, nie obfitowała w emocje. Było dość urzędowo i monotonna. Z jednym tylko wyjątkiem – gdy pojawił się, bez wyraźnego związku z całą resztą wystąpienia, temat tzw. dezubekizacji, czyli faktycznie masowego odebrania świadczeń emerytalnych funkcjonariuszom aparatu bezpieczeństwa, bez względu na charakter ich służby w PRL i III RP. Prezydent z bojową miną – tak zresztą niepasującą do wizerunku nieco fajtapatowego i infantylnego polityka – odgrywał przed salą oburzenie na to, że „oni mieli takie świadczenia, podczas gdy zwykły człowiek, który całe życie ciężko przepracował i bardzo często walczył o wolną Polskę, miał bardzo skromne”. „Zwyczajnie im się to nie należało!”, sparafrazował, choć nie wiadomo, czy świadomie, klasyczny już cytat z premier Beaty Szydło. Na chwilę zrobiło się gorąco, a zgromadzeni nagrodzili prezydenta owacją.

Był to jedyny wyrazisty akcent polityczny w 40-minutowym przemówieniu, dziwnie skąpy w obietnice i ambitne plany. Prędko jednak wyszło na jaw, że atak na „tych, którym się nie należało” – czyli ożywienie widma komunizmu – nie jest przypadkiem, lecz elementem większej publicystycznej i politycznej kontrofensywy.

9 lutego z okładki tygodnika „Do Rzeczy” straszili Adrian Zandberg, Włodzimierz Czarzasty i głowa Karola Marksa (ta kamienna, na cokole w Chemnitz). Tytuł obwieszczał złotymi literami „ofensywę neomark-



Prezydenta Dudę w Rabce-Zdroju witali przedstawiciel Kościoła i postanka PiS Anna Paluch, która w 2015 r. zorganizowała grupy rozbijające wiec Bronisława Komorowskiego w Nowym Targu.

panowie wypowiadali się krytycznie o Lechu Wałęsie. Gdy zaś szeroko zaczęło się mówić o obciążeniu dla kampanii Andrzeja Dudy, jakim jest postawiona na jej czele mecenas Jolanta Turczynowicz-Kierytło, media publiczne odpowiedziały atakiem na Monikę Olejnik, „córkę majora SB”.

fundują nam, szczególnie młodszymi wyborcom, powrót do przeszłości, swoisty PiS 1.0. Krótko mówiąc, PiS wraca do języka antykomunizmu. Po co, dlaczego i jak to się sprawdzi w wyborach prezydenckich?

Piosenki, które znamy

Nie jest tajemnicą, że gdy czujemy się niepewnie, dopada nas lęk czy przeczuwamy nadchodzące zagrożenie, wracamy do tego, co znane i oswajone – w psychologii ten mechanizm obronny nazywa się regresją. Nie jest też tajemnicą, że rządzącym właśnie teraz, na kluczowym, pierwszym etapie kampanii prezydenckiej, ziemia usuwa się spod nóg. Zdradzają oni wszystkie typowe dla tego stanu objawy: nagłe i nie zawsze spójne decyzje, zwiększona agresja, nadpobudliwość. Dramatycznie potrzeba im sukcesu, który

Chwilę temu świat zastanawiał się nad ryzykiem wybuchu wojny USA z Iranem, a PiS w Polsce wciąż toczy wojnę z nieistniejącą od 30 lat PRL.

sistów”. W „Gazecie Polskiej” na okładce znaleźli się Aleksander i Jolanta Kwaśniewscy, tygodnik pytał: „Skąd mają miliony?”. Gdy w wielkie wizerunkowe kłopoty wpędziła PiS Joanna Lichocka, i na to znalazła się odpowiedź – portal TVP Info w sensacyjnym tonie donosił o nagraniach z taśm Miller-Kulczyk, w których obaj

Wszystkie te zdarzenia mają wiele wspólnego. Słyszymy o nich, gdy partia rządząca zalicza potknięcia – to po pierwsze. Są dość symetryczne: wy nas CBA, to my was taśmami CBA, wy nas rzecznikzką Dudy, to my was Moniką Olejnik – to po drugie. A po trzecie, i najważniejsze, wszystkie są wyjęte ze starego repertuaru,

- pozwoliłby się odbić i przejąć inicjatywę – ten jednak nie przychodzi.

W tej sytuacji cały obóz PiS zdecydował się – z braku lepszych pomysłów – odrząć martwy, wydawałoby się, i dawno już ostygły mit polityczny, będący przez lata znakiem rozpoznawczym tej partii. Komunizm (także z przedrostkami post- i neo-), który rzekomo zagraża Polsce w XXI w., czyhając na ojczyznę zarówno pod postacią uśpionych i chwilowo nieczynnych agentów dawnego reżimu, jak i importowanych z Zachodu nowych ideologii i mód intelektualnych, które niechybnie przerobią nasz kraj w homoseksualno-ekologiczno-rewerowy kołchoz im. Karola Marksa i Róży Luksemburg. Stąd czerwony Zandberg i Czarasty na okładce tygodnika Lisickiego, stąd Kwaśniewscy i ogłaszanie sukcesu w walce z „funkcjonariuszami Moskwy” za pomocą odbierania świadczeń wdowom po policjantach i rent niepełnosprawnym mundurowym emerytom.

Jednak powrót do języka antykomunistycznego jest dowodem nie

siły, ale pogubienia i posuchy intelektualnej po stronie rządzących, tak przecież sprawnych dotychczas w kontrolowaniu narracji. Najmocniejszym atutem Jarosława Kaczyńskiego w ostatnich, wygranych dla niego kampaniach była zdolność wymyślania nowych wrogów, na których koncentrowała się uwaga i przed którymi PiS miało zastraszone społeczeństwo obronić, takich jak

PiS bez ideologicznego wkładu prezesa okazuje się dość bezradne i mało zwrotne.

uchodźcy, LGBT, lewacy atakujący Kościół. I były to pomysły skuteczne. Zarówno badania międzynarodowe, jak i sondaż przeprowadzony na zlecenie OKO.press we wrześniu 2019 r. pokazywały, że Polacy nieproporcjonalnie mocno boją się uchodźców, „ideologii LGBT”, terroryzmu. PiS ręką w rękę z klerem wykorzystało największy kryzys instytucji Kościoła w ostatnich latach – głośną premierę dokumentu „Tylko nie mów nikomu”

Sekielskich – do ataku, nie dając się zepchnąć do defensywy. Już samo to pokazuje siłę PiS w wojnach kulturowych i wysoką poprzeczkę, którą dziś Kaczyński strąca sobie na głowę.

Jakkolwiek by patrzeć, nigdzie na listach największych fobii Polak i Polaków nie widnieje zagrożenie komunizmem i jego mutacjami. Stosunkowo najbliższe wydaje się wskazywane przez wysoki odsetek

respondentów zagrożenie ingerencją ze strony Rosji – ale nawet w elekcjach PiS Rosja jako największy przeciwnik i źródło lęku została zdetronizowana przez gejów, lesbijki i osoby transpłciowe.

W pewnym sensie PiS jest tu ofiarą własnego sukcesu – przesunęło pole dyskusji ze spraw społecznych, w których ma atuty i przewagę nad liberalną opozycją, na kwestie tożsamości, kultury i zbiorowych lęków.



W bieżącym numerze także:

- Alain Accardo
Drobnomieszczanin szlachcicem
- Chris Bickerton
Co się kryje za porażką Partii Pracy
- Igor Delanoë
- **Ukraina, nadzieje na pokój i rozczarowania**
- Jan Wasiewicz
- **Chłopska rewolucja księdza Piotra Ściegiennego**
- Agata Czarnacka
- **Kołodziej: nasza broń przeciwko patriarchalnym dziadom**

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

Nie wiadomo, jak długo uda mu się panować nad obiema tymi sferami naraz.

Czerwony wehikuł czasu

Straszenie komunizmem, ubeckimi i sitwą, na czele której rzekomo stoi małżeństwo Kwaśniewskich, ma dziś wszelkie cechy desperacji także z innego powodu – to pieśń przeszłości. Argumenty o „postkomunie” i ubeckich emeryturach są dla całych pokoleń prawdziwym retro. Obecni 30-latkowie nie tylko nie pamiętają żadnego ZOMO ani SB, to jasne, ale nawet niespecjalnie pamiętają rządy SLD i czasy, gdy lewica była naprawdę potężną formacją, a Sojusz Millera i Kwaśniewskiego dominował nad całą sceną polityczną. To żywe wspomnienia w świecie działaczy PiS, które (razem z PO) powstało dwie dekady temu na kryzysie SLD i doszło do władzy, opierając się na antykomunistycznym micie oraz lustracji i rozliczeniach. W społeczeństwie jednak te emocje są już od dawna martwe.

Ktoś, kto w wyborczym roku 2020 skończy 30 lat, prawa wyborcze uzyskał już za Tuska, u progu wojny PO-PiS, która zawłaszczyła polską scenę polityczną na kolejne ponad 10 lat i trwa do dziś. Lewica, dodajmy, była przez ostatnie lata w tym sporze w ogóle nieobecna – a do parlamentu wróciła zaledwie kilka miesięcy temu. Pokoleniowe doświadczenie Polaków w roku 2020 wyznaczają raczej hasła umów śmieciowych, kredytów frankowych, emigracji za pracą i powrotów – na pewno nie ma wśród nich problemów ufundowanych przez „komunizm”, faktyczny czy zmyślony. Awans społeczny blokują teraz młodszy beneficjenci transformacji, a nie usadzeni na wysokich stanowiskach byli esbecy i działacze partyjni, co było nośnym tematem, ale w latach 90., ćwierć wieku temu. A tematy w rodzaju Lecha Wałęsy dowożonego łódką do Stoczni Gdańskiej czy zbrodni Stefana Michnika – którym w TVP Info nadaje się status problemu wymagającego ogólnonarodowej debaty – to już wyłącznie hobby i fetysz garstki pravicowych komentatorów, rozgrywających na publicznych antenach minione bitwy.

Co więcej, świadomość rosnących zagrożeń o globalnym charakterze, takich jak zmiana klimatyczna i ko-

nieczność transformacji energetycznej, wielkie migracje, koronawirus czy rosnąca geopolityczna pozycja Chin i chińskiej technologii, zwyczajnie ośmiesza w oczach coraz większej liczby osób rząd i jego media, bezradne wobec wielkich światowych problemów. Chwilę temu świat zastanawiał się nad ryzykiem wybuchu wojny USA z Iranem, a PiS w Polsce wciąż toczy wojnę z nieistniejącą od 30 lat PRL.

Wszystko to jak na partię, która tak błyskotliwie i sprawnie odczytywała jeszcze w 2015 r. nastroje społeczne, jest uderzająco nieporadne.

Czy leci z nami prezes?

Nie można więc nie zapytać, dlaczego. Pierwsza, najbrutalniejsza odpowiedź będzie taka, że Jarosław Kaczyński nie jest dziś w najlepszej formie – intelektualnie i fizycznie –

Powrót do języka antykomunistycznego jest dowodem nie siły, ale pogubienia i posuchy intelektualnej po stronie rządzących.

a jego poparcie dla Andrzeja Dudy, choć oczywiste, dalekie jest od osobistego entuzjazmu. PiS bez ideologicznego wkładu prezesa okazuje się dość bezradne i mało zwrotne. Ostatnio widać też było, że próbuje z tego skorzystać Zbigniew Ziobro, który narzuca partii własną – antysędziowską – agendę. Mało agresywni kontrkandydaci prezydenta Andrzeja Dudy także nie pomagają – choć PiS bez wątpienia by chciał, trudno mu straszyć społeczeństwo mało wyrazistymi i ospałymi Kidawą-Błońską, Hołownią, Kosiniakiem-Kamyszem. Może zresztą w tym kryje się ich – nieco przewrotna – strategia.

Po drugie, zdolność wymyślania coraz to nowych zagrożeń może w końcu dojść do sufitu – nawet jeśli ma się tyle obaw i lęków co polska prawica. W ostatnich latach wykorzystano naprawdę szeroki repertuar: uchodźcy, gender, LGBT, ateści, feministki, Unia Europejska. A do tego kolejne grupy zawodowe: lekarze, nauczyciele, sędziowie, prawnicy i naukowcy. Nie brak fantazji czy determinacji jest tu rzecz jasna problemem, ale czas – nieustanne mobilizowanie swoich zwolenników straszeniem prowadzi w końcu do pewnej inflacji zagrożeń. Dobrze było to widać po

rządach PO-PSL, które latami były w stanie skutecznie straszyć PiS, aż z tego balonu w 2015 r. uszło powietrze i nic nie dało się zrobić. PiS, wracając do korzeni, do mitu i legendy antykomunizmu, pokazuje, że nieuchronnie zbliża się do podobnego momentu. Bo skoro trzeba wracać do dawnych lęków, to aktualne najwyraźniej działają coraz słabiej.

Po trzecie wreszcie, lewica naprawdę, nawet jeśli wciąż nieśmiało, wróciła do gry o historię, symbolikę i prestiż. Obchody różnych rocznic związanych z kultem „żołnierzy wyklętych” napotykają opór, „dekomunizacja” ulic nie udało się rządzącym tak, jak by chcieli, pozwolenie na zupełnie niekontestowaną dominację w sferze języka i wartości patriotycznych, jakiego udzieliła PiS liberalna opozycja w poprzedniej kadencji, również się kończy. Prawo i Sprawiedliwość, które niedawno jeszcze miało mono-

pol na język socjalny i (pozorowaną) gospodarczą lewicowość, na groźbę jego utraty reaguje tak, jak reaguje prawica na całym świecie, gdy grozi jej utrata jakiegokolwiek wyborczej przewagi – straszeniem bolszewizmem i terrorem.

I choć błędem byłoby wyciąganie z tych wydarzeń daleko idących wniosków – koniec PiS ogłaszano przecież już przy dwóch tuzinach okazji – można powiedzieć sobie jedno: na antykomunizmie w stylu retro, à la komisja Rywina i wczesne lata dwutysięczne, nikt w Polsce wyborów nie wygra. Ani tych, ani żadnych kolejnych.

Jakub Dymek





Zwycięstwo SPD w Hamburgu jest w dużym stopniu zasługą popularnego burmistrza Petera Tschentschera (nz. w środku). Gratulują mu szefowie SPD: Saskia Esken i Norbert Walter-Borjans.

Jaskółki hamburskiej wiosny

SPD pozostała pierwszą siłą polityczną w Hamburgu. Wyborcy ukarali autorów fiaska w Turyngii – CDU, FDP i AfD

Wojciech Osiński
Korespondencja z Niemiec

Niemieccy socjaldemokraci oraz ich potencjalny sojusznik Zieloni mają powód do radości. W wyborach do lokalnego parlamentu Hamburga zwyciężyła SPD, która w przyszłości będzie mogła utworzyć stabilny rząd z rosnącymi w siłę Die Grünen. Co prawda, w porównaniu do wyborów z 2015 r. partia Norberta Borjansa i Saskii Esken straciła 6,4%, ale z 39,2% głosów znów okazała się pierwszą siłą polityczną w hanzeatyckiej metropolii. Nadal więc cieszy się tam poparciem, o którym w innych krajach związkowych mogłaby tylko pomarzyć. Natomiast dla Zielonych, którzy prowadzili nad Łabą kampanię pełną mocnych słów i kategorycznych wezwań, zwycięstwo okazało się celem zbyt ambitnym. Niemniej jednak osiągnęli 24,2%, podwajając

wynik sprzed pięciu lat. Ugrupowanie Roberta Habecka może z SPD utworzyć stabilną większość. Socjaldemokraci i Zieloni będą mieli w hamburskim parlamencie dwie trzecie głosów. Dotychczasowy burmistrz Peter Tschentscher, który w 2018 r. zastąpił na tym stanowisku obecnego wicekanclerza Olafa Scholza, zapowiedział, że kontynuacja koalicji z Die Grünen jest „naturalną opcją”, choć dla formalności chciałby też porozmawiać z liderami lokalnej CDU, ponieważ teoretycznie byłaby możliwa koalicja czerwono-czarna. Chrześcijańscy demokraci wprawdzie nie zostali jeszcze w Hamburgu zepchnięci w polityczny niebyt, ale ponieśli dotkliwe straty. Ogólnokrajowa fala oburzenia, wywołana ostatnimi wydarzeniami w Erfurcie, zatrzymała także kampanie CDU, FDP i AfD. Miesiąc temu landtag w Turyngii wybrał tam na premiera mało znanego postać Thomasa Kemmericha z FDP,

a umożliwiły mu to głosy chadeków, liberałów oraz Alternatywy dla Niemiec. Współpraca z populistami okazała się szczególnie dla CDU strzałem samobójczym, doprowadzając do erozji również na szczęblu federalnym (PRZEGLĄD nr 8/2020).

Kara za Turyngię

Chadecy uzyskali w Hamburgu zaledwie 11,2% głosów (spadek o 4,7%). To drugi najgorszy wynik w ich historii – w 1951 r. CDU dostała w Bremie zaledwie 9,1%. Polityczny skandal w Erfurcie zaszkodził ponadto liberałom, którzy w hamburskim parlamencie nie przekroczyli progu wyborczego. Co prawda, szef FDP Christian Lindner starał się ugasić pożar, odwołując natychmiast Kemmericha ze stanowiska premiera Turyngii i torując drogę do powrotu dotychczasowego szefa rządu z ramienia Die Linke Bodo Ramelow, lecz było już za późno, aby osiągnąć w Hamburgu dobry wynik. Lindner zaczął zresztą szermować hasłami oczyszczenia swojej partii z patologii, w przypiływie szczerości przyznając, że FDP współpracowała z AfD w przeszłości także w innych „drobnych sprawach”, przy czym solennie obiecał, że to już się nie powtórzy. Ale wyborcy zauważyli, że szef liberałów ujawnił te informacje dopiero pod naciskiem mediów, toteż dziś jego przyszłość jest

niepewna. Dziennik „Die Tageszeitung” sformułował tezę, podjętą też przez inne media i dziś powszechnie podzielaną, że Lindner nie odzyskał już świeżości.

Ukarana została również AfD, ledwo wchodząc do hamburskiego parlamentu (5,3%). W tym tradycyjnie lewicowo-liberalnym mieście rasistowscy populiści już wcześniej nie mieli szczęścia (w 2015 r. uzyskali 6,1%), choć zdaniem niemieckich mediów ich obecne nieznaczne straty na pewno mają związek z wydarzeniami w Turyngii. Na zły wynik hamburskich liderów AfD mógł poza tym wpłynąć atak terrorystyczny w Hanau kilka dni wcześniej. 19 lutego 43-letni niemiecki rasista Tobias Rathjen zabił tam 11 osób, celowo strzelając do tych o imigranckich korzeniach. Tymczasem wielu polityków AfD w przeszłości świadomie prowokowało nienawiść do muzułmanów.

Co ciekawe, obok Zielonych beneficjentem odpływu wyborców z innych obozów stała się Die Linke, na którą zagłosowało 9,1% mieszkańców Hamburga. W jednym niemieckim komentatorzy się zgadzają: z uwagi na to, że wybory w Hamburgu są w tym roku jedynym plebiscytem landowym, z pewnością dają istotną wskazówkę co do chwilowych nastrojów społecznych. I wydaje się oczywiste, że liderzy największych partii muszą z nich wyciągnąć wnioski.

Na skraju upadku

„Zarówno FDP po zezwoleniu na prawo w Turyngii, jak i Alternatywa dla Niemiec, odpowiedzialna za nastroje, w których rasizm i prawicowy terror szukają uzasadnienia, poniosły w Hamburgu klęskę. Porażka w Turyngii i chaos na poziomie federalnym zepchnęły chadeków na dno, a Lewica pozostaje stabilną opozycją. W Hamburgu będą wreszcie obliczalne czerwono-zielone rządy: suwerenna SPD ze znacznie wzmocnionymi Zielonymi”, cieszy się dolnosaksoński dziennik „Neue Osna-brücker Zeitung”. W podobnym tonie komentuje wyniki wyborów nad Łabą gazeta „Die Welt”. „Wyborcy w Hamburgu pokazali, gdzie znajduje się klasa średnia: w centrum, tam, gdzie liczą się odpowiedzialność

i niezawodność. Alternatywa dla Niemiec jest na skraju upadku. Partia co prawda wybrana demokratycznie, ale która demokracją nieustannie gardzi. Po zabójstwach w Hanau jeszcze raz wyraźnie pokazała, że jest ugrupowaniem przesiąkniętym nienawiścią i rasistowskim myśleniem”, pisze hamburski dziennik. Również inne niemieckie pisma zajmują się klęską populistów w hanzeatyckiej metropolii. „Alternatywa dla Niemiec ledwo weszła do parlamentu. Hamburg, który zawsze był kosmopolitycznym i kochającym wolność miastem, dał sygnał całej Republice Federalnej Niemiec”, uważa badeński dziennik „Heilbronner Stimme”.

Większość niemieckich mediów, omawiając wynik wyborów, skoncentrowała się jednak na aktualnej nieprzejrzystej sytuacji w CDU. „Hamburg jest tylko małym krajem związkowym, a jednak cała Republika Federalna przyglądała się temu testowi nastrojów. A ten pokazał: chrześcijańscy demokraci nie mogą sobie pozwolić na pozostawienie

jęcia schedy po ustępującej szefowej CDU przybywa. Swoją kandydaturę na przewodniczącego chadeków zgłosił niedawno Norbert Röttgen, były minister środowiska w rządzie Merkel oraz przewodniczący komisji spraw zagranicznych w Bundestagu. Uchodzi on za przedstawiciela centrum, podobnie jak premier Nadrenii Północnej-Westfalii Armin Laschet, który w ubiegłym tygodniu oficjalnie dołączył do wyścigu o najważniejsze stanowisko w Konrad-Adenauer-Haus. Z kolei minister zdrowia Jens Spahn, który dwa tygodnie temu jako pierwszy ogłosił swój start, niespodziewanie wycofał się, zapowiadając, że w przypadku zwycięstwa Lascheta zostałby wiceszefem CDU. Spahn widać nie wie, co robi – z jednej strony, jest jeszcze młody, ma 39 lat i może czekać na swoją kolej, a z drugiej, Laschet rzeczywiście ma duże szanse na sukces po AKK i *Mutti*. Gros chadeków opiera związane z nim nadzieje na założeniu, że obecny szef nadreńskiego rządu będzie w stanie pogodzić wszystkie partyjne skrzy-

Wydarzenia takie jak w Turyngii czy Hanau potrafią zjednoczyć większość Niemców w sprzeciwie wobec rasistów.

niewyjaśnionych problemów personalnych i merytorycznych”, zauważa regionalny „Südkurier” z Konstancji. Do podobnego wniosku dochodzą redaktorzy nadreńskiej „Allgemeine Zeitung”. „Klęska Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej w Hamburgu jest dla niej wyraźnym sygnałem, że musi ona wreszcie znaleźć odpowiedniego przywódcę. Do tego dochodzi lekcja merytoryczna: jeśli CDU chce się wywiązać ze swojej odpowiedzialności jako wiodącej siły w centrum, nie może obierać niewłaściwej ścieżki i skręcać na prawo. To wniosek, który każdy z kandydatów na następcę Annegret Kramp-Karrenbauer i Angeli Merkel musi wyciągnąć z wyborów w Hamburgu”, przekonuje gazeta z Moguncji.

Scheda po AKK i Merkel

Trudno nie przyznać dziennikarzom racji. Zapowiedziany odwrót AKK nie wzmocnił prestiżu chadecji, a perturbacje personalne w tej partii oraz walka o jej przyszły kurs trwają do dziś. Tymczasem chętnych do ob-

dła, tudzież różne poglądy elektoratu CDU. Armin Laschet cieszy się wielką sympatią wyborców, przede wszystkim dlatego, że jest autorem gigantycznego sukcesu, jakim było odbicie düsseldorfskiego landtagu z rąk socjaldemokratów, którzy przez lata uważali Nadrenię Północną-Westfalię za swoją twierdzę. Laschet należy wprowadzić do grona polityków CDU, którzy budowali zryby swoich karier, grzejąc się w blasku sukcesu Merkel, ale na pewno odróżnia go od kanczerki jego wyraźny rys konserwatywny, zapewniający poparcie starszych członków partii. Premier Nadrenii jest praktykującym katolikiem, co więcej, krytycznym wobec zrównania związków homoseksualnych z małżeństwami. Toteż zapowiedź, jakoby chciał zrobić swoim następcą zdeklarowanego geja Jensa Spahna, na początku budziła pewne kontrowersje. Choć może właśnie tandem z ministrem zdrowia zapewniłby mu wsparcie jak największej liczby delegatów na konwencji partyjnej. „Ten pomysł jest dobrym rozwiązaniem. Spahn to homoseksualista ▶

► o konserwatywnych poglądach. Po trafi przekonać do siebie umiarkowanych wyborców, a zarazem w równie przekonujący sposób odciąć się od kontynuacji polityki Angeli Merkel, czego nie mogła zrobić AKK. Ale wciąż jest zbyt młody, aby pokierować partią. Z Laschetem zaś będą się znakomicie uzupełniać”, twierdzi Tina Hassel, szefowa stołecznego studia telewizji ARD.

Kontynuacja czy odnowa?

Zlot partyjny CDU, mający wyłonić nowego szefa, odbędzie się prawdopodobnie latem. W tym czasie na ring mogą wkroczyć jeszcze inni kandydaci, którzy dla partii nie są zbyt wygodni. O ile bowiem Laschet, Spahn i Röttgen starają się, żeby odsunięcie AKK i Merkel miało umiarkowany, kontrolowany przebieg, o tyle odwieczny wróg szefowej rządu Friedrich Merz postuluje radykalną odbudowę CDU, łącząc program odnowy z powrotem do chadeckich korzeni. Kiedy były szef frakcji chadeków w Bundestagu usłyszał, że Spahn i Laschet zamierzają połączyć siły, powiedział wprost: „To dobrze, teraz członkowie naszej partii widzą tym wyraźniej, że mają wybór pomiędzy kontynuacją a odnową”.

Merz cieszy się sporą sympatią zwłaszcza we wschodnich landach i mógłby tam skutecznie powalczyć o powrót tej części elektoratu, która odpłynęła do AfD. Ponadto ogłosił, że jeśli wygra, nową sekretarz generalną CDU będzie kobieta, co odczytano jako ukłon w kierunku odrzucającego jego kandydaturę lewego skrzydła.

W walce o konserwatywne głosy Merzowi mógłby zagrozić jeszcze inny pretendent, który stoi bodaj jeszcze bliżej prawej ściany. Wielu dziennikarzy upatruje go w Hansie-Georgu Maassenie, byłym szefie Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV), wspieranym przez rosnące w siłę stowarzyszenie WerteUnion, składające się głównie z polityków prawicowej frakcji CDU/CSU. W 2018 r. Maassen został odwołany z urzędu za nagminne krytykowanie polityki migracyjnej Merkel. Mimo to nadal jest obecny w polityce, a na jego spotkania we wschodnich landach przychodzą tłumy. Na

razie Merz może jednak odetchnąć – były szef BfV jeszcze nie ogłosił startu w wyścigu o stanowisko szefa partii, a według niektórych źródeł najchętniej zamieniłby legitymację CDU na AfD.

Wróćmy na chwilę do klęski AfD w Hamburgu. Może ona doprowadzić do wewnętrzpartyjnych turbulencji. „W zachodniej AfD mnożą się głosy nawołujące do odcięcia się od ekstremistów, takich jak Höcke. Niewykluczone, że dojdzie w tej partii do rozłamu. W każdym razie niektórzy jej członkowie poniosą konsekwencje słabego wyniku w Hamburgu”, uważa politolog Karl-Rudolf Korte z Uniwersytetu w Duisburgu-Essen. Jego słowa są podparte badaniami. Według sondażu przeprowadzonego przez instytut Infratest dimap prawie 70% wyborców AfD w Hamburgu ubolewa nad tym, że ich partia nie zdystansowała się wystarczająco od „wschodnich radykałów”. Lokalni liderzy uważają, że porażka jest wynikiem nie ich błędów, ale przeciwności losu. „Politycy Alternatywy dla Niemiec

oświadczył Robert Habeck. Szef Die Grünen nie ukrywa, że chciałby powtórzyć tę strategię podczas kampanii w roku wyborczym 2021. „W sondażach zajmujemy po CDU drugie miejsce. Zwycięstwo Zielonych w wyborach parlamentarnych jest możliwe”, cieszy się Habeck. Ostatnie sondaże dają mu jeszcze jeden powód do optymizmu. Wydarzenia w Turyngii i Hanau, mobilizujące wyborców do buntu przeciwko AfD, FDP i CDU, przywróciły prawie pogrzebaną wizję czerwono-czerwono-zielonego sojuszu. Według ustaleń ankietatorów Instytutu Forsa socjaldemokracji, Zieloni i Lewica mogliby obecnie liczyć na większość niezbędną do rządzenia – mimo zwycięstwa chadeków. Scenariusz lewicowej koalicji rządowej z zielonym kanclerzem na czele rozpała obecnie wyobraźnię polityków Die Grünen.

Jeszcze nie tak dawno Habeck musiał się silić na wizerunkowe szpagaty, flirtując niekiedy z chadekami. Ale czasy się zmieniły, obecny chaos personalny w CDU oraz fiasko w Turyngii zniechęciły jego i jego

Porażka w Turyngii i chaos na poziomie federalnym zepchnęły chadeków na dno. Lewica pozostaje stabilną opozycją.

są nadal w bezczelny sposób wypychani z debaty publicznej. Głównie dlatego uzyskaliśmy w Hamburgu tak mało mandatów”, utrzymuje główny kandydat AfD w tym mieście Dirk Nockemann. Są jednak bardziej przekonujące interpretacje. „Słaby wynik AfD w Hamburgu to wyraźny sygnał, że takie wydarzenia jak ostatnio w Turyngii czy Hanau potrafią zmobilizować centrum naszego społeczeństwa i zjednoczyć większość Niemców w sprzeciwie wobec rasistów. Wtedy tzw. partie protestu tracą poparcie. Powinniśmy wyciągnąć z tego pozytywne wnioski na przyszłość”, uważa Karl-Rudolf Korte.

Zielona przyszłość

I ostatnia rzecz – wybory w Hamburgu dodały otuchy Zielonym. Osiągnęli jeden z najlepszych wyników w historii. „Pozycję drugiej siły politycznej w Hamburgu zawdzięczamy temu, że potrafiliśmy konkurować z CDU o pierwsze miejsce”,

wyborców do czarno-zielonego sojuszu. Tyle że za parę miesięcy znów wszystko może wyglądać inaczej. Mimo że Habeck i szef SPD Norbert Borjans od razu przypisali sobie zwycięstwa lokalnych działaczy, sukces ich partii w Hamburgu raczej nie ma z nimi wiele wspólnego. Zdaniem dziennikarzy tygodnika „Stern” doskonałe wyniki SPD i Zielonych nad Łabą są zasługą dotychczasowego burmistrza Petera Tschentschera i Kathariny Fegebank, którzy cieszą się wśród hamburczyków ogromną sympatią. Zasłużyli na nią ciężką i merytoryczną pracą samorządową, która dla szukających politycznych sensacji dziennikarzy znad Sprewy jest najzwyczajniej nudna. Trudno więc uznać wybory w Hamburgu za papierak lakmusowy na rok wyborczy 2021. Chłodna analiza wskazuje, że szczególnie SPD, która świętuje lokalne zwycięstwo, większości swoich wyborców w kraju ciągle kojarzy się z Wielką Koalicją.

Wojciech Osiński

Korrida z faszystowskim hymnem

Kataloński separatyzm nie tylko rozbudził patriotyzm Hiszpanów, ale również dał paliwo nacjonalistom

Tomasz Skowronek

Rynek El Mercado de la Paz oraz ekskluzywne centrum gastronomiczne Placa Madrid uchodzą za wizytówki madryckiej dzielnicy Salamanca. Stoiska z biżuterią, eleganckie kwaciarnie, luksusowe delikatesy często są odwiedzane przez zamożniejszych mieszkańców stolicy. Butiki znanych projektantów i wykwinne restauracje zlokalizowane zwłaszcza wzdłuż tzw. Złotej Mili (Milla de Oro) sprawiają, że okolica od dawna kojarzy się z bogatą, konserwatywną, tradycjonalistyczną Hiszpanią. Zarówno dzielnica, jak i cała północna część miasta uchodzi za bastion centroprawicowej Partii Ludowej (PP). Jednak w ostatnich wyborach parlamentarnych wielu mieszkańców oddało głos na skrajnie prawicowych populistów z Vox.

To wszystko kiedyś pęknie

– To jedyna partia, która nas chroni i może zapobiec rozpadowi kraju na kilka części – mówi Nunchi López Bravo, mieszkaniec Salamanki. On i cała jego rodzina przez lata głosowali na PP, jednak w ostatnim czasie zaczęli popierać Vox. Główny powód? Kataloński ruch separatystyczny. – To gwałtowny, niedemokratyczny ruch, który myśli tylko o swoich interesach i wyśmiewa nasz wielki naród – tłumaczy López Bravo.

Podobnie jak jego matka, bracia i kuzyni opowiada się za stanowczym rozwiązaniem konfliktu z katalońskimi separatystami: – Oni pójdą na całość, nie zatrzymają się. Musimy ograniczyć uprawnienia Generalitat (rządu katalońskiego – przyp. TS). Zlikwidować ich policję, parlament oraz prawo do edukacji. Trzeba ich powstrzymać przed narzucaniem wszędzie swojego języka kosztem kastyljskiego.

– Ludzie wstydzą się hiszpańskiej flagi. To coś, czego nie rozumiem. Hiszpania musi być jednym narodem!



„Katalonia jest Hiszpanią” – pod takim hasłem 12 stycznia 2020 r. demonstrowali w Barcelonie zwolennicy ograniczenia autonomii Katalonii. Premier Pedro Sánchez jest nazywany zdrajcą.

– dodaje pochodząca z arystokratycznej rodziny Blanca Carrillo de Albornoz. Rozczarowana Partią Ludową liczy, że Vox stanie w obronie wartości, które według niej są zagrożone.

Tym, co ją przekonało, była nacjonalistyczna linia partii i jej chęć zmiany hiszpańskiego systemu autonomii regionalnej. – Jednym z dużych problemów Hiszpanii jest system regionalnych autonomii. Musimy to zmienić! Nie możemy mieć 17 parlamentów, 17 telewizji regionalnych, 17 wszystkich. Wicie dlaczego? Ponieważ to wszystko kiedyś pęknie!

na czar skrajnie prawicowego populizmu ogarniającego Europę. Omar G. Encarnación, profesor nauk politycznych z nowojorskiego Bard College, w prestiżowym magazynie „Foreign Affairs” wymienił trzy czynniki, które sprawiały, że państwo to odrzucało radykalną prawicę. Po pierwsze, utrzymującą się niechęć kulturową do faszyzmu i podejrzeń o nacjonalizm, którą spowodowało 40 lat dyktatorskich rządów Francisca Franco. Po drugie, dobrobyt gospodarczy Hiszpanii, w dużej mierze związany z Unią

W wyborach z 2016 r. partia Vox uzyskała ledwie 0,2% głosów. W listopadzie 2019 r. – 15% i ma 52 posłów.

Jeszcze w 2018 r. w hiszpańskim parlamencie, Kortezach, nie zasiadał ani jeden polityk wywodzący się ze skrajnej prawicy. W wyborach z 2016 r. partia Vox uzyskała zaledwie 0,2% głosów. Obecnie reprezentuje ją 52 posłów, w zeszłorocznych listopadowych wyborach przekonała do siebie 15% elektoratu.

Większość analityków od dawna uważała Hiszpanię za odporną

Europejską – kraj bardzo skorzystał na unijnym finansowaniu. Po trzecie, wielokulturowość i tolerancyjność hiszpańskiego społeczeństwa, bardziej zróżnicowanego niż kraje północnej i środkowej Europy, dzięki czemu jest ono też bardziej otwarte na przybyszów. Jednakże kryzys kataloński, który rozpoczął się po nieudanym referendum w 2017 r., przysłużył się partii Vox.

► Jak wynika z badań przeprowadzonych przez internetowy dziennik „El Independiente”, aż 90% osób, które zamierzały na nią głosować, twierdziło, że robi to w obronie jedności Hiszpanii. Konflikt pomiędzy centralnymi władzami w Madrycie a Katalonią oraz rosnący regionalizm zmienił polityczny i społeczny krajobraz kraju. Nagle ludzie zaczęli wywieszać na balkonach i w oknach hiszpańskie flagi. Nigdy wcześniej

Tęsknota do Franco

Dla sporej części Hiszpanów możliwa separacja oznacza zagrożenie kraju. Kataloński separatyzm nie tylko wzniecił patriotyzm, ale również rozbudził drzemający hiszpański nacjonalizm. – Hiszpania jest w niebezpieczeństwie i należy zakazać działania partii niepodległościowych – w takim tonie często grzmi Santiago Abascal, lider Vox. Ostre

Aż 90% osób, które zamierzały głosować na Vox, twierdziło, że robi to w obronie jedności Hiszpanii.

na ulicach i na budynkach w miastach nie było tak dużo symboli narodowych. Do tej pory wielu Hiszpanów nie chwaliło się swoją tożsamością, nie epatowało symbolami związanymi z państwem; wyjątkiem były mistrzostwa świata lub Europy w piłce nożnej. Działo się tak po części dlatego, że symbole narodowe były bezwzględnie wykorzystywane propagandowo przez dyktatorskie rządy.

Coraz częściej organizowane są tzw. marsze ku jedności. Pod hasłem „Dla przyszłości Zjednoczonej Hiszpanii” na początku stycznia tysiące Hiszpanów zebrało się w Madrycie na Plaza de Colón. Uczestnicy manifestacji wznosili antyrządowe hasła i domagali się zaostreżenia działań wobec katalońskich separatystów.

przemówienia przeciwko separatyzmowi w imię „jedności” są znakiem rozpoznawczym ugrupowania. Vox domaga się też aresztowania lidera regionalnego rządu Katalonii Quima Torry i zawieszenia autonomii tego regionu. Szefowie partii wzywają do „podboju” Hiszpanii, nawiązując do kampanii hiszpańskiej, zakończonej w 1492 r., mającej na celu usunięcie muzułmanów z Półwyspu Iberyjskiego. Nawołują zwolenników, by „podziękowali Bogu za to, że urodzili się w takiej ojczyźnie”. Partia nie kryje tęsknoty za frankizmem i sprzeciwia się ekshumacji gen. Franco.

Także różne mniejsze faszystujące grupki zjednoczyły się, aby powstrzymać Katalonię przed odłączeniem, powodując wzrost napięć politycznych. W Barcelonie, na wiecu poparcia dla jedności Hiszpanii, uczestnicy, którzy przyjechali pociągami i autobusami z całego kraju, krzyśleli „Sieg Heil” do policjantów, którzy próbowali spacyfikować katalońskich anarchistów.

Barcelońscy kandydaci Vox do Kongresu Generalnego, izby niższej parlamentu, na konwencji puścili „El novio de la muerte”, piosenkę związaną z Legionem Hiszpańskim, formacją wojskową, którą Franco dowodził w latach 20. Coraz częściej organizuje się wiece z okazji rocznicy urodzin caudilla czy José Antónia Prima de Riverę, twórcy Falange Española, faszystowskiej organizacji politycznej założonej w 1933 r. Wiedom towarzyszy pieśń „Cara al Sol” napisana w 1935 r. przez Riverę, która stała się symbolem nacjonalistycznej Falangi w czasie hiszpańskiej wojny domowej (1936-1939). „Cara al Sol” była też nieoficjalnym

drugim hymnem w okresie dyktatury Franco.

Faszystowski hymn został nawet odtworzony w trakcie korridy na Majorce w 2019 r. Walki z bykami w tradycyjnej formie zostały tam zdelegalizowane w 2017 r., ale teraz, po uznaniu skargi przez hiszpański Sąd Najwyższy, powróciły. Gdy grupa aktywistów na rzecz praw zwierząt głośno sprzeciwiała się korridzie, na arenie puszczono z głośników piosenkę „Viva España”, jednak po niej popłynął z nich utwór, który wzbudził kontrowersje.

– Hiszpańska skrajna prawica była wcześniej konstelacją grup ultranacjonalistycznych, czyli była dość rozdrobniona. Neonaziści, falangiści, członkowie różnych grup paramilitarnych zafascynowani dyktaturą Franco... Chociaż te grupy walczyły między sobą, katalońska niepodległość dała skrajnej prawicy powód do zjednoczenia – ubolewa Jordi Borràs, kataloński fotoreporter.

Baskowie grają dla Basków

Nastroje radykalizują się również po drugiej stronie. Katalońscy separatyści nazywają siebie republikanami, a swoich przeciwników i wszystkich tych, którzy opowiadają się za jednością, wrzucają do jednego worka i uważają za frankistów.

Samo dążenie do niepodległości jest coraz gwałtowniejsze. Napięcia w Katalonii nasiliły się 14 października 2019 r., kiedy hiszpański Sąd Najwyższy skazał katalońskich przywódców niepodległościowych na kary od 9 do 13 lat więzienia. Przez barcelońskie ulice przeszedł huragan: blokady linii kolejowych i lotniska, walki między demonstrantami a policjantami oraz anarchistami i faszystami. W metropolii ogłoszono stan wyjątkowy, akty sabotażu i marsze protestacyjne w całym regionie spowodowały chaos. Od tygodni było wiadomo, że protesty się odbędą, jednak ich gwałtowność wiele osób zaskoczyła.

Ton protestom nadawał ruch Tsunami Democràtic. Jest to tajna struktura, o której niewiele wiadomo. Organizuje zwolenników katalońskiego ruchu niepodległościowego za pomocą mediów społecznościowych, Skype’a, Messengera itp. Właśnie tej grupie udało się zorganizować wielki protest

W najnowszym numerze tygodnika „NIE” reportaż z rodzinnej miejscowości kandydata demokratów na prezydenta USA Berniego Sandersa.





Partia VOX buduje swoją pozycję na gruncie hiszpańskiej jedności. Nz. sekretarz generalny Javier Ortega Smith na spotkaniu w Pampelunie, 9 lutego 2020 r.

na lotnisku El Prat w Barcelonie, który doprowadził do poważnych zakłóceń i odwołania ponad 100 lotów.

Ciągle żywe są nastroje separatystyczne w Kraju Basków, choć według różnych sondaży ewentualną niepodległość poparłoby ok. 31% Basków, a 48% głosowałoby przeciw (warto zaznaczyć, że Kraj Basków cieszy się większą autonomią fiskalną niż Katalonia). Niemniej jednak i w tym autonomicznym regionie można odczuć pewną niechęć bądź dystans do Madrytu, trudno tutaj zobaczyć hiszpańską flagę. Sporo za to murali albo wlepek wychwalających bojowników ETA i solidaryzujących się z Katalonią. W czerwcu 2018 r. dziesiątki tysięcy ludzi utworzyły łańcuch, aby naciskać na zwiększenie autonomii. Organizatorzy twierdzą, że osiągnął on 202 km i połączył miasta San Sebastián i Bilbao z Vitorią.

Mimo że walki tutaj już dawno ustały, a ETA rozwiązano w 2018 r., wielu młodych Basków nadal marzy o niepodległym kraju. Podczas meczów piłki nożnej fani Athletic Bilbao regularnie wymachują baskijską flagą na trybunach swojego stadionu, San Mamés. „Opór Palestyny zawsze był dla nas przykładem”. „Terroryzm jest zwalczany przez państwa, a nie przez ludzi. Walczymy o tożsamość, która została nam skradziona” – takie słowa piosenek można usłyszeć w trakcie meczów baskijskiej drużyny. Co ciekawe, mogą w niej grać wyłącznie zawodnicy, którzy urodzili się w Kraju

Basków i za Basków się uważają.

Podobnie jak w Katalonii demonstracjom w Kraju Basków przewodzi najmłodsze pokolenie. Wielu młodych Basków czy Katalończyków urodziło się i wychowało już w demokratycznej Hiszpanii, a ich lokalne rządy robiły wszystko, aby odróżnić się od Madrytu.

– Istnieje wiele okoliczności, które podsycały płomień: niepewna praca, wysokie opłaty za studia i poczucie niesprawiedliwości – mówi Carles Feiza, badacz ruchów studenckich z Uniwersytetu Pompeu Fabry w Katalonii. – Po raz pierwszy od czasu ustanowienia demokracji (po śmierci Franco w 1975 r. – przyp. TS) młodzi ludzie widzą, że będą żyli gorzej niż ich rodzice. Niezależna Katalonia jest jedyną konkretną utopią, jaką mają.

Baleary też mają ambicje

Zwolennicy jedności narodowej z niepokojem przyglądają się także Balearom. Jak donosi „El Español”, część profesorów i lekarzy musiała opuścić wyspy, ponieważ nie znając miejscowego języka, nie mogła znaleźć pracy w swoim zawodzie. Na Balearach językiem urzędowym jest kataloński. Według niektórych hiszpańskich mediów archipelag staje się głównym celem *pancatalanismo* – doktryny, która broni narodowego charakteru Katalonii jako całego terytorium, na którym mówi się po katalońsku, z Balearami, Walencją, Roussillon, częścią Arago-

nii, a nawet niewielką częścią włoskiej Sardynii włącznie.

Na Majorce niejednokrotnie odbywały się wiece a to przeciwko koronie hiszpańskiej, a to wyrażające solidarność z Katalończykami. Dość znaczącym gestem była nieobecność prezydent Balearów Franciny Armengol na uroczystościach 40-lecia hiszpańskiej konstytucji.

Tak zwanej katalonizacji Balearów od dłuższego czasu przeciwstawia się stowarzyszenie *Círculo Balear*. Jego prezes Jorge Campos, który organizuje protesty i wiece, jest blisko związany z organizacjami faszystującymi, a prócz tego pielęgnuje najważniejszy frankistowski zabytek na wyspach: pomnik Sa Feixina zbudowany w 1947 r. na cześć załogi balearskiego krążownika, który walczył po stronie frankistów, atakując nieuzbrojone statki handlowe i miasta nadbrzeżne, m.in. Malagę, oraz ich ludność cywilną.

W hiszpańskich mediach i w całym społeczeństwie echem odbił się spór sądowy między Camposem a raperem Valtònycem z Majorki. W utworze zatytułowanym „Circo Balear” artysta zaatakował Camposa: „Jorge Campos zasługuje na zniszczenie bombą nuklearną”. Raper już wcześniej często krytykował sytuację w kraju, króla i całą monarchię. Sąd skazał muzyka na trzy i pół roku więzienia za pisanie tekstów o hiszpańskich sądach, gloryfikowanie terroryzmu (chodzi o ETA) i obrazę hiszpańskiej monarchii. – Nie można ograniczać sztuki – mówił Valtònyc zaraz po ogłoszeniu wyroku. – Gdyby te ograniczenia zostały zastosowane do „Guerniki” Picassa, nie mielibyśmy sztuki, którą mamy teraz.

Wyrok potępiła Amnesty International, upominając Hiszpanię, że zagraża on wolności słowa. Dla separatystów takie wyroki są tylko potwierdzeniem, że sądy działają pod naciskiem politycznym i robią wszystko, by stłumić autonomię regionów.

Polityka w Hiszpanii polaryzuje się z dnia na dzień. Kryzys kataloński obudził demony przeszłości. Hiszpański nacjonalizm i regionalizm przybierają na sile, a to wszystko sprzyja podziałom w społeczeństwie i jego radykalizacji. W państwie, w którym w XX stuleciu starcie lewicy i prawicy doprowadziło do wojny domowej, jest to szczególnie niepokojące.

Tomasz Skowronek

Smutny koniec premiera

François Fillon staje przed sądem za defraudację publicznych pieniędzy

Katarzyna Mierzejewska

Francuska tradycyjna prawica spod szyldu gaullistów z pewnością nie wspomina dobrze wyborów prezydenckich w 2017 r. Ostateczne starcie odbyło się między Emmanuelem Macronem a Marine Le Pen, gaullistowski kandydat nawet do drugiej tury nie przeszedł. To pierwszy taki przypadek od czasów powstania V Republiki w 1958 r. Wszystko za sprawą skandalu, jaki wybuchł wokół kandydata Republikanów François Fillona. Afera ostatecznie utorowała drogę do zwycięstwa Macronowi i ruchowi En Marche!, a Fillona doprowadziła na salę sądową. Pierwsza rozprawa odbyła się w środę, 26 lutego.

Polityk uwielbiany przez gaullistów

W 2016 r. był premier François Fillon był u szczytu popularności i szedł jak burza w wyścigu do Pałacu Elizejskiego. Wygrał nominację

Przez kilka lat fikcyjnego zatrudnienia żona François Fillona, Penelope, miała otrzymać ponad 800 tys. euro.

Republikanów, miał za sobą wieloletnie doświadczenie polityczne, tworzył trzy kolejne rządy, na dodatek prowadził w sondażach. Drzwi do prezydentury zatrasnęła mu przed nosem publikacja satyrycznego magazynu „Le Canard Enchaîné”. W styczniu 2017 r. na łamach tygodnika Francuzi mogli przeczytać, że oto żona kandydata na prezydenta, Walijka Penelope Fillon, miała przez kilka lat pobierać niebotyczne wynagrodzenie w ramach fikcyjnego zatrudnienia w roli asystentki parlamentarnej.

Przez długie lata kariery politycznej François Fillon zdołał utrzymać się z dala od wszelkich skandali. Jednak afra wywołana

zarzutem sprzeniewierzenia publicznych pieniędzy, kąśliwie nazwana „Penelopegate”, podważyła jego wiarygodność jako kandydata na najważniejszy urząd we Francji. Co ciekawe, ujawnienie tych rewelacji wcale nie skłoniło Fillona do wycofania się z wyścigu. Nazwał te oskarżenia kampanią brudnych sztuczek politycznych. Nie ugiął się nawet pod presją własnej partii, która oczekiwała od niego rezygnacji z kandydowania.

„Penelopegate” okazała się tym dotkliwsza dla Fillona, że na początkowym etapie kampanii kreował się na kandydata kryształowo uczciwego, za którym, w odróżnieniu od Sarkozy’ego – rywala w partyjnej walce o nominację, nie ciągnął się skandal.

„Czy ktoś mógłby sobie wyobrazić, że gen. Charles de Gaulle zostaje postawiony w stan oskarżenia?” – to słynne pytanie Fillona zadane podczas jednego z kampanijnych wieców było otwartym atakiem na Sarkozy’ego i jego burzliwą przeszłość. Te słowa mu zapamiętano

i wybrzmiewały jak złowieszcza przepowiednia już po ujawnieniu „Penelopegate”. W styczniu br. w rozmowie z telewizją France 2 François Fillon za nie przeprosił.

Konsekwentne odpięcie zarzutów nie przyniosło skutków. Poparcie dla Fillona spadało na łeb na szyję, skompromitował się w oczach Francuzów i nie wszedł do drugiej tury, przegrywając nawet z jeszcze mocniej polaryzującą spóteczeństwo Marine Le Pen.

Fikcyjne stanowiska dla rodziny

Przez kilka lat swojego fikcyjnego zatrudnienia Penelope Fillon miała otrzymać ponad 800 tys.



euro. W kraju, gdzie dla większości pracowników pensja w wysokości 3 tys. euro pozostaje w sferze marzeń, a nauczyciele mogą liczyć na emeryturę rzędu 1,2 tys. euro, to potężny cios, który może skreślić polityka. Penelope Fillon podobno zarobiła dodatkowo 100 tys. euro za napisanie kilku artykułów do „La Revue des Deux Mondes”. Magazyn należy do miliardera i przyjaciela rodziny Marca Ladreit de Lacharrière’a. W latach 2002-2007 pani Fillon miała także, na prośbę męża, być zatrudniona jako asystentka parlamentarna jego bliskiego współpracownika, Marca Joulauda, który był wówczas deputowanym do Zgromadzenia Narodowego. Również w tym przypadku zarzucono Penelope Fillon czerpanie korzyści finansowych z fikcyjnego stanowiska.

Mało tego, „Le Canard Enchaîné” ujawnił też, że w latach 2005-2007, kiedy Fillon był senatorem, zatrudniał dwoje z pięciorga swoich dzieci w roli asystentów parlamentarnych; zajmowały się ekspertyzami prawnymi, za co miały w sumie otrzymać 84 tys. euro. Media wskazywały, że żadne z nich nie było wtedy licencjonowanym prawnikiem.

Afera szybko wyszła poza medialne nagłówki. 65-letni François Fillon został oskarżony o defraudację funduszy publicznych i zataje-



François Fillon i jego żona stawili się w sądzie, ale proces przełożono z powodu strajku prawników.

nie przed francuskimi instytucjami nadzorczymi szczegółów swojej sytuacji finansowej. Grozi mu nawet do 10 lat więzienia i grzywna w wysokości 1 mln euro. Jego żona mierzy się z zarzutami ukrywania nieuczciwego wykorzystania funduszy publicznych.

Po fiasku wyborczym Fillon usunął się w cień i przestał brać udział w życiu publicznym. Jednak ostracyzm wobec niego nie okazał się całkowity. Polityk znalazł posadę w firmie inwestycyjnej Tikehau Capital. Pierwszy raz na temat skandalu zdecydował się wypowiedzieć w styczniu tego roku w wyżej wspomnianym wywiadzie dla France 2. Być może do walki o medialny wizerunek skłonił go zbliżający się wielkimi krokami termin rozprawy sądowej.

Moi wyborcy zasługują na wyjaśnienia

W wywiadzie jasno podkreślił, że nie zamierza wracać do polityki. „Moja rodzina doświadczyła bezprecedensowej nagonki i przemocy. Nie chcę ich ponownie na to narażać”, mówił dziennikarzom. Zaznaczył też, że zdecydował się wziąć udział w programie, by bronić dobrego imienia żony i rodziny. Stwierdził, że po raz pierwszy

podczas procesu stanie przed bezstronnymi sędziami i będzie miał prawo do obrony, jakby zarzucając opinii publicznej, że błyskawicznie wydała wyrok. „Jestem winny wyjaśnienie milionom Francuzów, którzy mnie poparli”, podkreślił, zaznaczając, że zrobi wszystko, aby jego dorobek polityczny nie został przekreślony przez proces sądowy.

François Fillon przekonywał wielokrotnie, że Penelope była jego najważniejszą współpracowniczką, a jej praca nie była fikcyjna. „Penelope zarządzała moim lokalnym porządkiem obrad, pocztą parlamentarną, poprawiała moje wystąpienia. Działała lokalnie w Sarthe, dlatego nie ma śladu z tej działalności w dokumentach Zgromadzenia Narodowego”, tłumaczył. Zapowiedział, że niezbite dowody na poparcie jego słów zostaną przedstawione w czasie procesu. Krytyków oskarża, że nie mają pojęcia o tym, jak wygląda specyfika życia polityków i ich asystentów.

Co ciekawe w wywiadzie udzielonym „The Telegraph” w 2007 r. Penelope Fillon zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek pełniła funkcję asystentki czy bliskiej współpracowniczki męża. Były premier nie miał problemu z wytłumaczeniem słów

pani Fillon nie wykraczała poza „rolę społeczną, w którą powszechnie wchodzi małżonkowie polityków”.

Warto nadmienić, że w 2017 r. zatrudnianie członków rodziny przez deputowanych było legalne, o ile oczywiście wykonywali konkretną pracę. Było to we Francji dość powszechne i właśnie na taki argument powoływali się postawie Les Républicains zaraz po wybuchu skandalu – wtedy próbowali jeszcze bronić Fillona. Proceder został ukrócony, kiedy do władzy doszedł Emmanuel Macron. W miarę jak skandal przybierał na sile, kompromitacja francuskiej sceny politycznej rosła. Podjęto więc kroki, by chociaż częściowo odzyskać zaufanie obywateli do funkcjonariuszy życia publicznego. Nowe przepisy zabraniają posłom, senatorom lub członkom gabinetu zatrudniania bliskich członków rodziny.

Opóźniona rozprawa

Państwo Fillon pojawili się w sądzie w poniedziałek, 24 lutego. Przemykali korytarzami, starając się ukryć przed mediami. Dziennikarzom nie udzielili żadnego komentarza. Tymczasem sprawa sądowa, zanim na dobre się rozpoczęła, już

W latach 2005-2007 Fillon w roli asystentów parlamentarnych zatrudniał dwoje swoich dzieci.

żony. Jego zdaniem zamieszanie wynikało z faktu, że rozmowa była przeprowadzana w języku angielskim, a sama Penelope zawsze ostrożnie wypowiadała się o swojej roli. „Słowo »asystent« ma w języku angielskim inne znaczenie niż we francuskim”, zwrócił uwagę Fillon i dodał, że Penelope „zawsze była dyskretna i nieśmiała”.

Prokuratorzy wątpią w te tłumaczenia, twierdząc, że pani Fillon, owszem, mogła się zajmować korespondencją i skrzynką mejlową męża, ale z pewnością nie była jego asystentką parlamentarną, a właśnie za tę funkcję miała otrzymać wynagrodzenie w wysokości prawie 1 mln euro. Śledczy utrzymują, że w czasie dochodzenia niezwykle trudno było się dopatrzeć jakichkolwiek śladów faktycznej pracy Penelope Fillon. Ich zdaniem aktywność

się opóźniła. Paryski Trybunał Karny zdecydował się przenieść rozprawę z poniedziałku na środę. Powodem był strajk prawników, którzy – tak jak wiele innych grup zawodowych – sprzeciwiają się propozycjom Emmanuela Macrona dotyczącym reformy systemu emerytalnego.

Na potrzeby procesu prawnicy François Fillona wezwali na świadków co najmniej trzech długoletnich współpracowników byłego premiera, którzy znali go od czasu jego debiutu politycznego w 1981 r. Pierwotnie proces miał być ekspresowy, jego zakończenie zaplanowano na 11 marca. Jednak ze względu na strajki i równoległe procedowaną reformę emerytalną, która mocno osłabiła społeczne i medialne zainteresowanie aferą Fillona, może się wydłużyć.



Niefirmowi

Coraz mniej
Europejczyków chce
prowadzić własne
przedsiębiorstwo

Mateusz Mazzini

Na wspólnym zdjęciu wyglądają jak dwójka szkolnych kujonów, rywalizujących o miano najlepszego ucznia w klasie. Oboje znają siłę swojego przeciwnika, doceniają jego potencjał, jednak najchętniej pozbyliby się go z pola widzenia. Zmuszeni do zapozowania obok siebie, uśmiechają się, bo wiedzą, że tak wypada.

W taki mniej więcej sposób można odczytać mowę ciała założyciela Facebooka, Marka Zuckerberga, i Věry Jourové, wiceszefowej Komisji Europejskiej, zajmującej się kwestiami praworządności we Wspólnocie. Amerykański miliarder przyjechał w ubiegłym miesiącu na Stary Kontynent, by rozmawiać z unijnymi liderami na temat przyszłości jego firmy w Europie. Choć pozycja Facebooka jako absolutne-

go monopolisty wśród platform społecznościowych jest niezagrożona, ucieleśnianie on problem, jaki Europa ma z technologicznymi gigantami. Trudno na nich cokolwiek wymusić, bo wszyscy najwięksi gracze na tym polu są podmiotami wywodzącymi się z innych kontynentów.

Europejczycy porozumiewają się na Facebooku i Twitterze. Te aplikacje są zainstalowane w telefonach amerykańskiego Apple'a i koreańskiego Samsunga. Ich dane przechowywane są w chmurach zbudowanych przez wywodzące się z USA firmy Microsoft i Amazon, a kolejną technologiczną rewolucję obiecuje im chiński Huawei, lider technologii 5G. Europa, nie tylko zresztą w branży technologicznej, jest całkowicie zależna od obcych gigantów. Dlatego Komisja Europejska pod przewodnictwem Ursuli von der Leyen nie tylko chce ograniczyć prawa internetowych koncernów, ale też zabiega, by godnym rywalem dla nich stała się wreszcie spółka wywodząca się z krajów członkowskich.

Niestety, ambicje von der Leyen i Jourové szybko może zweryfikować rzeczywistość rynkowa. Z powstaniem unijnego giganta jest bowiem jeden podstawowy problem – nie widać chętnych do jego założenia. I nie chodzi tu o niedobór

talentów – tych nie brakuje, mimo rosnącej liczby europejskich przedsiębiorców wybierających życie w Dolinie Krzemowej, w krajach Bliższego Wschodu czy nawet w Australii i Japonii. Europejczycy zwyczajnie nie palą się do zakładania własnych biznesów. Nie tylko w sektorze nowych technologii, wśród start-upów, ale także w bardziej tradycyjnych gałęziach gospodarki. Dominacja globalnych koncernów może być o tyle trudniejsza do pokonania, że mieszkańcy Europy czują się jak najbardziej komfortowo, pracując dla nich, a nie tworząc bezpośrednią konkurencję.

W opublikowanym kilka tygodni temu przez brytyjski „The Economist” zestawieniu krajów o najniższym odsetku aktywnej zawodowo populacji prowadzącej własne przedsiębiorstwa najgorsza dziesiątka zawiera aż sześć państw europejskich. Obecność Kosowa na przedostatnim miejscu, zaraz za południowoamerykańskim Surinamem, z zaledwie 4% przedsiębiorców, nie powinna dziwić ani skłaniać do kontynentalnego alarmu. Ale już fakt, że niewiele wyższe wskaźniki odnotowano w należących do Unii Bułgarii, Belgii, Francji, Włoszech i Niemczech (poniżej 6%), każe się zastanawiać, dlaczego spadają szanse na znalezienie wśród

Europejczyków nowego Zuckerberga, Jobsa czy Elona Muska.

Jedną z pierwszych odpowiedzi jest stosunkowo wysokie w tej części świata nasycenie rynku starymi, dużymi i wciąż dobrze radzącymi sobie przedsiębiorstwami. Europa, nawet zjednoczona i liczona wspólnie, jest nieporównywalnie mniejsza od Stanów Zjednoczonych czy rynków azjatyckich, więc nowi gracze, niejako z definicji, już na starcie muszą się rozpychać znacznie mocniej, a nie każdy jest w stanie tę walkę wygrać. Dlatego, jak podkreśla magazyn „Quartz”, w przypadku spółek europejskich dochodzi do

bank Sabadell. Hiszpanie tworzą w Ameryce Południowej akceleratorzy przedsiębiorstw, programy szkoleniowe, sponsorują kierunki studiów magisterskich na prywatnych uczelniach biznesowych. Wolą to robić za oceanem niż na Półwyspie Iberyjskim, bo najczęściej wiąże się to ze znacznie mniejszą biurokracją, z przychylnością lokalnych władz i ulgami z ich strony oraz niższymi kosztami, w tym kosztami pracy.

Katie Griffing z agencji wizerunku publicznego Launchway Media w tekście dla Crunchbase podkreśla, że karmione europejskimi pieniędzmi spółki z globalnego Południa

Europejczyków do prowadzenia własnych spółek nie zachęcają ani nie przygotowują systemy edukacyjne.

paradoksalnej sytuacji, co widać zwłaszcza wśród start-upów. Ujmując rzecz w skali globalnej, najlepiej radzą sobie te, których krajowe rynki były albo za małe, żeby je wyżywić, albo zbyt przesycone, żeby je zauważyć, więc nowe twory natychmiast musiały myśleć o międzynarodowej ekspansji. Jako najbardziej chyba rozpoznawalny przykład podaje się tu Spotify, założoną w Szwecji platformę do słuchania muzyki w internecie. Dominująca w tej chwili nad rywalami z USA i Azji spółka od razu projektowana była z myślą o sukcesie zagranicznym, bo zajęcie nawet monopolistycznej pozycji na samym szwedzkim rynku nie przyniosłoby znaczącego sukcesu komercyjnego.

Nie wszędzie jednak ten schemat udaje się łatwo powielić. Również dlatego, że rodzące się europejskie spółki niekoniecznie mogą liczyć na wsparcie tutejszych inwestorów. Ci bowiem coraz częściej spoglądają na kraje byłego Trzeciego Świata i globalnego Południa, uznając je za rynki ciekawe i na pewno wciąż nieodkryte. Według danych opublikowanych przez portal Crunchbase, platformę wiedzy i informacji dla środowiska startupowego, prym w inwestowaniu w dawne kolonie wiodą Hiszpanie, coraz wyraźniej preferujący wspieranie spółek w Ameryce Południowej, a nie we własnym kraju. Iberyjski gigant telekomunikacyjny Telefónica tylko w latach 2011-2018 zainwestował na kontynencie 80 mln dol., niewiele mniejsze kwoty przelał tam

z impetem wchodzą potem na rynki Starego Kontynentu. Z reguły są już wtedy doświadczone, przeszły kilka stadiów rozwoju, w dodatku europejscy patroni wyposażają je we wsparcie również w tej ekspansji. Europejskie spółki wpadają więc w pewną wariację pułapki średniego rozwoju – są droższe w utrzymaniu i prowadzeniu niż potencjalni konkurenci z Azji Południowo-Wschodniej, Afryki czy Ameryki Południowej, a żeby rywalizować z amerykańskimi potentatami, brakuje im lokalnego wsparcia finansowego i globalnej wizji rozwoju.

Oprócz problemów z przebicciem się czynnikiem zniechęcającym Europejczyków do pójścia na swoje są

z roku na rok sytuacja w Europie pod tym względem się poprawia, tutejszym gospodarkom wciąż daleko do wyników chociażby anglosaskich. Jak pokazują dane Banku Światowego, zebrane na potrzeby rankingu przyjazności przedsiębiorcom Doing Business, średni czas zarejestrowania firmy w Stanach Zjednoczonych wynosi 4,5 dnia, a w Australii tylko 2 dni. Dla porównania w Niemczech to 8 dni, w Szwecji – 7,5 dnia, w Hiszpanii – 12,5 dnia, a w Polsce – 37,5.

Wreszcie Europejczyków do prowadzenia własnych spółek ani nie zachęcają, ani nie przygotowują ich macierzyste systemy edukacyjne. Tuula Teeri, rektor fińskiego Aalto University w Espoo, jest zdania, że największy błąd europejskich uczelni polega na tym, że kształtują przyszłych naukowców, często z bardzo mocnym naciskiem na teorię, niekoniecznie zachęcając ich do komercjalizacji swoich umiejętności. „Uczymy ich na nasze podobieństwo, żeby byli pracownikami naukowymi, ale musimy sobie uświadomić, że nie damy rady sami zatrudnić wszystkich studentów, których kształcimy”, stwierdza w rozmowie z portalem ScienceBusiness.net. Fakt, że stosunkowo wysoki odsetek młodych Europejczyków decyduje się na studia, też często opóźnia ich start na rynku pracy. To z kolei skraca czas na pierwsze porażki, upadki, zbieranie doświadczeń. Tuula Teeri podkreśla, że nie można jednoznacznie stwierdzić, że studia tylko pomagają

Komisja Europejska chce osłabić pozycję amerykańskich gigantów i stworzyć przestrzeń dla unijnych spółek.

trudności w samym starcie, zwłaszcza związane ze zgromadzeniem kapitału początkowego i przedarciem się przez biurokratyczne zasięki. Kapitału młodzi nie mają za bardzo skąd brać – według najnowszych danych Komisji Europejskiej bez pracy w Unii pozostaje prawie 15% osób poniżej 25. roku życia. Liczby te wyglądają jednak znacznie gorzej w co najmniej kilku dużych europejskich gospodarkach. Bez zatrudnienia jest w tej chwili co trzeci młody Hiszpan i co czwarty młody Włoch. W dodatku utopia pozostają obrośle już legendą reformy mające upraszczać zakładanie własnej spółki. Choć

lub tylko przeszkadzają w prowadzeniu własnej firmy, ale znaczący przechyl tego modelu w którą stronę nie sprzyja rozwojowi rynku prywatnego.

Są również optymiści, którzy uważają, że pustka na europejskim rynku i niechęć do zakładania firm to chwilowa zapaść i szansa, którą należy wykorzystać. Nadzieję widzą właśnie w nowej Komisji Europejskiej, która chce osłabić pozycję amerykańskich gigantów i stworzyć przestrzeń dla unijnych spółek. Czas europejskich przedsiębiorców może zatem dopiero nadejść.

Kazimierz Zarzycki

Byłem sekretarzem Edwarda Gierka

Gierek nie był mściwy, szybko wybaczał,
lubił spokój w swoim otoczeniu

Usiedliśmy gdzieś przy kieliszku, Jerzy Sochanik krygował się, przy wtórze swojego urokliwego jąkania. (...) – Wstępnie zaproponowałem szefowi, to znaczy towarzyszeni Gierkowi, żeby pan zajął przy nim moje miejsce. Służba Bezpieczeństwa już pana sprawdziła, zastrzeżeń nie ma...

Byłem zaskoczony, że mówił o tym wprost. Potem dowiedziałem się, że to sprawdzanie narobiło w rodzinnym Jarosławiu i u Oli, w Żywcu, sporo bi-gosu. Przeważał niepokój.

Później ojciec relacjonował, jak o mało nie dostał zawału, kiedy sąsiedzi donieśli, że dzielnicowy i jacyś dziwni cywile przepytują mieszkańców, wypytują o mnie i rodzinę.

– Synu, coś ty zrobił, że tak węszyć? – pytał lękliwie. Uspokoilem, że być może będę pracował dla Gierka, pierwszego sekretarza w Katowicach. (...)

Przedstawiłem się. Gierek wyciągnął rękę, kiwnął głową, jakby dawał do zrozumienia, że już mnie zna. Wprawdzie w tamtych czasach dziennikarze nie zaglądali politykom w oczy – ochrona trzymała nas na parę metrów od nich – ale dość często „obslugiwałem Gierka”, więc na pewno nie byłem dla niego postacią całkiem anonimową.

– Oczekuję od was szczerości i prawdy – nawet tej przykrej.

Ośmieliłem się powiedzieć, że miałem zaszczyt relacjonować wiele jego gospodarczych i politycznych spotkań, także wizytę Charles’a de Gaulle’a w Zabrzu, we wrześniu 1967 r. To był strzał w dziesiątkę.

Gierek był wyraźnie zadowolony. To wtedy prezydent Francji wykrzyknął słynne zdanie, które przeszło do historii: „Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie ze wszystkich śląskich miast, a więc najbardziej polskie ze wszystkich polskich miast”. Ten okrzyk uznany został wówczas za wielki polityczny sukces Polski. Szczególnie w relacjach polsko-niemieckich. W jakiejś mierze był to także osobisty sukces Gierka, sprawnego włodarza, który wcześniej swobodnie rozmawiał z de Gaulle’em po francusku w cztery

oczy, co wówczas nie było zjawiskiem nadmiernie powszechnym. (...)

Patrzyłem, jak przegląda moje akta i wyraźnie podbechtany przywołanymi zabrzańskimi wspomnieniami zauważa: – A wiecie, towarzyszu Kazimierzu, że jesteście prawie rówieśnikami mojego starszego syna Adama i trzy lata starszym od młodszego, Jerzyka.

Dalej zaczął ubolewać nad tym, że on i ludzie jego generacji nie całkiem rozumieją to nasze „nowoczesne” pokolenie, ale właśnie poprzez swoich synów wiele problemów jest mu bliskich.

Zaczął wypytывать mnie o studia, o profesorów, działalność w ZMS, pracę w radiu i mój stosunek do służby wojskowej. Opowiedziałem o studium wojskowym i stopniu oficerskim, ale bez szczegółów związanych z przydziałem w razie mobilizacji. Gierek niespodziewanie się pochwalił:

– A ja też, towarzyszu Kazimierzu, służyłem w Wojsku Polskim. W Stryju, od końca 1934 do 1936 r. W 1. Pułku Artylerii Motorowej. Zresztą razem z towarzyszem Józefem Szczyrbą. Byłem kierowcą, ale żadnej belki na pagonach nie dochrapałem się. Żalu nie mam – tu się zaśmiał – bo przecież mieli w papierach, co robiłem w Komunistycznej Partii Francji.

Byłem bardzo zaskoczony, że Gierek wspominał, na dodatek dość ciepło, ten fragment przedwojennego życiorysu. W oficjalnych biogramach istniała tylko sucha informacja o wcieleniu czy też powołaniu do wojska. A Józef Szczyrba, prosty Ślązak, był kierowcą Gierka od czasu, kiedy ten został pierwszym sekretarzem KW w Katowicach. A później poszedł

z nim do Warszawy jako oficer Biura Ochrony Rządu. Parę razy podsłuchiłem, że kiedy są sami, to mówią sobie po imieniu, ale w innych, bardziej oficjalnych sytuacjach, Szczyrba zachowywał wobec pierwszego sekretarza stosowny dystans.

Bardzo go polubiłem. Chętnie okazywałem mu tę sympatię i szacunek, należy nie tylko z racji wieku. Kiedyś, przy jakiejś sprzyjającej ku temu okazji, zapytałem go o przedwojenne relacje z Gierkiem. Po wojsku ich drogi się rozeszły, Gierkowie w 1937 r. wyemigrowali do Belgii.

Kumple z wojska odnaleźli się dopiero po wojnie, po powrocie Gierka do kraju. A Szczyrba przeszedł śląską drogę: volkslista, choć nie pamiętałem której kategorii, i służba w Wehrmachcie.

Wiem, że wielokrotnie – w okresie kiedy pracowałem u Gierka, ale też wcześniej i później – próbowano go przed nim zdyskredytować, właśnie za wojenny życiorys. Szukano też gorliwie innych haków. Szczyrba podlegał długotrwałej inwigilacji.

A cel był jasny: SB i nadzorujący ją z ramienia partii sekretarz organizacyjny Zdzisław Grudziński pragnęli mieć przy Gierku swojego kierowcę.

Gierek nie chciał o tym słyszeć. Teraz żałuję, że nigdy go nie zapytałem, jakich argumentów użył, żeby obronić nie tylko swojego kierowcę, ale i przyjaciel. Tak, przyjaciel. Szczyrba, kiedy byliśmy sami, także zwracał się do mnie mniej oficjalnie.

– Coś jest w tym powiedzeniu polskim, też niemieckim, panie Kazimierzu, że przyjaźnie z wojska pozostają na całe życie tymi najmocniejszymi.

Ale w tamtym dniu byłem dopiero na początku rozmowy z Gierkiem. Patrzył prosto w oczy i od czasu do czasu wracał do wertowania moich papierów: – Jesteście z Jarosławia? Pewnie w rodzinie dużo partyjnych?



Indie. Kazimierz Zarzycki z żoną Olą.

Już przed wojną słyszałem o galicyjskiej biedzie, o powstaniu chłopskim.

Co do partyjnego zaangażowania, to od razu zaprzeczyłem.

– Nie, towarzyszu sekretarzu, jestem pierwszym członkiem partii w mojej rodzinie bliższej i dalszej.

Powiedziałem, że ojciec jeszcze przed wojną związał się z PSL, był stronnikiem Wincentego Witosa, brał udział w krwawo stłumionym chłopskim buncie; że w czasie wojny służył w Batalionach Chłopskich, a większość mężczyzn w rodzinie związana była z Armią Krajową, że generalnie całą moją rodzinę można nazwać rodziną kupiecką.

Przeczuwałem, że miał to wszystko czarno na białym w meldunkach SB, ale chciałem sam sprawdzić, jak się zachowam, czy się będę wypierał, tłumaczył, czy posypię głowę popiołem i będę się dystansował wobec „reakcyjnych” postaw rodziny. A tu nic z tych rzeczy.

W pewnym momencie lekko się zawahałem, ale szybko przeszedłem dalej: – Widzę, że was ostro sprawdzono, ale to nie ja, to towarzysz Grudzień, ten z dołu – palcem wskazał na podłogę.

To był czas, kiedy Grudzień, sekretarz organizacyjny, a w hierarchii partyjnej II sekretarz KW PZPR, był z jakichś powodów w niefaskach

u Gierka. Większość pracowników komitetu przewidywała, że zbliża się jego koniec, ale wszystko wróciło do normy. Gierek nie był mściwy. W odróżnieniu od Grudnia szybko wybaczał, lubił spokój w swoim otoczeniu.

Zapytał w pewnym momencie, czy tę pracę przy nim wiąże ewentualnie z karierą w aparacie partyjnym.

– Nie, skądże. Aparat partyjny zupełnie mnie nie interesuje – odpowiedziałem bez namysłu.

To była prawda. Przekraczając partyjne progi, pozostawałem na etacie radia: – Chciałbym skonfrontować się z nowymi doświadczeniami. To

W zakresie moich obowiązków leżało redagowanie wystąpień Gierka, opracowywanie pism, obecność przy nim na posiedzeniach egzekutywy i sekretariatu.

mogłoby mnie nauczyć czegoś nowego i z pewnością pomóc w innych kierunkach mojej kariery osobistej.

– No, no – ciekawa postawa, ciekawa... Tylko głośno nią się nie chwalcie – i zza biurka nawet lekko się uśmiechnął. Potem rozmowa stawała się coraz luźniejsza, ciekaw był moich relacji z ojcem i matką – później sobie uświadomiłem, że być może konfrontował swoje wychowanie przez ojczyznę z relacjami w typowej,

normalnej rodzinie. Pytał o zamiłowania i był ciekaw, czy gram na jakimś instrumencie. A kiedy powiedziałem, że rodzice przez kilka lat kazali mi ćwiczyć na akordeonie, to autentycznie się ucieszył.

– Bo ja w wojsku też nauczyłem się grać na akordeonie i od czasu do czasu po tę moją harmonię sięgam – przyznał rozbawiony. – Ale niech to pozostanie naszą pierwszą tajemnicą. No i uważajcie w temacie akordeonu przy Grudniu. On przygrywał we Francji na weselach, ale teraz się tego wstydzi.

Wreszcie podniósł się i oświadczył: – To ja się na was decyduję! Ale pamiętajcie, że pracujecie dla mnie, wyłącznie dla mnie. Nikomu więcej nie podlegacie. Na pewno dobić się będzie do was towarzysz Grudzień, ale mam nadzieję, że dochowacie tajemnicy naszych rozmów i spraw.

Kiedy po dwóch mniej więcej godzinach żegnałem się z Gierkiem – odprowadził mnie do drzwi i powiedział na koniec, że chciałby mieć do mnie takie zaufanie jak do towarzyszy Józefa Szczyrby i Jerzego Sochaniaka. Wymienił tylko te dwa nazwiska. Dość krótka ławka zaufanych w olbrzymim Komitecie.

– Oczekuję od was szczerości i prawdy – nawet tej przykrej. (...)

W zakresie moich obowiązków leżało redagowanie wystąpień Gierka, opracowywanie pism przez niego sygnowanych, obecność przy nim na posiedzeniach egzekutywy i sekretariatu, robienie tzw. prasówki

i przeglądanie korespondencji, której nie strzegł stempel „ściśle tajne”.

„Ściśle tajne” pozostawało poza zasięgiem mojego wzroku. Później sporo tajnych i poufnych dokumentów przekazywano do mnie na przechowanie i segregowanie. Miałem przeznaczoną na ten cel przepastną szafę pancerną, a w niej pistolet – włoską berettę, osobistą broń Gierka. Wątpię jednak, żeby kiedykolwiek jej dotknął.

Zofia z Odrowąż-Pieniążków Skąpska **Dziwne jest serce kobiece...** **Wspomnienia galicyjskie** SW Czytelnik, Warszawa 2019

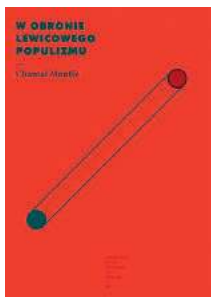
Warto czytać nie tylko pamiętniki generałów i powstańców. Potwierdza to lektura wspomnień Zofii z Odrowąż-Pieniążków Skąpskiej. Obejmują one początek wieku XX – zaczyna je pisać pensjonarka,



kończy kobieta z siedmiorgiem dzieci, gospodarująca wraz z mężem w majątkach ziemskich Sądeckiej. Dodajmy, że jest nie tylko wzorową gospodynią i kobietą niezwykle pracowitą („chodziłam do doju w południe i wieczór, pilnowałam żywienia trzody, zajmowałam się ogrodem, hodowlą kur, kaczek, indyków, a przy tym miałam dużo czeladzi »na stole«”), ale też osobą o talencie literackim (pisywała felietony i nowele zamieszczane w ówczesnej prasie). Wspomnienia kończą się w roku 1920. W ciągu tych dwóch dekad zaszło dużo zmian politycznych i społecznych, które można prześledzić z punktu widzenia zwykłych obywateli. Dlatego wspomnienia te powinni przeczytać miłośnicy życia społecznego i historii kształtowania się narodu. A także wszyscy ci, których interesuje historia życia codziennego, zwłaszcza kobiet.

Chantal Mouffe **W obronie lewicowego populizmu** tłum. Barbara Szelewa Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020

Żyjemy w czasach powszechnego triumfu populizmu, przeciwstawiającego „lud” jakimś „elitom”. Belgijska filozofka polityczna dowodzi, że jedyną skuteczną odtrutką na nacjonalistyczny populizm prawicy jest populizm lewicy, skupiony m.in. na powszechnym poczuciu równości. Wyzwaniem dla lewicowej strategii populistycznej jest przywrócenie wagi „kwestii socjalnej”, uwzględniające coraz większą fragmentację i różnorodność kategorii „robotników” z jednej strony, a z drugiej – szczególny charakter żądań demokratycznych.



W praktyce wyglądało to tak: codziennie rano zjawiałem się u niego z plikiem gazet, a w nich miałem zakreślone partie materiałów, które w moim przekonaniu powinien znać. Wówczas streszczałem je w dwóch słowach albo Gierek prosił o pozostawienie prasy.

Czytał ją w wolnych chwilach albo w domu. Robiłem skróty z analiz, które spływały z ambasad, z raportów „białego wywiadu”... Codzienną porcję uzupełniałem najciekawszymi informacjami z nasłuchów stacji polskojęzycznych – przeważnie Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki i BBC. Typowa rola osobistego sekretarza i doradcy do wszystkiego. (...)

Do mnie docierała zachodnia prasa i prohibity – książki, w większości wydawane przez paryską „Kulturę” i najczęściej umieszczone

Hasło „szef czeka na książki” otwierało mi drzwi. Gierek lubił książki historyczne, niekoniecznie naszych autorów.

na indeksie, przemycane do kraju i zarekwirowane lub przysyłane przez ambasadę.

Jako pierwszy miałem wielką przyjemność ich czytania, a następnie podsuwałem Gierkowi: Pawła Jasieńnicę, Józefa Czapskiego, Jerzego Giedroycia, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Aleksandra Sołżenicyna...

Hasło „szef czeka na książki” otwierało mi drzwi. Nie wiem, czy Gierek to wszystko czytał, czy sięgał tylko do zakreślonych przeze mnie fragmentów. Wiem natomiast, że lubił książki historyczne, niekoniecznie naszych autorów.

Czułem, że ma świadomość swoich wielkich braków w wykształceniu. Szkoła podstawowa, a potem... działalność partyjna. Prywatnie tego zresztą nie krył. Zaoczna szkoła średnia czy takie same studia tylko w niewielkim stopniu rekompensowały luki w wiedzy ogólnej.

Czytając książki – a czytał sporo – ciągle się uczył i tym sposobem sukcesywnie i pracowicie nadrabiał zaległości, a ja przez jakiś czas chętnie mu w tym pomagałem.

Prohibity były dostępne dla wyższych władz komitetu, ale – z jedynym wyjątkiem sekretarza ekonomicznego Tadeusza Pyki – zainteresowanie było niewielkie. (...)

Uczestniczyłem w wielu spotkaniach Gierka. W większości były zdawkowe, kurtuazyjne. Z niektórych wychodziłem jednak, jak to się mówi, pod wrażeniem. Takim bez wątpienia było nasze wspólne spotkanie z gen. Stanisławem Popławskim, Polakiem z pochodzenia, ale zruszczonym do szpiku kości. Był generałem Armii Radzieckiej i Ludowego Wojska Polskiego.

Wiedziałem, że wizyta gen. Popławskiego nie jest przypadkowa – traktowałem go jako wystannika z jakąś szczególną misją. W Moskwie zaliczany był do ekspertów od spraw Polski.

Po kilku minutach od wejścia Popławskiego do Gierka, zadzwoniła do mnie Basia: – Szef chce, żebyś był przy rozmowie.

Ki diabeł? Byłem przekonany, że to będzie rozmowa dwóch panów

w cztery oczy. Może trzeba będzie jakiś komunikat napisać, może wódkę wypić z radzieckim generałem? Gierek nie znośił alkoholu.

Siedzieli przy okrągłym stoliku. Do picia podano kawę, wodę mineralną i wino. Popławski zbliżał się już do siedemdziesiątki, był lekko głuchawy i sterany życiem. Nie należał też do szczególnie bystrych generałów, co od razu rzucało się w oczy. Nie wiedziałem, czy wcześniej coś przekazał Gierkowi. Za to stałem się świadkiem niezmiernie ciekawej rozmowy o współczesnej Polsce i relacjach polsko-radzieckich.

Gierek kilka razy mówił o powinności Polaków wobec ojczyzny, że powinno się jej dobrze służyć bez względu na to, gdzie się przebywa.

Chłonałem każde słowo tego okolicznościowego wykładu naszpikowanego niespodziewaną dawką patriotyzmu, a Popławski, jak się zdawało, niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Wtrącał coś o komunistach, internacjonalistach, wierności dla kolebki rewolucji.

A Gierek uparcie wracał do tematu. Że Polsce można dobrze służyć, mieszkając także w Moskwie, że Polak powinien zawsze dobrze wyrażać się o swoim narodzie, okazywać szacunek dla jego historii... Że powinnością

Polski jest wspieranie rozsiąanych po świecie rodaków, szczególnie tych mieszkających w bratnich krajach.

Jednym słowem wyraźnie akcentował Popławskiemu, że jest Polakiem, że z tego względu jest Polsce coś winien, że powinien wspierać ją na każdym kroku.

Byłem pod takim wrażeniem, że nawet nie zanotowałem żadnego słowa. Rozmowę odtworzyłem dopiero w pokoju 202.

Długo jeszcze potem zastanawiałem się, dlaczego Pierwszy nagle zapragnął mieć świadka tej rozmowy. Odpowiedź pewnie tkwiła w jej treści i także w informacji, jaką Popławski przekazał Gierkowi na samym początku spotkania.

Tę rozmowę dokładnie przypomniałem sobie kilka lat później, kiedy jako naczelny redaktor „Wieczoru” znalazłem się w 300-osobowej delegacji kombatantów, uczestników bitwy pod Lenino.

W Moskwie, w hotelu Belgrad, wydano przyjęcie z okazji 30. rocznicy bitwy. Gospodarzem spotkania był gen. Jerzy Bordziłowski, zruszczony Polak, choć w dużo mniejszym stopniu niż gen. Popławski. W połowie 1944 r. Bordziłowskiego, już jako generała-majora, skierowano do służby w Wojsku Polskim. Awansował w nim do szefa Sztabu Generalnego i wiceministra obrony narodowej. Gdy przeszedł na emeryturę, po roku odwołano go do ZSRR. Wiedziałem, że bardzo tego nie chciał. (...)

Byłem niezmiernie zdziwiony, że w Moskwie posadzono mnie właśnie przy Bordziłowskim. O przypadku raczej nie mogło być mowy, bo radziecy skrupulatnie przestrzegali reguł takiego rocznicowego biesiadnego protokołu.

Generał wiedział, kto przy nim usiadł. Pewnie ufał, że pamięta mnie z Warszawy. I tak od słowa do słowa, kieliszek po kieliszeczku, rozpoczęła się rozmowa o sprawach polskich. Zapytałem o gen. Popławskiego, opowiedziałem, w jakich okolicznościach go poznałem. Okazało się, że zmarł parę miesięcy wcześniej, że się często spotykali i sporo o Polsce rozmawiali.

– Gen. Popławski do końca żałował, że jako Polak tak mało dla Polski zrobił – powiedział i wzniosł za niego toast.

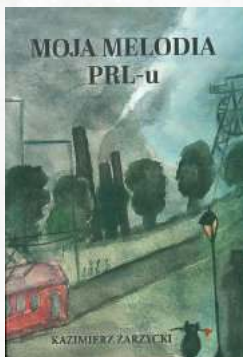
Jak bardzo jego słowa mogły być prawdą i cokolwiek miały znaczyć – miło mnie zaskoczyły. Usłyszałem bowiem nutę żalu, która wybrzmiała podczas pamiętnego spotkania u Gierka.

Bordziłowski westchnął: – Szkoda, że historia tak bardzo zamieszała w polskich losach.

Dalej było dużo wódki, wojennych wspomnień i historii ze służby w LWP. Natura obdarzyła mnie mocną głową i dobrą pamięcią – jeszcze tej samej nocy przepisałem całą rozmowę do notesu. (...)

To było już późne lato 1981 r. – trwał karnawał Solidarności. Wprosiłem się do Gierka z zamiarem namówienia go na dłuższą rozmowę dla telewizji o niedokończonych dekadzie. Gwarantowałem profesjonalny marketing, zainteresowanie nią mediami, mówiłem o powodzeniu książki.

Przy stole szerokie gremium – sam Gierek, pani Stanisława, synowe i siostry Ariadna i Tatiana, jeszcze krewna Wanda Tlatlik, siostrzenica. Czuło się ciężar towarzyskiej aury, która właściwie



Fragmety książki Kazimierza Zarzyckiego, *Moja melodia PRL-u*. Da capo al fine, Firma Dziennikarska Pol – Sil – Jan Dziadul, Katowice 2020.

Książka dostępna jest w Księgarni „Wolne Słowo” w Katowicach, ul. 3 Maja 31 i u wydawcy: j.dziadul@polityka.com.pl.

zupełnie siadła. Ja nie byłem miłym gościem. O, nie.

– Dlaczego nie broni pan Edwarda, pan, jego zaufany współpracownik, prawa ręką! – pani Stanisława nie kryła złości, zanim jeszcze usiadłem. Płakała i te łzy pełne żalu i rozgoryczenia płynęły po jej twarzy przez cały czas mojego pobytu w ich willi na Brynowie.

– Wszyscy go opuściliście, wszyscy, jak szcuchy. – Gierek próbował ją mitygować, ale gdzie tam, awantura domowa rozwijała się w najlepsze: – A mówiłam, żeby nie szedł do Warszawy, prosiłam, błagałam, przestrzegałam, że ciebie tam wykończą. Ale to wyście go pchały, wyście... – wyraźnie spojrzała na synową Ariadnę. – W imię czego dzisiaj nami tak poniewierają? W imię waszych karier...

Gierek w końcu zdolał jakoś uspokoić żonę, widać przeczuwał, że

szukowała się rodzinna pyskówka większego kalibru. Wywnioskowałem, że być może taki opór przeciwko przejściu do Warszawy był nie tylko wynikiem obaw przed reakcją Moskwy.

Gierek to było „rodzinne zwierzę” – nigdzie nie czuł się tak dobrze jak w domu i w otoczeniu najbliższych. Było jasne, że nowa funkcja oddaliła go od rodziny – być może nie tylko w sensie kilometrów. A co do tej rozmowy, to się nie kleiła. Może gdybyśmy mogli pogadać w cztery oczy, potoczyłaby się inaczej.

Rodzina Gierkowi przerywała, komentowała jego osady, poddawała pod dyskusję jego zdanie, oceny dalszych i bliższych współpracowników. Szczególnie Ariadna, żona Adama, starszego syna, znana już okulistka. Nie wiem, czy już w tym momencie chodziło jej po głowie rozstanie z synem Gierka, ale na pewno ta myśl była przez nią poważnie brana pod uwagę od czasu stanu wojennego, od momentu internowania teścia. Tatiana milczała. Ona chyba od początku źle się czuła w roli synowej, szczególnie że jej mąż był tym, który jeszcze w Katowicach przysparzał Gierkowi

najwięcej obyczajowych, a więc ojcowskich problemów.

Bez wątpienia Gierkowie przeżywali trudne chwile. On, zupełnie bezradny, wpadał w ton rezygnacji: – Co my teraz mamy robić, no co robić?

Być może w jakimś sensie było to pytanie zadawane przez mojego ojca w trudnych sytuacjach, wyrażane w ciut innej formie.

Co dalej? Gierek kierował je do mnie, próbując jednocześnie uspokajać chlipiącą żonę i przerwać nieustającą jazgot synowej. Scena nieomal filmowa.

Najbardziej żał mi było pani Stanisławy, którą zawsze lubiłem. Kiedy tylko ją poznałem, dostrzegłem w niej swojskie, bliskie mi skojarzenia wiejsko-rodzinne, w najlepszym tych słów znaczeniu. Czułem, że teraz, w tej najważniejszej dla niej sprawie, u wszystkich szuka pomocy. (...)

Jan Woleński – filozof aktywny

Nagroda Stowarzyszenia Kuźnica

Prof. Jan Woleński, filozof i prawnik, emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładowca w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego, został uhonorowany nagrodą Kowadła przez krakowskie Stowarzyszenie Kuźnica.

Już samo nazewnictwo tematów naukowych, którymi zajmuje się prof. Woleński, może prowadzić do przekonania, że interesuje się on problemami bardzo teoretycznymi i metafizycznymi – stosowanie logiki do rozwiązywania zagadnień filozoficznych, problematyka prawdy, filozofia języka, logika filozoficzna, etyka, metaetyka, ontologia i filozofia prawa. Tymczasem, jak to podkreślano w czasie uroczystości w Kuźnicy, prof. Woleński, choć szybuje gdzieś w swoich kosmicznych analizach, równocześnie twardo stąpa po ziemi, czyta gazety, ogląda telewizję i zabiera głos w ważnych sprawach.

Prezes Stowarzyszenia Kuźnica dr Paweł Sękowski stwierdził, że Kowadło to wyraz uznania nie tylko za działalność naukową prof. Woleńskiego, ale przede wszystkim za jego aktywne uczestnictwo w debacie publicznej i życiu społecznym, za przeciwstawianie się nienawiści i ksenofobii.

Natomiast w laudacji na cześć laureata prof. Jan Widacki podkreślił, że prof. Woleński nie tylko ma zdecydowane poglądy polityczne i filozoficzne, ale też aktywnie angażuje się w momentach najważniejszych dla kraju, gdy zagrożona jest praworządność, gdy króluje głupota. Dlatego Woleńskiego nie lubią różni bigoci, zakłamanicy, dogmatycy, czyli cały polski ciemnogród.

Dziękując za wyróżnienie, prof. Woleński mówił, że robi, co może, aby Polska była państwem prawa. Przestrzegał przed myleniem go z „państwem praworządnym”, bo to nie to samo. Rządy totalitarne sa-



me tworzą prawo i wprowadzają je w życie. Na procesie w Norymberdze hitlerowscy zbrodniarze twierdzili, że postępowali zgodnie z niemieckim prawem. U nas też dzisiaj prawo tworzą przypadkowi ludzie – kilku laureat wymienił z nazwiska – dla których nawet autorytet kilkudziesięciu profesorów nie ma żadnego znaczenia.

Prof. Jan Woleński również na łamach PRZEGLĄDU zabierał głos w ważnych kwestiach. Przypomnę wywiad „Pełzająca klerykalizacja Polski” (nr 39/2014), po którym kilkudziesięciu naukowców skierowało apel do władz Rzeczypospolitej Polskiej, pisząc o uległości rządu i parlamentu wobec roszczeń Kościoła katolickiego i przekonując, że obecność symboli religijnych w miejscach publicznych nie jest wymagana przez religię. W tym samym 2014 r. prof. Woleński pisał w PRZEGLĄDZIE o „Deklaracji wiary lekarzy katolickich i studentów medycyny w przedmiocie płciowości i płodności ludzkiej” proklamowanej w Częstochowie. Argumentował, że lekarze mają obowiązek przestrzegania istniejącego porządku prawnego, także w zakresie dotyczącym organizacji ich zawodu. Żaden akt prawny obowiązujący w Polsce nie upoważnia lekarzy do uznawania prawa boskiego za ważniejsze od prawa ludzkiego.

Redakcja PRZEGLĄDU gratuluje wyróżnienia.

Wiesław Żótkowski

Leszek Konarski

LIST

✉ Starzejemy się

Różne pokolenia odmiennie postrzegają wydarzenia i konflikty polityczne. Zrozumiałem to, gdy obserwowałem pełne emocji dyskusje polityczne na temat zakłócenia udziału prezydenta w obchodach rocznicowych w Pucku. Obie strony sporu przerywały się pretensjami o to, czy bardziej krytykowany i obrażany był kiedyś prezydent Komorowski, czy teraz prezydent Duda. Każda ze stron akcje organizowane przez drugą określa jako chamskie. Słucham i chciałbym wystąpić w obronie Jarosława Kaczyńskiego. Przecież to on dzierży palmę pierwszeństwa w organizacji tego rodzaju happeningów.

W 1993 r. razem z Adamem Glapińskim, obecnym prezesem NBP, stali na czele manifestacji, która pod Sejmem paliła kukłę ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy. Był to czyn szczerzej nienawiści, żadna hipokryzja. Okazuje się, że taka postawa często bywa skuteczna. Czytając dzienniki Marii Dąbrowskiej, w zapisach z 1947 r. znalazłem jej opinię o UNESCO: „Słabość tej organizacji wynika m.in. stąd, że jej działalność jest wyłącznie pozytywna. UNESCO nie działa przeciw komuś czy czemuś. Nie posiada zastrzyku nienawiści, będącego dziś jedyną rzeczą, jaka nadaje sprawom i rzeczom charakter pasjonujący”. Jednak czasy trochę się zmieniają. Czy trudno sobie dzisiaj wyobrazić siłę reakcji wszystkich służb mundurowych, specjalnych i tajnych, gdyby spalono kukłę obecnego prezydenta?

Minęły dawne, dobre czasy. Jednak żal, że tak łatwo zapomina się o przeszłości i odbiera się chwałę pierwszeństwa zasłużonym ludziom mojego, starszego pokolenia. Pierwszy w brutalnym atakowaniu prezydenta był Jarosław Kaczyński i tego honoru nie można mu odebrać.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Parada kreatur

Pachnie wiosną, niepokoi ten zapach w lutym, to jakby w lipcu poproszył śnieg. Luksusowy hotel, jakby nigdzie, gdzieś między Gnieznem a Bydgoszczą. Był tu jeszcze kilka lat temu dramatycznie zrujnowany pałacyk wśród dzikich pól. Stary pałac, pałac nowy i oficyna urządzone luksusowo, ze smakiem – przeszklona jadalnia, basen z widokiem na jezioro. Ładna twarz wśród gąb okolicznych wsi, nawet nie zaniedbanych, po prostu szarych i szpetnych. Czasami tylko jakiś nowy dom aż krzyczy, że jest nowy i estetycznie zaprojektowany. Od ruchowo myślę, że w tych brzydkich domach mieszkają brzydcy ludzie, którzy będą głosować na brzydkiego Duda. Nieładnie tak myśleć.

Moje dzieci spacerują po pałacowych ogrodach z trzema alpakami: czarną, białą i rudą. Górskie zwierzęta, niewiele mniejsze od lamy, to jakby skrzyżowanie lamy, wielbłąda i owcy. Mają pocziwe i serdeczne mordki, wyglądają jak duże zabawki przytulanki. Z ich bujnej sierści robi się swetry. To pierwotni mieszkańcy górskich terenów Ameryki Południowej. Alpaki stają się modne w Polsce, jest już podobno 150 hodowli. Tu opiekuje się nimi młody człowiek z pobliskiej wsi. Mówię, że moda na alpaki w Polsce to znak, że kraj się bogaci. Zdenerwował się i zaczął narzekać, że ceny wszystkiego rosną lawinowo, naród biednieje. Jeśli to zaczyna już boleć lud polski, to Duda nie wygra wyborów.

Opiekun alpak ma szczęście, że dostał tu pracę. Z zawodu jest rzeźnikiem. Pomaga w kuchni przy mięsie, pozostały czas spędza ze zwierzętami. Uczy się ich psychiki, a są subtelne i znerwicowane. Wkrótce jedzie na dwutygodniowy kurs do Lublina, będzie się szkolił w alpakoterapii. Zwierzęta mają wiele empatii wobec niepełnosprawnych dzieci.

Zwiedzanie gnieźnieńskiej katedry. Moi synkowie bez entuzjazmu, starszy mówi, że wcale go nie interesuje historia, interesuje go tylko, co jest i co będzie. Rozumienie i czucie przeszłości wymaga pewnego rodzaju wyobraźni. Im krótszą ma się własną przeszłość, tym trudniej poruszać się po wiekach i tysiącletniach. Słynne drzwi katedry odlane z brązu, religijny komiks – wzrusza mnie ta opowieść i historia Polski zastygła w metalu. Potem do słynnego Biskupina.

Kilka dni bez telewizji, bez wyziewów polityki. Jaka ulga.

Ukazała się moja nowa powieść. Powinienem się cieszyć, ale czuję raczej niepokój, czy zasługuje na istnienie. I od razu piszę coś nowego, bo zrobiło się pusto, co za męka, zupełnie mi to nie idzie. I od razu poczucie bezwartościowości. Nie jestem na tyle zarozumiały, by się pocieszać wielkim Flaubertem, ale odnotowuję jego skargę: „Ależ się męczę! Pisanie jest doprawdy jakąś brutalną rozkoszą, skoro kosztem innych przyjemności godzimy się na taką torturę”. Te słowa są w niedawno wydanych listach Flauberta do kochanki, Luizy Colet. W tym czasie pisarz tworzył „Panią Bovary”, widzimy kuchnię, w której powstawała ta genialna powieść.

Lubię, gdy Flaubert nagle otwiera okno, w którym widać ówczesny świat: „Deszcz pada, barki za oknami mają czerwone żagle, przechodzą wieśniaczki z parasolami, rybacy pokrzykując, a ja się nudzę”. Bywa dosadny: „Czy zastanawiałaś się czasami nad dominacją Kutasa w życiu paryskim? (...) Rzygam od ciągłego mieszania rozporka z sercem. Nabieram chęci, żeby na za-

wsze cisnąć w kąt literaturę, nic nie robić, pojechać żyć z tobą i w tobie, złożyć głowę między twoimi piersiami, zamiast onanizować się nią nieustannie, by trysnęły z niej zdania”.

Rola Kutasa w polskiej polityce. Kariera palca postanki Joanny Lichockiej jest doprawdy imponująca. Jak zwykle w takim wydarzeniu ważne jest tło, to obóz zagłady raka. W tym roku w Polsce znowu zostanie zgłodzonych 150 tys. ludzi. Prezes jest geniuszem zła, ale ma kiepski materiał ludzki. Na tym też polegała straszna klęska komunizmu, idea była piękna, tylko ci ludzie... Znanie jest powiedzenie Piłsudskiego o Polakach: „Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy”. Z szeroko otwartymi oczami obserwuję tę paradę kreatur, maszeruje przez Polskę pod sztandarem PiS. Giedroyc po 1989 r., gdy jeszcze było daleko do obecnej paranoi, pytany, czy dalej jest niespokojny o przyszłość Polski, odparł: „Patrzę na przyszłość Polski z niesłychanym pesymizmem. Bardzo się boję, czy Polska utrzyma swoją niepodległość. To jest społeczeństwo zdziczałe. Dzisiaj jedyną szansą jest młode pokolenie, na swój sposób interesujące, ale zajmujące się wyłącznie własnymi sprawami”.

Wiesław Kot

Tak go zapamiętamy: szczere, jasne, otwarte wejście, szeroka, okrągła twarz. Zawsze pogodna. Oczy zwięzające się w szparki w odruchowym uśmiechu. Włosy sprężynki, puszczone samopas – jak to u natur swobodnych. Lekka chrypka zdradzająca męczyznę po przejściach. Ruchy zwolnione, zawsze opóźnione o te dwie sekundy – jak u kogoś, kto doskonale wie, że już nic nie musi. Zrobił, co do niego należało. Teraz niech się martwią wyższe instancje: los, natura, może Pan Bóg?

Problemy zdrowotne swojego ulubieńca publiczność śledziła bez skrępowania, bo one były w pakiecie. Że mianowicie w 2015 r. ugryzł go kleszcz, wdała się infekcja, pogorszyły się samopoczucie i wzrok, zalecono kompleksowe badania. Ujawniły tętniaka mózgu i konieczna była operacja. Pomyślna, ale znów wdała się infekcja i przetrzymała go w szpitalu, do którego niestety wracał teraz regularnie. Ostatnio zatrzymano go tam na dłużej w Boże Narodzenie zeszłego roku i od tamtej pory do opinii publicznej zaczęły przeciekać wieści złe, a z czasem coraz gorsze.

Wiadomo, że jest taki...

W domu rodzinnym w Zduńskiej Woli od zawsze było mnóstwo książek i Paweł dość wcześnie uzależnił się od światów wykreowanych. I już wiedział: praca przy taśmie i odbijanie karty pracowniczej o szóstej rano absolutnie nie wchodzi w grę. Czyli studia aktorskie we Wrocławiu. Filmowi Królikowski przydał się w tych niespokojnych latach 80., kiedy rodzime młode kino próbowało powiedzieć coś ważnego o Polsce, penetrując margines społeczny. Hardy, niesformatowany, aspołeczny – świetnie wypadł w rolach rozmaitych nadwiślańskich *desperados*. Raz drobny awanturник w „Dniu kolibra” (1984), raz narkoman jak w filmie „Pantarej” (1987). Kiedy przegląda się te stare kadry, ma się wrażenie, że debiutant – ciągle student aktorstwa – gra bez napinki, stara się, ale aż tak bardzo to mu znowu nie zależy. Raczej wypełnia sobą wyznaczony fragment planu, najczęściej zresztą drugiego, a nawet trzeciego.

PAWEŁ KRÓLIKOWSKI 1961-2020

Miejscowy

„Kusy” został kupiony przez publiczność bezwarunkowo i na zawsze

A jest to obecność łatwa, nieinwazyjna, pozwalająca się zapamiętać. Co znaczyło tyle, że jego twarz zaczęła brzmieć znajomo, a sam Królikowski zakumplował się z kamerą.

Przydało się, choć nie od razu. Najpierw „śpiewał, tańczył i recytował” w „Truskawkowym studiu” dla podrośniętych dzieciaków w Dwójce. To była jak na początek lat 90. całkiem śmiała próba przełancowania na polski grunt zachodnich młodzieżowych programów. Jeszcze nie „Rower Błażeja”, ale już całkiem blisko. A sam Królikowski? Trochę *amigo* spod trzepaka, trochę brat łąta, trochę mentor, choć bez przytruwania. Trwało to 13 lat i Królikowski po prostu w telewizji się osadził. Przykładowo napisał tak ze sto tekstów

nej znakomitości z zakresu onkologii. A on wykonywał tego profesora, jakby od lat nic innego nie robił. Bo umiał pokazać na wrywki naukową powagę i profesorską kompetencję. Ale jednocześnie empatię i wewnętrzne ciepło lekarza, który jak nikt inny rozumie, że nawet najbardziej zaawansowana medycyna działa tylko do pewnych granic – potem pozostaje już tylko współczucie.

Otóż to! Właśnie tej przysiadłości, tej ciepłej, rozumiejącej współobecności w doli i niedoli widownia telewizyjna życzyła sobie od Królikowskiego z roku na rok coraz wyraźniej. Został więc obsadzony przez telewizyjną Jedynekę w roku 2006 w roli Jakuba „Kusego” Sokołowskiego w serialu „Ranczo”. Wszedł w rolę jak

Obsadzony w 2006 r. w roli Jakuba „Kusego” Sokołowskiego w „Ranczu” wszedł w rolę jak obrazek w ramkę.

do piosenek, które leciały z ekranu w jego programie. Szło mu tak łatwo, że aż się przestraszył. W każdym razie wiadomo było, że ktoś taki jest i widownia reaguje na niego pozytywnie. Polsat zaczął go więc – gotowego, tak jak stał – angażować do kolejnych seriali: „Przyjaciółki”, „Hotel 52”, „Szpilki na Giewoncie”, „To nie koniec świata”.

„Kusy” wchodzi na obroty

Żył się i grało się, bo dookoła po prostu było aktorsko. Aktorem był brat Rafał, aktorką była żona, Małgorzata Ostrowska-Królikowska (dochowali się piątki dzieci), aktorem został syn Antoni, który tymczasem stał się jedną z bardziej wyrazistych twarzy młodego pokolenia.

Na wysokie obroty Królikowski wszedł w roku 2005, kiedy telewizyjna Dwójka zaprosiła go do serialu „Na dobre i na złe”, do roli medycz-

obrazek w ramkę. A sam serial z ciekawostki typu obyczajówka z Podlasia szybko awansował na całkiem chwytliwą wizualizację Polski B, która właśnie wstaje z kolan. To ogólnonarodowe kochanie miało się zakończyć po czterech sezonach, ale – mimo wyczerpywania się pomysłów – rzecz dociągnięto do sezonu dziesiątego. Mało tego! Na fali oszałamiającej popularności serialu do „Rancza” dokrecono w roku 2014 *spin-off*, czyli serial odnógę, serial dygresję, pod tytułem „Ławeczka w Unii”. O tym jak to ściana wschodnia jest – nie bez oporów, ale konsekwentnie – zasysana przez Unię Europejską. Z wzajemnością. Cóż, gdyby ktoś się pokusił dzisiaj kręcić serial na podobny temat, musiałby pewnie napisać całkiem nowy i odmienny scenariusz...

W każdym razie serialowe Wilkowyje nieopodał Radzyna Podlaskiego na kilka lat stały się stolicą Polski. A ławeczka pod wiejskim



„Kusy” był jak cała nasza ojczyzna: po przejściach, ledwo odratowany i cudem przyjęty na fono społeczności. Nz. z serialową żoną – Lucy (Ilona Ostrowska).

sklepem w Jeruzalu (powiat Mińsk Mazowiecki), z której miejscowy chór grecki komentował na bieżąco obroty spraw europejskich, polskich i całkiem lokalnych – ogólnopolską trybuną, mównicą, maglem, kawiarnią, amboną i konfesjonalem. Nowych odcinków serialu telewizja nie produkuje już od czterech lat, a w Jeruzalu do strzelenia sobie fotki na ławeczce przed sklepem dzień w dzień ustawia się kolejka przyjezdnych. Jest ich ciągle nie mniej niż milion rocznie (bywało, że odcinki „Rancza” śledziło po 7 mln widzów).

Wilkowyje – duchowa stolica Polski

Grono miejscowych pijaczków obserwowało świat na nieustającym wspomaganium lokalnym winem Mamrot, jednocześnie na tej sklepowej ławeczce miało za plecami flagę Unii Europejskiej. Nawiasem mówiąc, dwukrotnie już przywiozłem z Jeruzala po pół bagażnika samochodowego wina tej marki, ponieważ w kręgach dziennikarskich i artystycznych Poznania nie ma tak markowej whisky, by miała większe wzięcie niż wilkowyjskie wino.

W ten pejzaż mentalny „Kusy”, któremu Paweł Królikowski dał wszystko,

co miał najlepszego, wpasował się idealnie. Bo to z jednej strony przybysz z szerokiego świata: był, widział, wie. W dodatku artysta z talentem i ambicjami. Owszem, jeżeli trzeba zarobić na chleb, to się ugnie i będzie pacykował „diabły dla turystów”, ale gdy tylko starcza mu na prąd i gaz, zaraz wraca do sztuki wysokiej. Conceptualnej, że nie przystęp. Z drugiej jednak strony „Kusy” to przecież zwy-

„Występujemy w serialu, który przynosi widzom radość”, powtarzał w wywiadach.

kły łach, po śmierci pierwszej żony zmenelił się zupełnie. Pił tak gruntownie, że popadł w „betoniarkę”. Wydawało się, że jest stracony ze szczętem. I wtedy nastąpiło to, co zawsze przyspiesza tętno damskiej widowni seriali: zjawiła się ONA. Na poły matka, na poły kochanka, w każdym razie Anioł Nadziei, który tego życiowego topielca uparcie wyciąga za włosy z odmętów nałogu. No i do rangi metafory urasta fakt, że owa wybielka pochodzi z Ameryki! I teraz ów „Kusy” wprawdzie chrypi, bo gardło wytrawione wodą i papierochami, wprawdzie utyka, bo nie wiadomo, co tam po pijaku zaszło, wprawdzie od czasu do czasu się zawiesi i nie

pamięta, jaki dziś dzień tygodnia, ale przecież są portki w domu! Tak, ten „Kusy” był jak cała nasza kochana ojczyzna: po przejściach, ledwo odratowany i cudem przyjęty na fono społeczności (Unia!), u początków długiej rehabilitacji. „Występujemy w serialu, który przynosi widzom radość”, powtarzał Królikowski w wywiadach.

I teraz to już telewizja orała nim dzień w dzień, a Królikowski doświadczał, jak twarda to orka – codzienne serialowe aktorstwo, jurorowanie i medialna obsługa własnego sukcesu. Gdy przed dwoma laty obejmował prezesurę Związku Artystów Scen Polskich, twardo obstawał przy tym, by aktorzy tam zrzeszeni dawali widowni sprawdzony, markowy towar. Ale też – dodawał na jednym oddechu – by byli opłacani jak każdy wysokiej klasy fachowiec. Stawiał się jak hollywoodzki agent: honoraria do aktorów mają wpływać na czas i bez łaski. A związek zawodowy jest od tego, by je egzekwować od producentów, a nie po to, by kolegom opłacanym nisko albo wcale wcale wypłacać zapomogi. Królikowski stwierdzał jasno: „Chcę uniknąć skrajzeń, iż to jest rodzina z prowincji, której się zawałiła chałupa i trzeba ją wspierać...”.

Obstawał, że to bardzo ważne, bo na własnej skórze doświadczył, że wzięty aktor przez większość życia uprawia maraton. Rano próba w teatrze, w południe, gdy światło jest najlepsze, kilka ujęć do serialu,

wieczorem przedstawienie, w nocy nagrywanie słuchowiska. I gdy taki się zgra i znudzi publiczności po paru latach harówki, budzi się z tego amoku potwornie zmęczony, zgorzkniały i sam. A Paweł Królikowski wcale nie planował się przebudzić. No, przynajmniej jeszcze nie w tym roku. Powtarzał: „Kiedyś Skaldowie śpiewali, że nie o to chodzi, by złowiąć króliczka, ale by gonić go... Skaldowie wiedzieli, o czym śpiewają. Oczywiście trzeba osiągać cele, ale tylko po to, aby stały się przyczynkiem do kolejnych rzeczy i działań”.

Tyle że „Kusy” właśnie dogonił swojego króliczka. Szkoda...

Nie boję się żadnego tematu

Dziś wszyscy mówimy językiem mediów. Nasz sposób myślenia kształtują radio, telewizja, a szczególnie internet

Rozmawia Rafał Piłkuła

Za debiutancki zbiór opowiadań „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina” zdobyłaś Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza, a za debiutancki dramat „Feinweinblein” Gdyńską Nagrodę Dramatyczną. Do tego za oba teksty miałaś nominacje do Paszportów „Polityki”. Dwa mocne wejścia. Który gatunek jest ci bliższy?

– Zdecydowałam się na dramat, ponieważ po publikacji opowiadań byłam przekonana, że nie jestem w stanie napisać już nic oryginalnego. Bałam się, że będę tworzyła podobne opowiadania, pisane podobnym językiem, w podobnym tonie, że nie wysię się na nic oryginalnego. Wtedy znajoma zasugerowała mi, że powinnam spróbować napisać coś do teatru, bo przecież moje opowiadania są takie dialogowe. Nie planowałam teatru, ale tak wyszło.

Jesteś zaliczana do pokolenia młodych twórców, ale w przeciwieństwie do wielu autorów nie wpisujesz się w nurt tworzenia realistycznych portretów współczesności, świata stoików, pracowników korporacji i agencji reklamowych. Budujesz własne światy i narracje. Bawisz się językiem, pozwalasz sobie na absurd.

– Nie wiem, czy zostałamby przy przymiotniku młody. Może bardziej chodzi o nowych twórców. Po słynnym debiucie Małowskiej była tendencja do jak najmłodszych debiutów, ale w ostatnich latach na rynku pojawiły się świetne debiuty pisarzy, którzy proponują nowe spojrzenie na rzeczywistość – takich jak Waldeemar Bawołek czy Michał Cichy. Co do języka i światów, to mnie zawsze interesowały narracje spoza głównego nurtu. Poza tym jestem z małej miejscowości – świat dużych miast jest dla mnie sztuczny, dekoracyjny; małe, lokalne społeczności bardziej działają na moją wyobraźnię. To tam

WERONIKA MUREK

– autorka opowiadań i dramatopisarka, dwukrotnie nominowana do Paszportu „Polityki”

można wciąż spotkać języki różne od tych oficjalnych, nieukształtowane przez media.

W „Feinweinblein” mieszasz te języki. Jest gwara śląska, ale też radiowa nowomowa. W rzeczywistości powstaje zlepek słów, który niczego nie komunikuje.

– Radio jest dla bohaterów ostateczną instancją, są na nie skazani. Z drugiej strony jest ono też nadzieją, że istnieje jakiś świat, coś innego niż ten jeden pokój, który wszyscy znają. To radio integruje tę małą społeczność, łączy ją, ale też narzuca rozumienie świata. Akcja dramatu „Feinweinblein” dzieje się tuż po II wojnie światowej, gdy propagandę nazistowską zastępuje radziecka. Chciałam pokazać proces mieszania się języków radiowej propagandy i małej, lokalnej społeczności. W tamtych czasach te dwa języki istniały obok siebie, niekiedy się przenikały, ale można było łatwo je odróżnić. Dziś wszyscy mówimy językiem mediów. Nasz sposób myślenia kształtują radio, telewizja,

a szczególnie internet. Trudno rozróżnić, co jest naszym językiem, a co tylko powtórzeniem medialnej papki. **Skąd się wziął pomysł na historię opowiedzianą w „Feinweinblein”, w której ludzie oddają chore psychicznie dzieci w zamian za radio?**

– To prawdziwa historia. W III Rzeszy kuszono ludzi, by oddali swoje chore psychicznie i niepełnosprawne dzieci, a w zamian dostaną radio, książkę albo 5 marek. Nazwisko Knauer to prawdziwe nazwisko rolnika, który oddał dziecko za odbiornik radiowy. Takich przypadków było dużo więcej.

W dramacie „Wujaszki” podważasz stereotyp narodowej gościnności i otwartości, wyśmiewasz narodowe mity. Boli cię polskość?

– „Wujaszki” napisałam na zamówienie teatru. Dwa lata temu w związku ze stuleciem niepodległości sporo instytucji postanowiło się zająć tym tematem. Ruszyła maszyna do produkowania wypowiedzi na zadany temat. Znajoma zaproponowała mi współpracę przy pisaniu

takiego dramatu, ale ostatecznie nie powstało nic, co mogłoby się spodobać ministrowi Glińskiemu. Zostałyśmy wywalone z jednego z teatrów, ponieważ „liczono na sztukę o dziewczynce pod kroplówką, a wyszedł Piłsudski”. Absurd. Wiedziałam już, że nie powstanie z tego sztuka teatralna, ale postanowiłam dać „Wujaszkom” jeszcze jedno życie i rozhulać ich. Jeszcze bardziej chciałam się pobawić mitami i fantazmatami narodowymi, w sposób dosyć krytyczny opowiedzieć o narodowej pamięci.

Nie dostałybyście na to dotacji z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

– No raczej nie. Mnie cały czas interesuje to, jak wyobraźnia działa na pamięć, jak nasze myślenie i fantazje kształtują postrzeganie historii. W „Wujaszkach” chciałam pokazać, jak łatwo przerzucamy się liczmanami, kliszami, frazesami, jak zagadujemy się słowami kluczami, które tak naprawdę nic nie znaczą. W dużej mierze nasze myślenie o historii to zbiór takich utartych schematów i słów bez znaczenia. Jeśliby się zastanowić, to wiele obrazów i opowieści o odzyskaniu niepodległości to nic innego jak takie fantazmaty.

Lubimy ubierać historię w mity, teatralizować ją. Weźmy niedawny przykład. Opozycja i rząd prześcigały się w inscenizacjach setnej rocznicy zaślubin Polski z morzem. Sam gest zaślubin jest mocno teatralny, a tu jeszcze te przebieranki za Hallera.

– Gdy tak się zastanawiam nad twoim pytaniem, czy boli mnie polskość, to wydaje mi się, że na pewno nie mam do niej obojętnego stosunku. Ciekawi mnie Polska, ciekawi mnie to, co nas, Polaków, łączy, a co dzieli, jak i czym myślimy w Polsce. **Okazuje się, że wbrew nadziejom wielu nie myślimy Janem Pawłem II. Nic z pokolenia JP II nie wyszło. Ten mit upadł.**

– Pytanie, czy eksperyment z pokoleniem JP II mógł się udać. O ile jestem w stanie wyobrazić sobie pokolenie piłsudczyków czy pokolenie Kolumbów – bo tych ludzi łączyły wspólne doświadczenie, wspólne, realne przeżycia – o tyle z pokoleniem Jana Pawła II mam problem. Wydaje mi się, że to pokolenie zostało sztucznie wykreowane przez

media, poprzez spektakl telewizyjny. Nagle coś czy ktoś, kto miał być wieczny – bo przecież żadne z nas nie znało czasów sprzed Jana Pawła II – umiera, ale my nie doświadczamy tej śmierci, my ją tylko oglądamy, przyjmujemy naskórkowo w postaci obrazków i dźwięków. Zastanawia mnie, dlaczego nikt nie próbował stworzyć pokolenia 10 kwietnia.

Świat dużych miast jest dla mnie sztuczny, dekoracyjny; małe, lokalne społeczności bardziej działają na wyobraźnię.

Może dlatego, że tragedię smoleńską zawłaszczyła jedna partia, z żałoby uczyniono pseudoreligię, poza tym nikt nie sprzedawał kubków z tupolewem ani ulubionych ciastek Lecha Kaczyńskiego?

– No tak, a Jan Paweł II został ostatnią maskotką. Wydaje mi się, że ten absurdalny, cukierkowy kult Jana Pawła II to kwestia ostatnich lat. W końcu nadmiar narracji o papieżu pękł i wszystko się odjanepawliło! Myślę, że chociaż oba „spektakle” – Jan Paweł II i Smoleńsk – są fundamentalne dla Polski, to są różne i niosą inną wrażliwość.

Czy to dobre tematy na dramat o współczesnej Polsce, o tym, czym myślimy dziś nad Wisłą? Nie bałabyś się ich podjąć?

– Nie boję się żadnego tematu, ale bałabym się jego wykonania. Nie wiem, czy udałoby się znaleźć uczciwą formę do opowiedzenia o tych sprawach. Mówiąc o uczciwej formie, mam na myśli nie poprawność polityczną, ale to, że chciałabym powiedzieć coś więcej niż to, co wiemy teraz, chciałabym wyjść poza utartą publicystykę i memy. Myślę, że dobrym tematem jest też mit założycielski III RP. Dla ludzi z naszego pokolenia to czas zarazem bliski, bo wtedy się rodziliśmy, ale i na tyle daleki, że nie możemy nic z tego pamiętać. Musiałabym jednak znaleźć sposób, by ta opowieść niosła jakieś nowe znaczenie.

Mówiąc o formie, wspomnijmy głośną „Kłótnię” z Teatru Powszechnego. W tym spektaklu próbowano zmierzyć się z mitem Jana Pawła II, ale wyszedł skandal.

– „Kłótnia” była włożeniem kija w mrowisko, odpaleniem lontu i cała energia – ta negatywna i ta pozytywna – którą wyzwolił spektakl, była

czymś niesamowitym. Co do kontrowersyjnej sceny z Janem Pawłem II, gdyby mi ktoś ją opowiedział, tak jak tutaj siedzimy, bez wizyty w teatrze, powiedziałabym, że to szczeniackie, niepotrzebne, przerost formy nad treścią. Jednak gdy widziałam ją na scenie, w szerszym kontekście, z wyznaniem aktorów, to wiem, że jest słusznym środkiem wyrazu.

Subtelniejsze podejście do tematu niestety nie miałoby sensu.

Subtelność nie jest drogą do burzenia mitów i walki z patologiami.

– Musimy zrozumieć, że czym innym jest Jan Paweł II jako postać, papież, a czym innym jako głowa Kościoła. Czym innym jest opowiadać o papieżu, a czym innym o Kościele, którego był częścią. Chociaż jestem ateistką, jak większość Polaków mam wgrane katolickie narracje i to całe imaginarium. Mój sposób myślenia jest w pewnej części ukształtowany przez Kościół. Językiem Kościoła mówi i myśli Polska, dlatego nie powinniśmy się bać tego języka. Bez tego nie rozumiemy siebie jako Polaków. ■

**1% podatku
dla fundacji Glogerianum
wspierającej uzdolnione dzieci
z niezamożnych rodzin.**



KRS 0000239949

Łomża, al. Piłsudskiego 83
Alior Bank S.A. Oddział w Łomży
46 2490 0005 4500 7321 4083
www.glogerianum.pl



KURTYNA W GÓRĘ

WĘDRÓWKA, CZYLI KOŁOWRÓT

Reżyser przeznaczył to medytacją, bo z dramaturgią najwyraźniej miał kłopoty. Sięgając po tekst z najwyższej półki klasyki europejskiej, „Boską komedię” Dantego, próbował pokazać, jak świat współczesny udaremnia wędrówkę Poety przez Piekło i Czyściec do Nieba. Obraz świata okazał się dostatecznie piekielny. Ale te dalekie echa wzniosłego spektaklu Józefa Szajny piekielnie nużyły.

Poezja z tego przedstawienia wyparowała, pozostała sekwencja obrazów powracających w monotonnym kołowym. Trudno tu mówić o rolach – poza Poetą, Wergilim i Beatrycze (Sandra Korzeniak) reszta została potraktowana jak animatorzy masek i rozmaitych konstrukcji-kostiumów, bezosobowi i mechaniczni, a dla widzów nierozpoznawalni. Niektórzy są operatorami awatarów, sprowadzonymi do roli techników. Występy młodego rapera (Bartuś 419) sprawiały wrażenie dolepionych na siłę komentarzy. Najważniejsza bowiem dla efektu była aparatura Virtual Reality i nieskrywana fascynacja nowymi technologiami, które – kto wie – może kiedyś będą żyć



w symbiozie z teatrem. Na razie budzą jednak nieufność jak obce ciała. Może Krzysztof Garbaczewski jest natchnionym pionierem, a może szarlatanem.

Pokaz przeznaczony jest zatem dla miłośników instalacji, VR i nowego teatru. Garbaczewski próbuje połączyć poetykę VR, SF i klasykę literacką. Z tego nieprzyzającego tworzywa, w którym słowo Dantego to zaledwie pretekst, powstaje powtarzająca się sekwencja obrazów ilustrujących nadzieję na lepszy świat – Piekło, Czyściec i nawet Raj okazują się miejscami, gdzie trzeba „porzucić wszelką nadzieję”. Awatary nie znajdują szczęścia, podobnie wędrówka Poety po stopniach szkieletu góry-miasta z instalacji Aleksandry Wasilkowskiej i Garbaczewskiego „Aporia” musi się skończyć kapitulacją. Świat wirtualny to kolejna pułapka, jaką człowiek zastawił na samego siebie. Może właśnie bezdroże.

Tomasz Miłkowski

„Boska komedia” na podstawie poematu Dantego Alighieri, reżyseria i scenariusz Krzysztof Garbaczewski, Teatr Powszechny, premiera 8 lutego 2020

PREZYDENT DRAMATURG

Szczęście mieli Czesi, bo ich prezydent był prawdziwym intelektualistą, uzdolnionym autorem, człowiekiem wielu przymiotów. A jaki był na co dzień? Możemy o tym się przekonać w teatrze, gdzie wystawiono trzy jednoaktówki Václava Havla: „Audiencja”, „Wernisaż” i „Protest”, o wyraźnie autobiograficznym charakterze. Bohater tych na wpół żartobliwych scenek jest dosyć małowimowy, bardzo grzeczny, uczciwy, ale w sprawach zasadniczych odważny i niezłomny. Czeski humor sprawia, że śmiejemy się z jego perypetii, ale również podziwiamy zarówno autora-polityka, jak i aktorów, którzy np. na scenie muszą wypić ogromne ilości czeskiego piwa.

Bronisław Tumitowicz

Václav Havel, „Protest”, tłumaczenie Andrzej S. Jagodziński, reżyseria Aldona Figura, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Scena im. H. Mikołajskiej, premiera 15 lutego 2020



ZASŁUCHAJ SIĘ



Bartosz Głowacki

Genesis DUX

Skąd się wywodzi muzyka? – zdaje się pytać Bartosz Głowacki, wspinał się akordeonista. Jego płyta stanowi odpowiedź. Muzyka, w tym wypadku współczesna, wywodzi się z baroku, bo na początku

śluchamy nagrań utworów dwóch mistrzów tej epoki: Domenica Scarlattiego i Jeana-Philippe’a Rameau. Zapominamy, że po baroku był klasycyzm, a po nim romantyzm, i wkraczamy we współczesność. Tutaj są m.in. Arvo Pärt, kompozytor zanurzony w baroku, i Sofija Gubajdulina – mu-

zyczna mistyczka. Ale największe pozycje na płycie to kompozycje cykliczne Victora Vlasowa inspirowane dziełem Sołżenicyna i tanga Astora Piazzolli, w których akordeonowi towarzyszą świetny gitarzysta jazzowy oraz orkiestra kameralna.

Bronisław Tumitowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

NA EKRANACH



Andrej Bán
Słoń na Zemplinie.
Opowieści ze Słowacji

tłum. Miłosz Waligórski

Książkowe Klimaty, Wrocław 2019

Trudno o bardziej utalentowanego słowackiego reportera niż Andrej Bán i lepszego tłumacza młodego pokolenia niż utytułowany Miłosz Waligórski. Trudno też o książkę, która lepiej przybliży meandry słowackiej tożsamości i pomoże zrozumieć wynik wyborów parlamentarnych u naszych południowych sąsiadów.

Andrej Bán w „Słoniu na Zemplinie” zamieścił historie zbierane przez ponad 30 lat pracy reporterskiej. To „zapis wędrówki, swoiste *road movie*, relacja z podróży przez kraj ze wschodu na zachód”. Wydawca zapewnia, że czytelnicy dowiedzą się z książki m.in., w którym regionie Słowacji w czasie II wojny światowej mieszkało najwięcej donosicieli i kapusiów. Uważne czytanie Bána pozwoli również się dowiedzieć, co w czasach Gottwalda groziło za otrucie kury. Nade wszystko zaś „Słoń na Zemplinie” to obowiązkowy przewodnik dla wszystkich, którzy chcieliby poznać i lepiej zrozumieć słowacką duszę.

Łukasz Grzesiczak



Christian Unge
Przejdź przez wodę,
krocz przez ogień

tłum. Agata Teperek

Wielka Litera, Warszawa 2020

Odzywa się tu echo pożaru londyńskiego wieżowca Grenfell Tower i zagnieżdżonego w nas strachu przed terroryzmem. Jest wieloetniczne społeczeństwo, w którym jedni przybysze znaleźli ratunek,

a drudzy okazję do działalności przestępczej – swoję mafię mają Albańczycy, a rządzi w sztokholmskim półświatku Uzbek, osadzony tu przez dorabiające na boku rosyjskie FSB. Nawiasem mówiąc, łatwiej utrzymać w ryzach gangi, niż radzić sobie z przydomowym basenem. Na boku dorabiają też niektórzy policjanci. Taki to mroczny świat kryje się za nieco pretensjonalnym tytułem pierwszej części „czarnej trylogii” szwedzkiego pisarzalekarza. Bohaterka także jest lekarką, obdarzoną – choć już prędeż obciążoną – fotograficzną pamięcią. Ta właściwość umysłu przydaje się czasem, częściej Tekla Berg walczy z masą zapamiętywanych informacji. Czy wszechwiedząca dyrektorka szpitala, która wybrała ją na sojuszniczkę – lub narzędzie – w walce o uratowanie starzejącej się placówki wie również, że jej podopieczna jedzie na amfetaminie? Wątków mnóstwo, jest na co czekać, bo tylko niektóre zostały tu wyjaśnione.

Aleksandra Pańko



SALA SAMOBÓJCÓW. HEJTER

reż. Jan Komasa, prod. Polska, w kinach od 6 marca

U Jana Komasy, portrecisty dysproporcji społecznych w Polsce, miłość chce niszczyć uprzedzenia klasowe, ale jednocześnie je utwardza. Tomek (magnetyczny Maciej Musiałowski) studiuje prawo na UW. W utrzymaniu pomagają mu państwo Krasuccy, w których córce Gabi chłopak się podkochuje. Krezusi zakręcają kurek z kasą, gdy wychodzi na jaw, że ich protegowanego relegowano z uczelni za plagiat. Tomek planuje okrutną zemstę, a gdy zatrudnia się w agencji reklamowej (szefową gra Agata Kulesza, jedyny łącznik z oryginalną „Salą samobójców”) i zyskuje dostęp do technologii szpiegowskiej, nabiera ona szans na realizację. Wypakowany sensacjami (czego tu nie ma! – inwigilacja kandydata na prezydenta Warszawy, zabójca na zlecenie, politycy w klubach gejowskich) „Hejter” stanowi rewers zniuansowanego i wyciszonego „Bożego Ciała”. Ciekawa historia z cyklu „co może się stać w podzielonym kraju” coraz bardziej zamienia się w publicystykę. Szokujące, spektakularne zakończenie potwierdza, że to film z gazety, a nie jak w poprzednich dokonaniach reżysera – pełen empatii namysł nad tym, co za oknem.

Artur Zaborski

KULTURALNE DZIECI



CO DWE SZTUKI TO NIE JEDNA

Olaf Brzeski z Konstantym, Iza Chlewińska z Miłoszem, Kinga Nowak z Tytusem, Zbigniew Rogalski z Tymonem, Jaśmina Wójcik z Zoją i Leą oraz Paweł Althamer z Kosmą, Monika Drożyńska z Tymonem, Malwina Konopacka z Anielą, Teresą i Julią, Cecylia Malik z Urszulą – to artyści i ich dzieci biorące udział w wystawie. Prace przygotowane specjalnie na tę okazję pozwalają przyrzeć się tematowi ważnym zarówno dla młodych twórców, jak i dla odbiorców sztuki. Wystawa jest przeznaczona dla dzieci w wieku 0-10 lat, ale skorzystają z niej i dorośli.

WARSZAWA, ZACHĘTA, DO 13 KWIETNIA

WARSZAWA, ZACHĘTA, DO 13 KWIETNIA

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Nowy papież i stare grzechy

W serialu Paola Sorrentina Watykan to miejsce, do którego ciągną maluczcy, ale którym zarządzają wytrawni karierowicze

Rafał Piłkuła

Serial „Nowy papież” Paola Sorrentina to bezpośrednia kontynuacja „Młodego papieża”, ale tym razem reżyser pozwala sobie na jeszcze większą fantazję. Każdy odcinek jest uczcą zmysłów. Zakonnice wkładają szpilki, rozpuszczają włosy i tańczą wokół krzyża. Jedna z nich zachodzi w ciążę z uchodźcą ukrywającym się za Spiżową Bramą. „Święta” Esther, która rzekomo poczęła dziecko na skutek cudu Piusa XIII, zostaje prostytutką. Seksu tutaj sporo, choć w zupełnie innym wydaniu niż w „Rodzinie Borgiów”.

Watykan Jana Pawła III, którego gra John Malkovich, to miejsce, gdzie kwitną wszystkie ziemskie grzechy. Jednak nie z winy samego papieża. Owszem, nowy papież nie jest takim konserwatystą jak wspomniany Pius XIII (Jude Law), nie hołduje także ekstremalnemu ubóstwu jak urzędujący króciutko Franciszek II (Marcello Romolo), ale na jego dworze nie brakuje hipokryzji, szaleństwa, intryg, chaosu i skandali. Walka o wpływy spotyka się tutaj z rzeczywistą troską o dobro instytucji, a pragnienie władzy z potrzebą sensu, z drugiej strony krucha wiara zderza się z palącą pożądlivością.

Wariacja na temat papiestwa, którą widzom HBO i Netfliksa serwuje Sorrentino, to poza wizualnym majstersztykiem również ważka opowieść o współczesnym Kościele. Reżyser „Wielkiego piękna” nie opowiada niczego wprost. Nie jest to łatwa hagiografia, w stylu chociażby filmów „Karol. Człowiek, który został papieżem” i „Karol. Papież, który pozostał człowiekiem” Giacoma Battista, ani publicystyka antyklerykalna.

Paolo Sorrentino stawia pytania o obecność i rolę Boga we współczesnym świecie. Zachęca do re-

fleksji nad autentycznością wiary. Wyśmiewa przesadę i skrajności. Zdaje się mówić, że świat nie potrzebuje ani Kościoła karzącego i walczącego, ani zbyt miękkiego i ułożonego. Nadmiar mistyki i duchowości jest równie szkodliwy jak całkowite wyzbycie się metafizyki. Jak łączyć chrześcijańską radość, ewangeliczny optymizm i nie stracić przy tym



Paolo Sorrentino wyśmiewa przesadę i skrajności. Świat nie potrzebuje ani Kościoła karzącego i walczącego, ani zbyt miękkiego i ułożonego.

tożsamości i majestatu? To wyzwanie dla każdego kościelnego hierarchy. W świecie wykreowanym przez Sorrentina granica pomiędzy świętością a upadkiem, butą a majestatem jest nie tyle cienka, ile płynna.

Watykan to miejsce, do którego ciągną maluczcy, ludzie pragnący pocieszenia, wsparcia, poczucia sensu, ale którym zarządzają starzy karierowicze, elastyczni, ale też małostkowi. Charakterystyczne jest zderzenie prawdziwej wiary ludu bożego z cynizmem książąt Kościoła. Błędem byłoby myślenie, że reżyser kpi z wiary czy Boga, uderza raczej w odhuma-

nizowaną instytucję, w Kościół, który tłamsi człowieczeństwo.

Krytyka ta balansuje na granicy bluźnierstwa. Zmysłowy taniec zakonnic wokół krzyża to nie tania prowokacja, lecz opowieść o tym, jak Kościół zabija w wiernych seksualność. Przepychanki wokół konklawe ukazują kardynałów jako spiskowców i polityków, ale ci sami, którzy za dnia knują, wieczorami mają chwile czułości i oddania. Makiaweliczny kard. Voiello, wieloletni sekretarz stanu (w tej roli Silvio Orlando), bywa bezwzględny graczem, ale nocami troskliwie opiekuje się niepełnosprawnym chłopcem. Kard. Gutiérrez z kolei przyłącza się do rządzącej kliki czerwonych kapeluszy, mimo wewnętrznej szlachetności, bolesnych doświadczeń z dzieciństwa (molestowanie) i skrywanego homoseksualizmu. Nie

rwie się do radykalnych zmian, woli zachować *status quo*.

Serial opowiada o stanie Kościoła poprzez ludzi Kościoła, poprzez niejednoznaczne życiorysy i losy, nie ma tutaj dywagacji teologicznych czy oskarżycielskich obrazów. Kwestia pedofili w Kościele nie odbija się w medialnej narracji, to osobista refleksja duchownych, wewnętrzna walka odpowiedzialnych za dobre imię Kościoła.

„Nowy papież” pokazuje świat w całej złożoności. Jako nieustanne spotkanie dobra ze złem, świętości i upadku, szczerości i kłamstwa, wierności zasadom i jej braku. Jest tu pycha i miłosierdzie, wielkie piękno i banalne zło, czystość intencji i brud realnego działania. To wszystko, co dotyka ludzkość od zarania dziejów. Stare grzechy nowych purpuratów i pontifexów. ■



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Tamte śniegi

Śnieg pada, aż żal siedzieć tyłem do okna, wszak tylko w locie można go upolować wzrokiem, na ziemi natychmiast topnieje. Już prawie marzec, a ja pierwszy prawdziwy śnieg warszawski tej zimy przyuważyłem. Może i popadał wcześniej, ale ukradkiem, za moimi plecami. Zanim się spostrzegłem, popadał w zapomnienie, a jeśli zostawiał ślady po sobie, to tak żałosne, pokątnie rozsiane po trawnikach, że żal było patrzeć. Wolałem udawać, że nie widzę, jak te nędzne namiastki męczą się na plusie, odwracałem wzrok od tego rozkłęśtego kompromisu między zimą kalendarzową a efektem cieplarnianym. Teraz pada pierwszy śnieg prawdziwy (ale kiedy poprawiam literówkę w teraz, już jest później, słońce wyszło i posprzątało po tym incydencie), nie wyrób śniegopodobny, nie śnieg z deszczem, ale ciężkie, grube płatki, białe śnieżynki. Natychmiast czezną w rozmięklej glebie, nawet błoto po nich nie jest błotem pośniegowym, lecz zwykłą breją. Zeszłoroczny śnieg mnie nie obchodzi, bo w zeszłym roku też go nie było, w poprzednim chyba także nie bardzo, sięgam pamięcią, aż trzeszczy, ale nie pamiętam, kiedy ostatnio dreptałem po stołecznym śniegu. O, niegdysiejsze śniegi, któreście zalegały pryzmami na poboczach, o, korytarze chodników obwałowane śniegopłotami wyższymi niż człowiek, o – wołacie wołają na roz-puszczy – rozpuszczalski śniegu, śpieszmy się tobie przyglądać, tak szybko topniejesz...

Korek z tego się cieszy, bo go łapki nie pieką od soli, mój dysk też się cieszy, bo choć pies już dwa razy lżejszy od syna, co to wciąż chce „na rączki”, każde dzwiganie przysparza ryzyka, poza tym co to za spacer dla niego, kundlowatego, skoro na ziemię się boi? Lud się cieszy, ja się pocieszam: bo na cholerę śnieg w mieście? Wreszcie dołączyliśmy do Zachodu, zimy wietrzne i deszczowe, a jak kto chce na narty, ma górskie kurorty. Na czapki sezonowo nie muszę wydawać, bo przecież wiecznie gubię. Matka i tatko mówili: „Dorośnij wreszcie, ile czapek mamy ci kupować?!”, a ja, choć już podbiegam pod pięćdziesiątkę, jak gubiłem, tak gubię te czapki. W grudniu miałem dwie, w lutym już ani jednej – i okazało się, że nowej nie ma po co kupować, w razie czego kaptur wystarczy.

Zima zniknęła, Dorota Masłowska narzekła w wywiadzie, że to poważny kłopot dla realizatorów adaptacji filmowej „Innych ludzi”, bo pisała tę książkę trzy lata temu, kiedy jeszcze Polskę przez kwartał z górą ogarniał „beznadziejny klimat rozdeptanego śniegu”. A teraz – cóż, nie ma czego rozdeptywać poza psimi gównami, ongiś

„zamiatanymi” pod dywan śniegu. Niegdysiejsze śniegi zniknęły niczym „peerelowskie złogi” z mediów publicznych, a ja się czuję jak emigrant (a przecież, mimo że emigracją nieustannie się odgrażam, wciąż nie jestem na nią gotów), pogoda mówi do mnie w języku obcym. Wychowałem się na dźwięcznie rdzennych słowach obfitych w znaki diakrytyczne: mróz, szadź, gołoledź, tymczasem za całą tę lodową różnorodność ma mi już na zawsze wystarczyć deszcz i odrobina chłodu? Lud się cieszy, władza zapewne i tę dobrą monetę podniesie, by lud dotumanić – proszę bardzo, za PO było zimniej, nagle ataki zimy paraliżowały drogowców, a za PiS nadeszło ocieplenie, już nikt nigdy nie ośmieli się powiedzieć: „Sorry, taki mamy klimat”.

Zaraz, zaraz, ale jak tak dalej pójdzie – co z węglem? Co z naszym czarnym złotem narodowym, dobywanym przez dawniej utajoną opcję niemiecką, dziś ujawnioną

O, rozpuszczalski śniegu, śpieszmy się tobie przyglądać, tak szybko topniejesz...

opcję prorządową? No cóż, górniczy stan musi pozostać pod ścisłą ochroną. Albo zatem hałdy czarnych odłogów będą rosły, aż w końcu wypiętrzą się w nowe śląskie pasmo górskie (jakoś to się poklei na deszczu, może i trawką obrosnie, a wtedy nic tylko szlaki wymalować, doinwestować turystykę w takim Beskidzie Górnośląskim), albo kopalnie staną, a górnicze pensje wypłacane będą regularnie wyłącznie za święty spokój. Jak sama nazwa wskazuje, miejsce górnika nie jest na dole, górnicy górą. Będzie podwyżka – nie będzie najazdów na stolicę, żadnej antypaństwowej pirotechniki, żadnego zapalenia opon, górnikom będzie się płacić za nie-robienie (zadym), urządzi się im całoroczną Karczmę Piwną wizytowaną przez notabli, solidarnie opiewających, jak to się udało „oczyścić do końca nasz polski dom, tak żeby był czysty, porządny i piękny i dalej wzrastał nam zdrowo”.

O, niegdysiejsze śniegi, tęsknię za wami jak za Polską zjednoczoną na pohybel Partii, nie za taką od morza do morza, ale choć od Bugu do Wisły, nie podzieloną, nie posortowaną. O, Matko Boska Śnieżna, spuść na ten kraj swoją zastonę, niech w czasie powszechnego oczerniania choć przez chwilę wszystko się wybieli. O, dźwięku łopaty do odśnieżania, budzący mnie w zimowe poranki dzieciństwa, dźwięku ostukiwanych przez ojca butów w sieni, gdzieście przepadły?



Mirosław Pieślak – Fotoreporter Roku 2019, 1. miejsce

FOTOREPORTER

ROKU 2019



Adam Tuchliński – nagroda Stróż Opinii Publicznej



Patryk Ogorzałek – 1. miejsce
w kategorii portret

15 lutego rozstrzygnięto piątą edycję konkursu Fotorreporter Roku. Do tego tytułu jury nominowało Piotra Hukałę z Trójmiasta, Bartłomieja Jureckiego z Zakopanego i Mirosława Pieślaka, również z Trójmiasta. I właśnie ten ostatni wygrał. Do nagród za fotografie pojedyncze nominowane zostały 22 osoby. Zwyciężyli: Mirosław Pieślak za fotoreportaż, w kategorii portret – Patryk Ogorzałek, polityka – Andrzej Grygiel, kultura oraz fotoraport Polska – Beata Zawrzel, natura i cywilizacja – Marek M. Be rezowski.

Tytuł Stróża Opinii Publicznej, przyznawany poza konkursem autorowi, który jako jedyny zarejestrował ważną dla opinii publicznej informację, otrzymał Adam Tuchliński za zdjęcie z uroczystości nadania szkole podstawowej w Łabuniach imienia Dzieci Zamojszczyzny.

Organizatorem konkursu było Stowarzyszenie Fotorreporterów.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Bartłomiej Jurecki – Fotorreporter Roku 2019, 2. miejsce



Bartłomiej Jurecki – Fotorreporter Roku 2019, 2. miejsce



Beata Zawrzel – 1. miejsce w kategorii fotoraport Polska

Paweł Drąg

– Byłem architektem miejskim, kiedy burmistrz Gryfina przyjmował delegacje potencjalnych inwestorów, przede wszystkim Niemców. Włodarz chciał być otwarty, więc mnie powierzał gości, prosząc, abym pokazał im miasto i okoliczne ciekawostki. Grupa przyjeżdżała wiele i to, co było dla mnie przyjemnością, zamieniło się w rutynę. Bo ileż jest osobliwości w powiatowym miasteczku? Na trasie moich wędrówek zawsze więc musiał się znaleźć Krzywy Las – opowiada Marek Brzeziński, gryfiński regionalista i architekt.

To prawda, w latach 90., gdy tworzył się samorząd, do Gryfina zaczęło zaglądać wiele delegacji biznesowych zainteresowanych budową zakładów produkcyjnych. Polacy zaczęli na nowo interesować się przeszłością ziemi gryfińskiej. Przy okazji i Krzywy Las cieszył się sporą popularnością. Ponieważ związana z nim historia długo pozostawała niejasna, krążyło wiele opowieści i wersji pojawienia się takiego wybryku natury. Trzeba było z kilku historii zbudować jedną, najbardziej prawdopodobną.

– I ja tak zrobiłem – wspomina Marek Brzeziński. – W baśniowej konwencji zaczynałem od słów: „Dawno przed wojną żył tu bogaty Niemiec,

Wiek sosen pod Gryfinem szacuje się na 88-90 lat.

który eksperymentował przy produkcji mebli i sań”. Zdecydowanie najważniejsze było użycie słowa Niemiec, ponieważ zyskiwałem od razu uwagę znużonego całym dniem negocjacji biznesmena.

Zdarzały się jednak wyłomy w rutynie. – Pewnego dnia oprowadzałem inwestorów planujących budowę salonu samochodowego azjatyckiej marki. Gdy już trafiłem do Krzywego Lasu z gośćmi z Korei Południowej, obudził się we mnie duch twórczy i wypaliłem: „Dawno przed wojną żył tu bogaty Koreańczyk, który eksperymentował przy produkcji mebli i sań”. Widok biznesmenów, którzy w tym momencie zaczęli robić dziesiątki fotografii wśród po-



Tajemnica Krzywego Lasu

Kilka kilometrów za Gryfinem rośnie około 50 osobliwie zdeformowanych sosen pospolitych



wyginanych drzew, był bezcenny. Nie chcieli już tego dnia nic więcej oglądać. Uznali, że nic nie przebieje tego doświadczenia – puentuje wspomnienia Brzeziński.

Skąd te zakrzywienia

Odnalezienie lasu jest poważnym wyzwaniem. Trzeba być skoncentrowanym, by za wsią Nowe Czarnowo wypatrzeć stosowne oznaczenia i zatrzymać samochód. Wtedy już, kierując się wzdłuż rur ciepłowniczych, należy iść 200 m w głąb lasu w poszukiwaniu krzywych drzew. Na powierzchni ok. 0,30 ha rośnie obecnie z 50 osobliwie zdeformowanych sosen pospolitych. W większości publikacji nadal pojawiają się informacje o stu, ale w rzeczywistości jest ich o wiele mniej. Za to kiedyś było ich nawet kilkaset.

– Podobne skupiska krzywych drzew można odnaleźć również na Dolnym Śląsku. Wiek tych pod Gryfinem, według dokumentacji nadleśnictwa, szacuje się na 88-90 lat. Skupisko krzywych drzew jest objęte ochroną w postaci powierzchniowego pomnika przyrody – wyjaśnia



nie lasu jest owiane tajemnicą i niewiele można znaleźć wiarygodnych źródeł historycznych, które w przekonujący sposób wyjaśniałyby jego fenomen. Drzewa posadzono prawdopodobnie ok. 1934 r. Jedną z popularniejszych hipotez, ale dziś traktowaną z dużym przymrużeniem oka, wyjaśnia skrzywienia uszkodzeniem młodych drzewek przez czołgi, które stacjonowały w tych okolicach na początku 1945 r. Jak to w ogóle byłoby możliwe? Drzewka przymarły do gruntu, pod złodowaciałym błotem zmieniły kształt, by po roztopach odżyć. Tyle że w innej, niecodziennej formie. Ta teoria powstała na podstawie opowieści okolicznych mieszkańców. Część z nich twierdziła, że do zakrzywień nie były potrzebne czołgi. Wystarczyły kilkuletnie opady

szybszym hiphopowcem na świecie. W „Rap Nobody” rapował w siedmiu językach. Klip do tego kawałka był częściowo nagrywany w Krzywym Lesie. O gryfińskiej chlubie pisały m.in. brytyjski „Daily Mail” oraz amerykański dziennik „The New York Times”. Ten pierwszy wymieniał go jako jeden z dziewięciu magicznych lasów, które warto odwiedzić.

– Krzywy Las jest bohaterem wielu opowieści filmowych, scenerią sesji fotograficznych i plenerów malarskich. Budzi zainteresowanie odwiedzających z kraju i z zagranicy. Wzmianki o nim pojawiają się w artykułach prasowych, folderach turystycznych, spotach i w internecie. Ogólny stan zdrowotny drzew nie budzi większych obaw. Nie trapią ich żadne szkodniki. Jednak w związku z ich wiekiem

Powstanie lasu jest owiane tajemnicą i niewiele wiarygodnych źródeł historycznych przekonująco wyjaśnia jego fenomen.

Lidia Kmiecińska z Nadleśnictwa Gryfino.

Eugeniusz Ćwikliński w opracowaniu poświęconym tajemnicy tych drzew pisze, że „pierwsze spostrzeżenia, jakie może poczynić każdy obserwator, to jednokierunkowe skrzywienia pni. Wszystkie drzewa są zagięte na północ pod kątem 90 stopni i mniejszym na wysokości od 10 do 55 cm od ziemi. Następnie pnie drzew tworzą poziomo usytuowane nad ziemią pałakowate wygięcia, dochodzące od 1 do

ciężkiego śniegu, który w naturalny sposób zmienił kształt drzewek.

Bardziej na poważnie brana jest opcja, że pnie próbowano zdeformować w celu przygotowania ich do prac stolarskich lub szutniczych. Odpowiednio powyginane służyły do budowy sań rogatych, wozów drabiniastych, beczek, kadzi i mebli. Tym bardziej to prawdopodobne, że przed wojną w tej okolicy miała się znajdować fabryka sań.

Nie można pominąć także wersji, że za pojawieniem się lasku stał po-

i odmiennym od typowego sposobem wzrostu zdarzają się przypadki obumierania niektórych egzemplarzy. Te drzewa, które zagrażają bezpieczeństwu, są podkrzesywane lub obalane i pozostawiane do naturalnego rozkładu. Z pewnością od momentu powstania lasu w latach 30. XX w. do dziś liczba drzew zdecydowanie się zmniejszyła – opowiada Lidia Kmiecińska.

Duża popularność w regionie mogła zaszkodzić temu miejscu. Na całe szczęście jednak ominęły je poważne akty wandalizmu.

– Mimo ogromnego zainteresowania tą osobliwością przyrodniczą i licznych grup turystycznych nie odnotowywano sytuacji związanych z uszkodzeniami sosen. Nadleśnictwo na bieżąco dokonuje przeglądu stanu drzew. Prowadzone są również drobne prace związane z usuwaniem nalotu drzew i krzewów innych gatunków zarastających powierzchnię. Dzięki temu eksponujemy najbardziej reprezentacyjną część tego wyjątkowego pomnika przyrody – wyjaśnia Lidia Kmiecińska.

Nie zmienia to faktu, że pozostało już tylko jakieś 50 drzew, więc nie warto odkładać na później pomysłu odwiedzenia tego miejsca. Las pomatu kurczy się i przemija. Szkoda. Będziemy tęsknić. ■

Wszystkie drzewa są zagięte na północ pod kątem 90 st. i mniejszym na wysokości od 10 do 55 cm od ziemi.

3 m długości. Nad wygięciami pnie skierowane są pionowo do góry. Z obserwacji wynika, że deformacje omawianych sosen powstały w wyniku celowej działalności ludzkiej. Młode drzewka były nacinane od strony południowej do połowy pnia i więcej i przyginane do ziemi zawsze wierzchołkiem skierowanym na północ. Przy dalszym wzroście drzewek wierzchołki wyginały się ku górze i powstawały obecnie obserwowane krzywizny”.

To najbardziej logiczna i zarazem przyjemna wersja zdarzeń. Powsta-

myśl uczynienia z niego atrakcji turystycznej. Być może nawet odpłatnej. W 1947 r. Axel Erlandson stworzył w Kalifornii „cyrk drzew” z okazami, które sam fantazyjnie ukształtował. Kto wie, może wojna sprawiła, że w przypadku Krzywego Lasu podobna idea została porzucona na etapie częściowej realizacji planu?

Globalna popularność

Kilka lat temu sporą popularnością w Polsce cieszył się utwór MC Silka, który mianował się naj-

✉ Przekłamania TVP Olsztyn

Stowarzyszenie Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej wyraża zdecydowany protest wobec informacji wyemitowanej przez TVP Olsztyn o przebiegu uroczystości 75. rocznicy śmierci dowódcy 3. Frontu Białoruskiego gen. Iwana Czerniachowskiego, jaka odbyła się w Pieniężnie 16 lutego 2020 r. Tego dnia w programie informacyjnym TVP Olsztyn tendencyjnie podała: „Generał Iwan Czerniachowski – dla współczesnych Rosjan to bohater, dla Polaków symbol powojennego zniewolenia”. Pytamy, jakie powojenne zniewolenie Polaków gen. Czerniachowski symbolizuje, skoro zginął w lutym 1945 r.? Dla wielu Polaków, także dla Stowarzyszenia Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej, gen. Czerniachowski jest bohaterem.

TVP Olsztyn milczeniem pominęła obecność na uroczystości kilku polskich organizacji i delegacji ambasady Federacji Rosyjskiej w Polsce. Nie pominięto jedynie Stowarzyszenia Tradycji Ludowego Wojska Polskiego, jednak przemilczano jego patrona – gen. Zygmunta Berlinga.

TVP Olsztyn nie wyemitowała wypowiedzi przedstawicieli tych organizacji, którzy mówili o gen. Czerniachowskim jako o bohaterze. Zacytowano tylko oburzającą wypowiedź prezesa STLWP mjr. w st. spocz. Kazimierza Rdzanka, która koresponduje z tonem narracji TVP Olsztyn: „Tu nie przyjechaliśmy, żeby upamiętniać gen. Czerniachowskiego, przyjechaliśmy oddać pokłon i hołd tym, którzy zginęli w walce z hitlerowskimi Niemcami o wolność naszej ojczyzny”. Po co trudził się pan Rdzanek, aby po raz pierwszy przyjechać na miejsce śmierci gen. Czerniachowskiego? Nie lepiej było „oddać pokłon i hołd tym, którzy zginęli”, 17 stycznia br., w 75. rocznicę wyzwolenia Warszawy, pod pomnikami Bohaterom Warszawy 1939-1945, Żołnierzom 1. Armii Wojska Polskiego oraz w miejscu, gdzie do 2019 r. stał pomnik gen. Berlinga? A tam pana Rdzanka nie było. (...)

Zwieńczeniem informacji są opinie dyrektora Archiwum Państwowego w Olsztynie Norberta Kasperka: „W Polsce powinny być pomniki tych, których uważamy za bohaterów, a raczej on polskim bohaterem nie jest i nigdy nie będzie”, oraz Radostawa Nojmana, który ogłosił, że gen. Czerniachowski „odpowiedzialny jest wspólnie z generałem NKWD Iwanem Sierowem za podstępne aresztowanie dowództwa, następnie rozbrajanie, pojmanie żołnierzy Armii Krajowej z Wileńszczyzny, Nowogródzczyzny... Jest to (...) zbrodnia wojenna”. Pierwszy z panów nie powinien używać słowa „nigdy”, a jeśli mówi o tym, kogo uważamy za bohatera, powinien wykazać się tolerancją wobec poglądów Polaków inaczej myślących niż on sam. Drugi zaś niech pozna relacje Polaków, dziś mieszkańców Olsztyna, a podczas wojny żołnierzy AK z Wileńszczyzny. Ich przeżycia wojenne powinny uczyć rozsądku młode pokolenia. Powinien też poznać znaczenie terminu „zbrodnia wojenna”.

I na koniec – TVP Olsztyn ograniczyła się do relacji ze wzgórze w Pieniężnie, gdzie był pomnik gen. Czerniachowskiego. Nie pokazała uroczystości na kwaterze wojennej cmentarza parafialnego. Czy miejsce wiecznego spoczynku żołnierzy radzieckich poległych w walkach na ziemi Warmii i Mazur nie zasługuje na pamięć Polaków?

*Prezes Zarządu Głównego – Roland Dubowski,
członkowie Prezydium ZG – Wojciech Samborski
i Krzysztof Teliczan, przewodniczący Komisji
Zagranicznej – Tadeusz Kowalczyk*

✉ Dylemat dzieci i wnuków

Prof. Ryszard Turski w liście (PRZEGLĄD nr 3/2020) pisze o swoim stryju, żołnierzu AK, który ujawnił się w 1944 r.,

wstąpił do 2. Armii WP i poległ na Łużycach. Zastanawia się, czy dzieci i wnuki mogą być ze stryja dumne. Odpowiadam: tak, mogą być dumne. Historia to spłót rozmaitych zdarzeń. Polacy z różnych kierunków szli walczyć o Polskę. Młodych ludzi (to wiem od Ojca, żołnierza Polskiej Niepodległej w Poznaniu) nie interesowało zbyt wiele, jakiej opcji politycznej jest grupa konspiracyjna, jeśli tylko dowiadawali się, że będą walczyć z okupantem. To miejsce determinowało, z której strony się szło do Berlina, by pokonać wroga, który w 1939 r. wywołał wojnę, a taktycznie wcześniej wykorzystał nastawienie Stalina przeciwko Polsce i jego chęć władania światem zachodnim. Cześć pamięci por. Wacława Turskiego!

Andrzej Antczak

✉ Adopcyjny węzeł gordyjski

Nie ma chętnych do bycia rodzinami zastępczymi, a te, które są chętne, często się nie nadają. Znam placówki, w których jest więcej dzieci i są to dzieciaki świetnie wspierane i kochane. Tymczasem system na siłę przywraca dzieci do rodzin biologicznych, w których były krzywdzone. Brakuje rodzin zastępczych, więc co będzie z dziećmi po zlikwidowaniu większych placówek? Najpierw trzeba stworzyć taki system opieki zastępczej, aby ludzie chcieli i mogli go prowadzić. Aby pracownicy socjalni wspierali takie rodziny, a nie utrudniali ich pracę. Myślimy w kategoriach dziecka, a nie wytycznych, które często tworzą teoretycy. Te wytyczne należy też zmieniać dla dobra dzieci, które za swój los nie ponoszą winy, a często się nią obarczają.

Db

Mówiąc o domach dziecka, warto wspomnieć o ustawie antyaborcyjnej, która zakłada, że każda kobieta – nieważne, w jakiej jest sytuacji – jeżeli jest w ciąży, musi urodzić. Nieważne też, kim jest ojciec. Proszę więc się nie dziwić, że dzieci niechciane będą istnieć i zapełniać domy dziecka. A żadna instytucja nie zastąpi kochającej rodziny, rodziców, którzy chcą i umieją wychowywać dzieci. Ustawa zakładała edukację seksualną i dostęp do antykoncepcji, ale w jaki sposób jest realizowana, każdy dobrze wie. Jeżeli ideologia, którą popierają kolejne rządy, jest ważniejsza niż dobro rodzin i dzieci, nie ma na to żadnego lekarstwa. Widocznie polskie społeczeństwo jest za tym, aby problemy istniały, a nie były rozwiązywane.

Mii

✉ Skąd wziąć nauczyciela

W tym, że w szkołach szykuje się kryzys kadrowy, wielką zastęgę mają minister Mirosław Handke i premier Jerzy Buzek. Ich reforma oświaty miała na celu wyłączenie z pracy dziesiątek tysięcy nauczycieli, upodlenie ich, pozbawienie szacunku społecznego i uczynienie ich pracy uciążliwą i stresującą. Wytyczona przez tych panów w latach 1998-2000 polityka oświatowa była kontynuowana przez wszystkie kolejne rządy.

Bohdan Piętko



Misja w Bagdadzie

Ambasada RP w Iraku to placówka specyficzna. Często wszystko się tam zmienia.

Były czasy, po I wojnie w Zatoce, kiedy ambasada została wzbogacona o niecodzienny element – Sekcję Interesów Amerykańskich, której szefem był polski dyplomata Jan Wojciech Piekarski. Nie podlegał on ambasadorowi RP, choć łączność z Departamentem Stanu utrzymywał poprzez centralę MSZ w Warszawie.

Po wybuchu II wojny w Zatoce ambasada RP w Bagdadzie została ewakuowana do Jordanii. Wznowiła pracę w czerwcu 2003 r. Po raz kolejny jej działalność została zawieszona we wrześniu roku 2014, oczywiście ze względów bezpieczeństwa. Ponownie zaczęła działać od sierpnia 2016 r.

Ale jest to działanie innego rodzaju. Nasza placówka pracuje na terenie ambasady Wielkiej Brytanii, która umiejscowiona jest w tzw. strefie bezpieczeństwa, części Bagdadu wyłączonej z miasta i strzeżonej przez wojsko.

W roku 2018 do takiego miejsca Polska wysłała jako ambasadorkę Beatę Pęksa. W ten sposób posłano kobietę na wojnę. I możemy tylko pytać – czy posłano ją tam w dowód uznania, czy żeby jej dokuczyć? Bo czy można uznać za atrakcyjne życie kątem u Anglików, *de facto* w koszarach? W niesprzyjającym klimacie?

To pytanie nie jest przypadkowe. Beata Pęksa, która w MSZ pracuje od roku 1996, nie należała do ulubienic Witolda Waszczykowskiego. Gdy przyszedł do MSZ, ona była szefową Departamentu Polityki Bezpieczeństwa. I szybko podpadła nowemu ministrowi. Za co? Za sprawę wicedyrektora Tomasza Chłonia. Władza pisowska odwołała Chłonia, więc zaczął on aplikować do służby NATO. I w końcu uzyskał stanowisko zastępcy szefa Biura NATO w Moskwie. Kiedy się dowiedziano o tym

w Polsce, wybuchła awantura. Macierewicz miał pretensje do Waszczykowskiego, że na coś takiego pozwolił.

A Waszczykowski te pretensje przeniósł na kierownictwo departamentu – że kryło Chłonia, zamiast wszystko powiedzieć ministrowi. Beata Pęksa została zdymisjonowana. A parę miesięcy później wysłano ją do Iraku. Pojechała tam w czerwcu 2018 r. 3 stycznia 2020 r. Amerykanie zabili na lotnisku w Bagdadzie gen. Kasema Sulejmaniego, co wywołało kolejny wzrost napięcia na Bliskim Wschodzie. Jego efektem był atak raketowy na dzielnicę dyplomatyczną w Bagdadzie.

Wtedy – jak mówią w Polsce – na prośbę Brytyjczyków ambasador Beata Pęksa została ewakuowana do kraju ze względów bezpieczeństwa.

Minął miesiąc i Polska już wysłała do Bagdadu nowego ambasadora. Beata Pęksa zostaje w kraju, czyli zakończyła swoją misję po półtora roku. Można zakładać, że z ulgą, bo na pewno dzisiejszy Bagdad to nie jest miejsce dla pań. A do Iraku jedzie Marcin Kubiak. Były ambasador m.in. w RPA i Malezji. I też nasuwa się pytanie – czy jedzie ze względu na kompetencje, czy za karę?

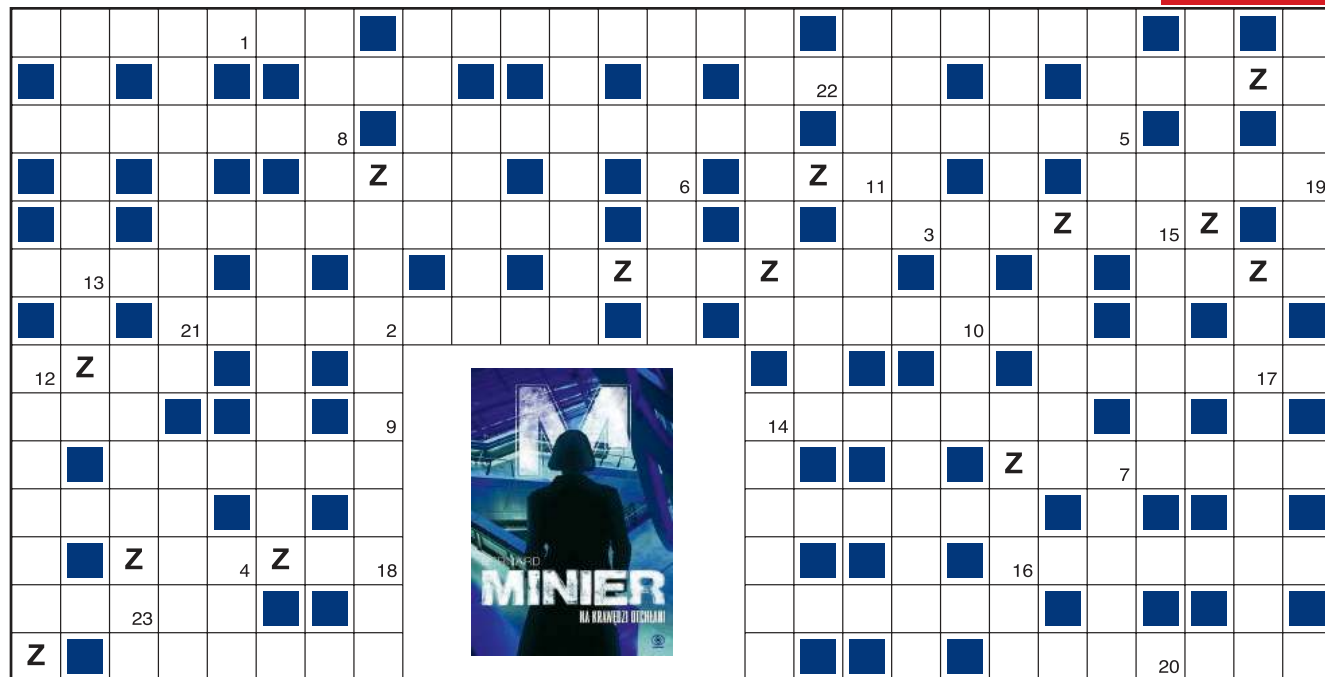
Poszlaki wskazują, że za karę. Z Kuala Lumpur wrócił w 2017 r., po dwóch latach pracy, wyglądało na to, że u pisowców popadł w niełaskę. Być może dlatego, że wcześniej, w czasach rządów PO-PSL, był wiceministrem infrastruktury. Zresztą to odwołanie musiało być motywowane innymi względami niż normalna rotacja, skoro jego następcę wyznaczono dopiero po pół roku.

Ale można też przypuszczać, że Marcin Kubiak wysłany jest do Bagdadu, *de facto* bazy wojskowej, ze względu na kompetencje. Z wykształcenia jest lekarzem.

Attaché



Wyścig kolarski w Zjednoczonych Emiratach Arabskich – póki trwał. Przerwano go po wykryciu koronawirusa u dwóch uczestników.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- ćwiczenia wylansowane przez Jane Fondę
- mądrość w zwieżłej wypowiedzi
- pojazd pogotowia
- bite ku radości wykonawcy
- monarcha w Rosji, Bułgarii, Serbii
- części np. Tour de Pologne
- panda, ale nie miś

- miasto w Autonomii Palestyńskiej
- czarna, zielona, biała, owocowa
- tam premierem Netanjahu
- rzeźbiarka, malarka, scenografka współpracująca z Cricot i Cricot 2
- obraz w wizjerze aparatu
- norma, wzór lub utwór polifoniczny

- ciasto z bakaliarni
- książek lub świąteczny ze straganami
- orzech z mlekiem
- paciorki lub jarzębina na nitce
- młoda kózka lub sarenka
- przekupka, straganiarka
- piękno, uroda
- oponent radykała
- służalczość, serwilizm
- krzyżacka stolica
- bywa sprężynowy, bywa dmuchany
- nie z każdej będzie chleb
- patronat nad sztuką, nauką
- i mądry doradca, mistrz, i prawiący morały
- odpowiednik prezydenta miasta we Francji i w Rosji

- gruntu nienadający się do uprawy
- nietoperze z rodziny mroczkowatych
- na młode wilki w piosence Kaczmar-skiego
- biegnie w bok od czegoś: pnia, korytarza
- sepet + jeden
- pierwszy instrument Jimiego Hendriksa
- nogi bywają chude jak one
- „Ole, ole, ole, ola, oli, dopóki są...”
- tylko figle mu w głowie
- coś mocniejszego z Bałkanów
- śpieszą nań goprowcy
- „Człowiek z...” z Belmondem
- gdy posypały się finanse lub budynek
- dalekowschodni „taksówkarz”
- mieszkała nad nią Kaczka Dziwnaka
- koszyczek łopianu, ostu

- „Wielka... to żart”
- z „Barona cygańskiego”
- docenia dobrą kuchnię
- sygnalizuje branie
- termiczny albo kulturowy
- na nartach prosto w dół
- herbowa
- lub antyrakietowa
- w nim kłód w bród
- mata w japońskim domu
- przemoc i okrucieństwo, by zastraszyć
- stan zatracenia się, nieświadomości
- chowana przez pamiętliwych
- obfitość, zwłaszcza plonów
- ...czekoladopodobny w PRL
- dodawany do ciasta na chleb
- obcyzna
- Hudsona lub Perska
- kończy zamaszysty podpis
- na placu zabaw i w aquaparku

KUPON JOLKI „Przeglądu”

has to:

imie i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jakiej w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowoli podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-950”. Do rozlosowania książki „Na krawędzi otchłani” ufundowane przez Dom Wydawniczy Rebis. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 marca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-947” z 16 lutego: Każdy w sobie coś ukrywa. Nagrody otrzymują: Małgorzata Bujonek z Wrocławia, Halina Chmielearczyk z Cieszyńska, Krzysztof Maurer z Mińska Mazowieckiego.

PENETRACJE

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

PROF. ANDRZEJ SZAHAJ,
UNIWERSYTET MIKOŁAJA
KOPERNIKA W TORUNIU

Dziś nie ma już powrotu do skrajnie wolnorynkowych idei. Zwrot ku socjal-demokratycznym rozwiązaniom ekonomicznym i społecznym jest nieunikniony. Duch czasu się zmienił i dziś prawie nikt nie wierzy już w to, że wolny rynek jest panaceum na wszystkie problemy ekonomiczne i społeczne. Nawet dotychczasowe bastiony neoliberalizmu – Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy – opowiadają się za koniecznością reform prospołecznych. A niegdyśiejszy prorok neoliberalizmu i faktyczny autor planu naszych reform wolnorynkowych Jeffrey Sachs poparł ostatnio lewicowca Berniego Sandersa w wyścigu o fotel prezydencki w USA.

TYGODNIK
POWSZECHNY

PROF. DARIUSZ STOLA,
BYŁY DYREKTOR MUZEUM
POLIN

Najpierw, w trakcie sporu o ustawę o IPN i naszą wystawę o Marcu, jacyś politycy zachęcili swoich dziennikarzy do ataku na muzeum i na mnie. Na spotkaniach w rocznicę Marca pojawiał się u nas z kamerą pan Matecki, prawicowy bojownik na froncie internetowym, notabene zatrudniony wtedy w resorcie sprawiedliwości. Atak propagandowy ładnie się rozwijał, pamiętam np. słowa pana Dawida Wildsteina, który nazwał nas kanałiami i oszołomami. Politycy czytali takie komentarze, a potem zaczęli w nie wierzyć. Pani Ogórek, przypomnę, złożyła pozew przeciwko muzeum – i został on oddalony.

TYGODNIK
ANGORA

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Oślawiona swoim środkowym palcem posłanka Lichocka ujrzała w Kaczyńskim króla Władysława Łokietka. Owszem, monarchę wzrostu nikczemnego, ale ideowego i bitnego, o nieprzeciętnych zasługach dla kraju poczynionych osobą własną, jak i wybitnym potomstwem. Przeciętnie wykształcony Polak kojarzy co prawda, że Łokietek ziemie polskie scalał, a Kaczyński pozostanie w pamięci jako ten, który Polskę głęboko podzielił. Ale czy precyzji historycznej można wymagać od damy w leciech, która jedyne, czym się szczyci, to nie główka, a paluszek? Tym bardziej że za zasługi Lichocka już wcześniej doznała wniebowstąpienia, gdy wielkopolskie duchowieństwo odprawiło za nią w Kaliszu mszę dziękczynną.

zwierciadło

ANNA MARIA
JOPEK,
WOKALISTKA

Przyszedł do mojej garderoby menedżer Stinga: „Podobno marzysz, żeby z nim zaśpiewać? Jest z tobą drzwi w drzwi – idź do niego, czeka”. Weszłam do jego garderoby. Sting wziął gitarę i zapytał: „Co chcesz śpiewać? »Fragile«?”. Zaśpiewaliśmy i to było coś, co będę pamiętać do końca życia. Wszystko, co się zdarzyło potem, mogłoby już dla mnie nie istnieć. A chwilę później siedziałam ze Stingiem na scenie, w koncercie telewizyjnym, na oczach tysięcy ludzi. Niczego się nie bałam. Wypełniała mnie nieopisana radość, w której zawarło się całe życie.



Był pies, który jeździł koleją, jest koń, który poleciał samolotem. Pierwszą klasą. Ronica Froese ze swoim konikiem terapeutycznym, 18-miesięcznym Fredem.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki...

KRYSZYNA JANDA JAKO RAKIETA

Gdy wpada w złość, pracownicy mówią: rakieta odpaliła. Wiadomo, co trzeba robić: nie dyskutować, uciekać, przeczekać.

WIESŁAW GODZIC O ANDRZEJU DUDZIE

Prezydent pokazuje, że lubi słuchać samego siebie.

MARYLA RODOWICZ O SPOTKANIACH
Z DANIELEM OLBRYCHSKIM

Przychodzi do mnie na kolację z żoną. Recytuje, ja śpiewam. Uwielbiam jego recytacje, można się popłakać ze wzruszenia.

TOMASZ MAJEWSKI O DOPINGU

Jeśli ktoś jest złapany na ciężkim dopingu, to w 99,92% przypadków doskonale o tym wiedział.

JOANNA SZCZEPKOWSKA O PiS

Wygrali wybory, żeby dokonać przewrotu ustroju, żerując na naiwności ludzkiej.

JERZY PILCH O CRACOVII

Po 60 latach niezłomnego i wiernego kibicowania drużynie dożyłem szkoleniowca, który powiedział, że ma do skończenia „Żółte światło” Pilcha.

MAGDA UMER O SOBIE

Ja nie jestem łatwa do poznawania się z kimkolwiek. Boję się ludzi.

CEZARY PAZURA
O JULII WIENIAWIE

Jest bardzo gorącym nazwiskiem. Wszędzie ją widzę, tylko nie widziałem jej żadnej roli. Ale ładną buzię ma.

MAREK KAMIŃSKI O DRODZE

Cel jest ważny po to, by ruszyć w drogę. Ale to ona jest najważniejsza.

WERONIKA KSIĄŻKIEWICZ
O WYMAGANIACH

Więcej wymagam od siebie. Ale lubię, kiedy inni też są dobrze przygotowani. Dlatego mogę być czasem upierdliwa.

ELŻBIETA ROMANOWSKA O CASTINGU
DO ROLI DANUŚKI W „KRZYŻAKACH”

O nie, ty to nie. Dziecko, gdzie my takiego Zbyszka znajdziemy? Drabinę mu będziemy podstawiać?

Na kłopoty – żeniaczka

Indonezyjski minister kultury Muhadjir Effendy zaprezentował genialnie prosty pomysł na zmniejszenie liczby gospodarstw domowych dotkniętych ubóstwem. Otóż biedni powinni szukać bogatych małżonków – i odwrotnie. Effendy zasugerował ministrowi ds. religijnych Fachrulowi Raziemu wydanie fatwy w tej sprawie, a także zaproponował program certyfikacji przedmałżeńskiej dla par, które chcą się pobrać, mimo że nie osiągnęły jeszcze stabilności ekonomicznej. Niezamożni oblubieńcy musieliby skorzystać z uruchomionego przez prezydenta Joko Widodo programu szkoleń zawodowych. A nam się wydawało, że to minister Gliński jest człowiekiem z dalekosiężną wizją...

Jestem pełna, zmień mnie!

Inżynierowie z najlepszej politechniki na świecie, amerykańskiego MIT, opracowali „inteligentną pieluchę”. Jest ona wyposażona w czujnik, tani w produkcji i niewymagający własnego źródła zasilania, który w reakcji na wilgoć przesyła drogą radiową sygnał do specjalnego odbiornika, a ten wysyła powiadomienie na smartfon lub komputer. Wynalazek może być szczególnie przydatny w zapobieganiu podrażnieniom oraz infekcjom w dużych szpitalach, w których pielęgniarki mają pod opieką wiele noworodków. Pisząc krócej: może być z niego kupa pożytku!

Uważaj, co lubisz

Używanie na Facebooku przycisków „Polub” i „Udostępnij” może być przestępstwem – orzekł szwajcarski Federalny Sąd Najwyższy. Mowa o sytuacji, gdy dzięki takim reakcjom na skrajnie prawicowe czy antysemitowskie treści trafiają one do osób trzecich, które nie obserwują tego rodzaju profili. „Lajkowanie” i „szerowanie” sprawia bowiem, że zwiększa się widoczność danego materiału,



co jest równoznaczne z jego rozpowszechnianiem. Sąd podkreślił jednocześnie, że wpływ każdego „polubienia” należy analizować indywidualnie.

Wyrok, że darz bór

Z kolei Federalny Sąd Administracyjny w kraju sera i zegarków zdecydował, że logo niemieckiego likieru ziołowo-korzennego Jägermeister nie jest obraźliwe dla chrześcijan. Mowa o nawiązującej do legendy o św. Hubercie stylizowanej głowie jelenia z krzyżem między rogami. Federalny Instytut Własności Intelektualnej uznał, że religijni konsumenci mogą poczuć się dotknięci, jeśli firma rozszerzy stosowanie swojego znaku na produkty inne niż napoje i odzież. Sędziowie dali jednak zielone światło ekspansji biznesowej przedsiębiorstwa. Uznali, że intensywne wykorzystywanie logo przez około ośmiu dekad „osłabiło jego religijny charakter”.

Głupcy jak malowanie

Charakteru nie straciła za to brazylijska stacja telewizyjna Record TV, należąca do Kościoła Powszechnego Królestwa Bożego. Podczas kręcenia scen do serialu „Król Dawid” jej pracownicy zamalowali jaskiniowe malowidła liczące 11 tys. lat, gdyż uznali, że psują one kadry. Po kilkuletnim procesie zielonoświątkowcy otrzymali 500 tys. dol. grzywny za zniszczenie prehistorycznych dzieł sztuki. Zostali również obciążeni kosztami szacowania wyrządzonych szkód oraz wysiłków na rzecz ratowania bezcennych zabytków.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Im koronawirus niegroźny. W szpitalu w Shenyang w Chinach robot przyjmuje pacjenta i mierzy temperaturę, a w japońskiej restauracji Yuxi w Wenecji podaje do stołu.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Telefon mądrzejszy od właściciela

Na japońskim rynku zadebiutował smartfon, który chroni użytkowników przed pochopnym wykonywaniem fotograficznych autoportretów w stroju Ewy i Adama. Nagie *selfie* jest niebezpiecznym narzędziem flirtu – jego odbiorca może zawieść zaufanie i podzielić się prezentem w sieci. TONE e20 zapobiega lekkomyślnemu rozsyłaniu takich zdjęć, częstemu zwłaszcza wśród nastolatków. Po wykryciu próby uwiecznienia gołizny specjalne oprogramowanie blokuje możliwość wykonywania fotek oraz wyświetla na ekranie komunikat o niestosowności zamierzeń użytkowniczk lub użytkownika.

Halo, tu miłość

Firma T-Mobile postanowiła walczyć z inną plagą, jaką jest zaniedbywanie partnerów na rzecz smartfonów. Wpuściła bowiem na rynek majtki, które ukołchanie osobie blokują telefon. W zestawie Connected Underwear znajduje się białizna dla niego i dla niej, wyposażona w specjalne chipy. Gdy partner lub partnerka są zbyt zajęci np. przeglądaniem mediów społecznościowych, majtki ignorowanej drugiej połówki aktywują aplikację, która na kwadrans wyłącza powiadomienia i rozpoczyna odtwarzanie romantycznej muzyki. To dobry moment, mówiąc językiem telefonii, by zrealizować połączenie.





Festung Demenz

Michał Węgrzyn

„Festung Demenz” (Twierdza Demencji) to indywidualna wystawa prac artysty z nurtu street artu Michała Węgrzyna. Absolwent ASP im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu, uzyskał dyplom z malarstwa u prof. Krzysztofa Skarbka, dyplom z projektowania malarstwa u prof. Wojciecha Kaniowskiego. Specjalizuje się w malarstwie sztalugowym, używając technik akrylowych, szablonowych i farb w aerozolu. Cechą charakterystyczną jego obrazów są wielokrotnie nakładane i przenikające się warstwy. Przetwarza motywy z otoczenia, terenów miejskich i przemysłowych, miejsc często zapomnianych. Wyciąga z nich specyficzną estetykę – powłoki kurzu, ślady zacieków i zadrapań, refleksy nocnych światła i neonowe powidoki.

NEXT Galeria Sztuki
Bydgoszcz, ul. Poznańska 31
do 12 marca





TWÓJ 1%

WESPRZE „KĄCIKI BABCI
I DZIADKA” W DPS.

Na 100% !!!



FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ
Porozumienie Bez Barier

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
„Porozumienie Bez Barier”
KRS 0000167578

BROADWAY EXCLUSIVE

najpiękniejsze przeboje musicalowe



idea, scenariusz JAKUB WOCIAL
kierownictwo muzyczne, aranżacje JAN STOKŁOSA
choreografia SANTIAGO BELLA

solіści
DOROTA OSIŃSKA, PAULINA JANCZAK, MACIEJ PAWLAK, MACIEJ NERKOWSKI

kwiecień 2020

rampa
TEATR PRZYJAZNY